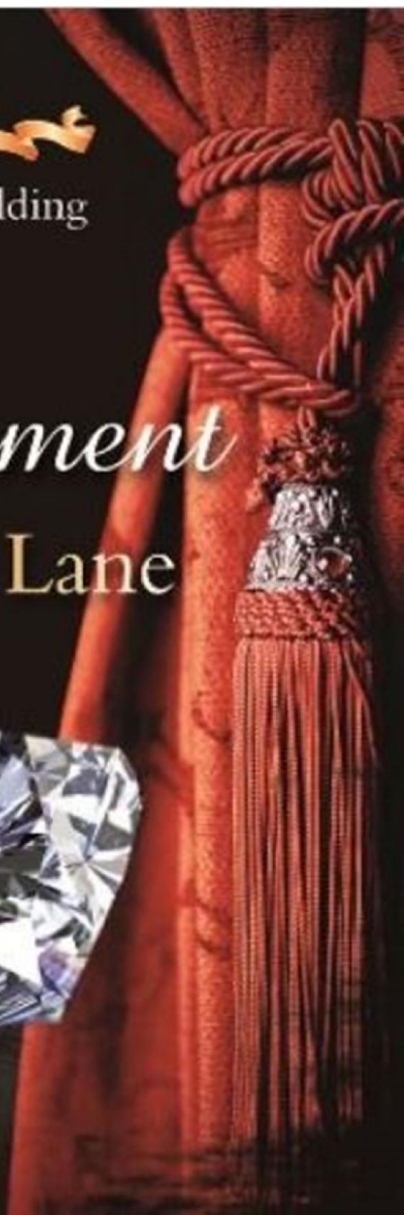




Julia Golding

*Diamant*  
<sup>z</sup>  
Drury Lane



Julia Golding

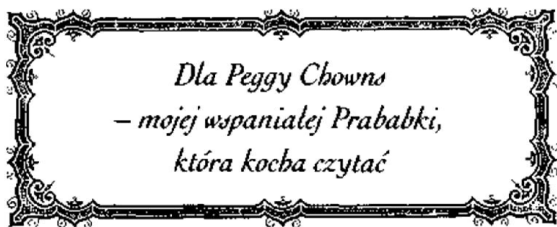
*D*iamant

z

Drury Lane

Tłumaczenie  
Jolanta Kozak

EGMONT



Tytuł oryginału: *The Diamond of Drury Lane*  
Copyright © 2006 by Julia Golding  
© for the Polish edition by Egmont Polska Sp, z o.o., Warszawa 2010

Redakcja: Anna Jutta-Walenko  
Korekta: Anna Sidorek  
Projekt okładki i strony tytułowej: Aneta Witecka

Wydanie pierwsze, Warszawa 2010  
Wydawnictwo Egmont Polska Sp, z o.o.  
ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa  
tel. 22 838 4100

[www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-8421-0

Opracowanie typograficzne i łamanie: Grażyna Janecka Druk: Colonel, Kraków

## Opinie krytyków

„Kicia Królewska nie ma sobie równych!” -

R.B. SHERIDAN

„Kapitałne! (Z wyjątkiem fragmentu o bieliźnie)” - J.K.M.

JERZY, KSIĄŻĘ WALII

„Stanowczo zbyt niebezpieczne dla umysłów  
niewinnych dzieci! Spalić wszystkie egzemplarze!”

- THOMAS BOWDLER

„Za krótkie!” - JAMES BOSWELL

„Wyzaczyłem tę książkę na lekturę obowiązkową dla  
wszystkich kadetów marynarki” - ADMIRAŁ NELSON

„Pisz dalej, siostrze” - MARY WOOLSTONECRAFT

„Skandaliczne” - HANNAH MOORE

„Książka ta uświadomiła mi, jak wielkim szczęściem  
jest żyć w dzisiejszych czasach; a jednak młodość  
to samo niebo!” - WILLIAM WORDSWORTH

„Czyste szaleństwo!” - J.K.M. KRÓL JERZY III

„Rewolucyjne brednie. Należy ją bezzwłocznie o coś  
oskarżyć!” - J.W. PREMIER WILLIAM PITT

„Piorunujące!” - BENJAMIN FRANKLIN

„Nie miałem czasu przeczytać,  
ale to i tak z pewnością bardzo dobra rzecz”

- GEORGE WASHINGTON

„Ta książka powinna zostać zakazana”

- LORD KANCLERZ

## Do Czytelnika

Ostrzegam, że historia, którą za chwilę  
zacznieś czytać, nie jest dla maminsynków.  
Przedstawiam Ci w niej świat, w którym sama żyję.  
Nie jest to świat salonów i wiejskich posiadłości,  
lecz kulisy teatru Drury Lane i ulice Londynu.  
Kto chce przetrwać w moim świecie,  
musi nauczyć się używać szorstkiego języka,  
którego słowa grzmocą jak pięści.  
Czy jesteś dość odważny, aby podążyć za mną?  
Jeżeli tak - czytaj dalej.

*Katarzyna „Kicia” Królewska*



## SPIS TREŚCI

LISTA GŁÓWNYCH POSTACI	7
MAPA	9
PROLOG Awantura	11
Akt I SCENA 1 Lot balonem	27
SCENA 2 Wódz gangu	52
SCENA 3 Triumf	70
Akt II SCENA 1 Książęce dzieci	97
SCENA 2 Lepsze towarzystwo	110
SCENA 3 Rzeźnik z ulicy Łuczniczej przeciwko Taranowi z Camden 136	
SCENA 4 Billy „Pryszcz” Shepherd..	158
Akt III SCENA 1 Nagroda	177
SCENA 2 Kolonia Gawronów	197
SCENA 3 Za kulisami	229
SCENA 4 Śnieżki	250
Akt IV SCENA 1 Przyjaciele	277
SCENA 2 Lombard	299
SCENA 3 Napad	322
Akt V SCENA 1 Suknie	351
SCENA 2 Tamiza	379
SCENA 3 Więzienie	397
SCENA 4 Szampan	418
EPILOG Diament	443

# Osoby

## W TEATRZE

PANNA KATARZYNA „KICIA” KRÓLEWSKA

- wychowanka teatru

PAN PEDRO HAWKINS

- zdolny afrykański skrzypek, były niewolnik

PAN SHERIDAN

- dramaturg, polityk, właściciel teatru

PAN JANEK SMITH - nowy sufler, który coś ukrywa

## TARGOWISKO COVENT GARDEN

PAN SYD FLETCHER

- bokser, wódz gangu chłopaków Rzeźnika

PAN BILLY „PRYSZCZ” SHEPHERD

- wódz przeciwnego gangu,  
zręczny w obchodzeniu się z brzytwą

PAN JONASZ MILLER - fanfaroński kancelista

## REZYDENCJA KSIĘCIA

PANICZ FRANCISZEK

- książęcy syn, który chce zostać kominiarzem

PANIENKA ELŻBIETA

- inteligentna i ładna córka księcia

KSIĄŻĘ AVON - dostojnik, zwolennik reform,  
przyjaciół pana Sheridana

PAN MARCYPAN MARCHMONT

- znajomy panicza Franciszka, kawał drania

HRABIA RANWORTH

- dobrotliwy stary szlachcic

Aktorzy, żeglarze, awanturnicy, kibice boksu,  
służące itp.



BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



# Londyn, styczeń 1790

Kurtyna w górę



**C**zytelniku, oto wypuszczasz się na przygodę, w którą zamieszany jest ukryty skarb, dwóch bokserów walczących na gołe pięści, trzech wrogów i czterystu trzydziestu ośmiu awanturników. Historię opowiada nieuczona i stronnicza autorka - ja. Nazywam się Kicia Królewska, lecz skąd wzięło się moje imię i nazwisko, opowiem później. Na początek opiszę pewną awanturę, gdyż od niej właśnie wszystko się zaczęło.

Odbywała się właśnie premiera nowej sztuki pana Saltera, pod tytułem *Zagniewany ojciec*. Siedziałam, jak zwykle, skulona za kurtyną w łoży dyrektora teatru, obserwując i publiczność, i scenę. Przepadam za widokiem

pełnego teatru - tyle wtedy można zobaczyć. Wielka widownia była szczelnie wypełniona: zebrał się tam cały Londyn, od wytwornych fircyków na parterze po tanie dziewczki uliczne na jaskółce. Blask świec w kandelabrach ślizgał się po klejnotach i wytwornych wachlarzach dam usadowionych w łóżach. Widok był imponujący.

Na sali wzbierał jednak groźny nastrój. Dobiegało z niej stłumione buczenie, niczym z ula rozsierzdzonych pszczół, które zaraz przypuszczą rojny atak. Właściciel teatru, pan Sheridan, siedział wychylony przez balustradę łoży, z miną ponurą jak gradowa chmura. W blasku świec jego krewkie, nalane oblicze pałało jeszcze mocniej niż zazwyczaj. Ciemne oczy miały wściekłe błyski. Nigdy nie mam pewności, co pan Sheridan sobie myśli, ale przypuszczałam, że tego wieczoru czuł się bardzo głupio. Moim skromnym zdaniem, popełnił błąd, w ogóle zgadzając się na wystawienie tej sztuki, chociaż nawet ja nie śmiałam mu tego wytknąć. Oglądałam przedstawienie na próbach - prostacki groch z kapustą, ani się nie umywa do komedii samego pana Sheridana, na których publika regularnie pokłada się ze śmiechu. Sztuka pana Saltera niewarta była nawet pierdnięcia.

Mimo że sama miałam o niej tak marne zdanie, z niepokojem spostrzegłam, że wielmożni panowie z miejsc na parterze nudzą się niewymownie już po pierwszym akcie.

Pan Kemble, nasz najlepszy aktor, z trudem oganiał się od miotanych weń skórek pomarańczy. A zanosilo się na to, że lada chwila poleci na scenę cięższa amunicja: butelki i zgniłe warzywa.

Część publiczności gramoliła się już przez ławy, zmierzając ku proscenium. Na ich czele pchał się wredny typ, Jonasz Miller z oficyny adwokackiej mieszczącej się naprzeciwko teatru. Trzeba ci wiedzieć, Czytelniku, że to fanfaron jakich mało. Tak wysoko szacuje własny gust, że wydaje mu się, iż ma prawo chwalić sztukę albo ganić ją przez ściąganie aktorów ze sceny. Wychyńłam z cienia łoży i wyjęłam panu Sheridanowi z dłoni lornetkę, żeby pospieszenie zlustrować dalsze partie widowni.

Na galeriach wrzało; zwłaszcza stangreci na jaskółce byli najwyraźniej o krok od rebelii: rękami w białych rękawiczkach grali aktorom na nosie, przepychając się jeden przez drugiego do balustrady, aż poprzekrzywiały im się peruki. Damy zgarniały szale na piersiach w

przecuciu rychłej awantury. Z miejsc pośrodku już podniosła się grupka gości, zmierzając do wyjścia.

- Nieładnie mi to wygląda, Kiciu - mruknął przez ramię pan Sheridan. I on rozpoznał złe znaki. - Proponuję wycofać się taktycznie, zanim pomarańcze polecą w moją stronę.

Skinęłam głową i wyłuskałam się z mojego przytulnego punktu obserwacyjnego. Jonasz i jego kumple przeciśnęli się już prawie do kolczastej bariery broniącej sceny przed inwazją widowni. Biedny pan Kemble plątał się w roli, przeczuwając widocznie, że zostanie za chwilę zrzucony ze sceny przez publikę domagającą się zwrotu pieniędzy za bilety.

- Mam nadzieję, że Kemble błysnie talentem i zapobiegnie wyrywaniu ław; ich naprawa po ostatniej awanturze kosztowała mnie kilkaset funtów - mamrotał na w pół do siebie pan Sheridan, krocząc przede mną ciemnym korytarzem wiodącym za kulisy. - Nie stać mnie na to. Pan Salter kosztuje mnie o wiele więcej, niż jest wart.

Ucieszyłam się w duchu tak surową krytyką mojego wroga z ust chlebobawcy.

Od dnia, w którym pan Salter wysiadł z dyliżansu pocztowego z Norwich i zapukał do drzwi teatru Drury Lane, poszukując pracy jako dramaturg, nie było między nami przyjaźni. Na swoją obronę powiem, że to on zaczął, nazywając mnie „brudną żebraczką” i stwierdzając, że dla takich sierot jak ja właściwe miejsce jest w przytułku dla podzulków, a nie w teatrze. Od tamtej chwili, nie wstydę się przyznać, panuje między nami otwarta wojna.

Od paru tygodni pan Salter dybie na posadę suflera, zwolnioną odkąd stary Carver ogłuchł do reszty, i wie doskonale, że ja wykorzystuję wszystkie swoje wpływy u pana Sheridana i pana Kemble'a, żeby jej nie dostał.

Pozostawiając z tyłu rozwrzeszczaną, rozeźloną publikę, pan Sheridan dał nura w ciemny labirynt zaplecza, lawirując zwinnie pomiędzy fragmentami scenografii, linami i beczkami, które zagrażały drogę. Był to świat nigdy nieoglądany przez publiczność: warsztaty, magazyny, garderoby i piwnice - wewnątrz brzucha teatru. Łatwo było się tu zgubić i błądzić godzinami. Ale pan Sheridan nie zmylił kierunku - oboje znaleźliśmy to miejsce jak

własną kieszeń. Minęliśmy po drodze pana Saltera, który cały roztrzęsiony stał w kulisie i miał w rękach starą perukę z warkoczykiem, śledząc w udręce klęskę swych nadziei na scenie. Pan Sheridan ledwo na niego spojrzął i nie zdobył się na jedno choćby słowo pociechy, tylko poszedł dalej, z krzywym uśmiechem na ustach. Zapomniał chyba, że idę za nim, bo kroczył teraz dumnie, z rękami założonymi do tyłu, pogwizdując pod nosem *Rule, Britannia* - strasznie zresztą fałszywie. Widocznie myślał już o czymś zupełnie innym. Bo i wiele miał do myślenia - poza tym, że kieruje teatrem, jest przecież członkiem parlamentu i wiodącą postacią opozycji wobec rządu premiera Pitta, i przyjaźni się zażyłe z księciem Walii. Dorobił się pozycji jednego z najznacniejszych obywateli w państwie - niemała rzecz, przyznacie, jak na syna irlandzkiego aktora.

Podziwiam go jak nikogo innego na świecie - co nie znaczy, że jestem ślepa na jego wady. Wystarczy spędzić pięć minut wśród moich przyjaciół za kulisami, aby zorientować się, że naczelną wadą pana Sheridana jest chroniczna niezdolność do wyplacania gaży. Słynie on z przebiegłości w sprawach pieniężnych i miewa

nieustanne zatargi z osobami, którym jest winien zapłatę.

Wiedząc, w jak wiele spraw jest zaangażowany, nie mogłam nawet wyobrazić sobie, co w tej chwili zaprzęta jego umysł, to jednak nie powstrzymało mnie przed próbą dowiedzenia się prawdy. Zaciekawiona, dokąd zmierza tak pewnym krokiem, podążyłam za nim, przemykając się chyłkiem jak cień.

Może chciał tylko zaczerpnąć świeżego powietrza? I rzeczywiście: przystanął przed wyjściem dla aktorów i zagadnął przyjaźnie Caleba, naszego portiera, częstując go szczyptą ze swojej tabakierki, co stary odźwierny przyjął z wdzięcznością. Ukryta w ciemnym zakamarku, czekałam jednak, czy nie zdarzy się coś bardziej interesującego. Może jakiś awanturnik wdrze się za kulisy?

- Czy mój gość już przyszedł? - spytał cicho Caleba pan Sheridan, jakby od niechcienia, chociaż błysk w jego oku zdradził więcej niż tylko zwykłą ciekawość.

- Nie, proszę łaskawego pana - odparł chrypliwie Caleb. - Nikogo ani widu, ani słyhu, spokój tu dzisiaj. Wszystko, jak słyszę, dzieje się na sali.



Wieczorny powiew niósł w naszą stronę odgłosy tłuczonego szkła i gniewnych okrzyków - widocznie protest przeciwko pożałowania godnej sztuce pana Saltera przedostał się już także na ulicę.

- Przyjdzie, przyjdzie - powiedział pan Sheridan, spoglądając w ponury styczniowy mrok. - Nie ma wyboru, musi przyjść. Idź, napij się czegoś, Caleb. Ja popilnuję drzwi przez parę minut.

Brzęknęły monety, które wrzucił w spracowaną dłoń portiera.

- Dziękuję łaskawemu panu - wychrypiął Caleb. - Chętnie coś łyknę.

I szurając nogami, oddalił się w kierunku ulicy Łuczniczej na poszukiwanie rozgrzewającego kufelka portera.

Ledwie staruszek odkuśtykał z pola widzenia, ktoś kaszlnął w ciemności za drzwiami. Pan Sheridan wyszedł za próg.

- Marchmont, to ty? - zawołał.

Coś zaszurało z prawej strony, za stosem beczek, ale w ciemności nie było widać co to. Szczur?

- Jest tam kto? - spytał pan Sheridan, posuwając się w stronę, skąd dobiegł szmer.

Z mroku za jego plecami wyłonił się jakiś dżentelmen. Był znacznie wyższy i szczuplejszy od przysadziatego pana Sheridanana, okrywał go długi czarny płaszcz, a trójganiasty kapelusz zsunięty na czoło nadawał postaci zbójceki wygląd. Skuliłam się za kotarą drzwi, aby pozostać w ukryciu, ale w zasięgu głosu, na wypadek gdyby pan Sheridan potrzebował pomocy.

- Szeri, stary przyjacielu, oczywiście, że to ja. Czyżbyś spodziewał się kogoś innego? - odezwał się nieznajomy.

Jego cienki, świdrujący głos przyprawiłby mnie o ciarki, gdyby nie to, że już dygotałam w zimnym przeciągu otwartych drzwi. Owinęłam się ciasniej kotarą, z trudem powstrzymując kichnięcie, gdy potarłam nosem o zalatującą stęchlizną tkaninę.

Pan Sheridan zignorował pytanie. Przeształ niepewnie z nogi na nogę, rozglądając się w ciemności.

- Masz ten diament? - spytał tak cicho, że ledwo usłyszałam.

Przełknęłam z wrażenia. Nic dziwnego, że odesłał Caleba! Nie mógł chcieć, żeby ktokolwiek to usłyszał. Byłam świadkiem rozmowy z całą pewnością nieprzeznaczonej

dla moich uszu - co skłaniało mnie tylko do jeszcze baczniejszego ich nadstawienia.

Marchmont też musiał zauważyć zmieszanie pana Sheridana, bo zarżał cienkim śmiechem.

- Nie martw się, stary przyjacielu. Awantura, tak jak to przewidziałeś, zaprzątnęła wszystkich. Diament będzie u ciebie jeszcze dziś w nocy. Przemycimy go przez miasto, nie zwracając niczyjej uwagi.

A więc pan Sheridan nie stracił dobrego gustu, o co go podejrzewałam: wybór sztuki na ten wieczór był celowy.

- Dobrze, dobrze - powiedział pan Sheridan, nieco uspokojony. - Wstąpisz na chwileczkę, żeby łyknąć ze mną coś na rozgrzewkę? Zachomikowałem u siebie parę butelek.

- Nie wątpię - rzekł Marchmont, uśmiechając się porozumiewawczo do jednego z najsłynniejszych birbantów Anglii. - Kropelka nie zaszkodzi. Rzeka dzisiaj zimna, daje w kość.

Panowie weszli do teatru, a ja zamarłam w bezruchu, bojąc się odetchnąć. I upiekłoby mi się, gdyby nie to, że kłamra płaszcza gościa zaczęła o kotarę. Marchmont

odwrócił się, szarpnął - i spostrzegł wystające dołem nogi w białych pończochach.

- A to co? - warknął gniewnie. Żelazna dłoń zacisnęła się na moim ramieniu i wyciągnęła mnie z kryjówki. Dwa palce chwyciły mnie za ucho i pociągnęły w górę, tak że musiałam stanąć na palcach, żeby nie rozstać się ze swoim uchem na zawsze. Zawylałam z bólu i spróbowałam się wyzwolić, ale na próżno. - Szpieg? Co słyszałaś, pannico?

Za plecami Marchmonta widziałam pana Sheridana: pobladł z przerażenia, za to czerwone znamię na jego nosie spurpurowiało niczym flaga ostrzegawcza.

- Nic! - skłamałam.

- Nie wierzę ci! Czemu się schowałaś? Kto ci zapłacił za śledzenie mnie, he? Mów prędko, bo znajdziesz się na dnie Tamizy, gdzie będziesz sobie mogła szpiegować tylko ryby.

Wykręcił moje ucho tak mocno, że znowu zawylałam z bólu.

Pan Sheridan postąpił krok do przodu i chwycił Marchmonta za nadgarstek, zmuszając go do rozluźnienia uścisku.

- Nie strasz dziecka, Marchmont. To tylko moja mała Kicia. Nikt jej nie płaci za szpiegowanie nas. - Spojrzał na mnie, wyraźnie zagniewany moją bezczelnością. - Co ty tu robisz, Kiciu? Co słyszałaś? Idę o zakład, że wszystko.

Kiwnęłam głową z nieszczęśliwą miną, wbijając wzrok w błyszczące czubki jego trzewików.

- Przepraszam pana. Ja tylko szłam za panem za kulisami.

- I? - spytał groźnie.

- I zostałam tu, żeby zobaczyć, z kim się pan spotka.

- I?

- I właśnie usłyszałam, jak panowie mówili o diamentach.

Podniosłam wzrok, ciekawa, czy wyczytam swój los w twarzy pana Sheridana.

Nie wyrzuci mnie chyba na ulicę po tylu latach?

- Obiecuję, że nikomu nie powiem - dodałam żałośnie.

Pan Sheridan miał minę nieodgadnioną. Nie byłam pewna, ale wokół jego ust błąkał się chyba cień uśmiechu.

- Będziesz pilnie strzegła mojego klejnotu, prawda, Kiciu?

Z zapalem pokiwałam głową.

- Tak, proszę pana.

- I dasz mi znać, gdyby ktokolwiek przyszedł za nim węszyć? Ktoś niepożądany?

- Oczywiście, proszę pana.

Nienaturalnie biała ręka Marchmonta spoczęła na ramieniu pana Sheridana.

- Czy to roztropne, Szeri? Ta mała i tak już za dużo wie. Powinieneś się jej pozbyć.

Pan Sheridan zmierzwił mi włosy.

- Powtarzają mi to od lat, ale teatr Drury Lane nie byłby taki sam bez swojej Kici. - Odepchnął mnie poza zasięg rąk Marchmonta. - Uciekaj teraz i pamiętaj, miej oczy i uszy otwarte, zgoda?

- Tak jest, proszę pana - zaszutowałam mu i czmychnęłam, pragnąc znaleźć się jak najdalej od pana Marchmonta. Ciarki mnie przechodziły w jego obecności.

Podsłuchana rozmowa dała mi sporo do myślenia, gdy już umościłam się na noc w Jaskółczym Gnieździe - składzie kostiumów na najwyższym piętrze teatru, gdzie

pozwolono mi sypiać. Niesłusznie zwano to pomieszczenie Jaskółczym Gniazdem - bardziej przypominało ono gniazdo sroki przez wzgląd na porozrzucane wszędzie skarby, łaszki i błyskotki. Istne muzeum osobliwości: insygnia pogańskich królów obok atrybutów chrześcijańskich świętych, kufry pełne strojów rzymskich cesarzy i egipskich królowych, demokratycznie wymieszanych ze zgrzebnymi ubiorami robotników i pasterek.

Ułożyłam się na kozetce, przykryta aksamitnym płaszczem lady Macduff, i zgodnie z poleceniem opiekunów starannie zdmuchnęłam przed spaniem świecę, gdyż od jednej zbłąkanej iskry mógł stanąć w płomieniach cały teatr.

Więc to tak - myślałam, wpatrując się w mrok i nasłuchując odgłosów nocnych zamieszek, w których czterystu trzydziestu ośmiu awanturników z dzikim wrzaskiem tłukło na koniec butelki o bruk - pan Sheridan chce ukryć w teatrze skarb? I mnie wyznaczył na jego strażniczkę. Zamierzałam potraktować tę nominację bardzo poważnie.

BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



*Akt 1 – w którym zawrotny efekt sceniczny  
robi zawrotną klape...*



## Akt I

### SCENA 1 - LOT BALONEM

**P**rzyszło mi właśnie do głowy, Czytelniku, że możesz być ciekaw, kim właściwie jestem i co robię w teatrze.

Moje pełne imię i nazwisko brzmi Katarzyna Królewska, ale wszyscy oprócz proboszcza i pana Saltera wołają mnie Kicia. Mam sto trzydzieści centymetrów wzrostu, długie rude włosy, zielone oczy i ani grosza przy duszy. Ale nie lituj się nade mną: uważam się za większą szczęściarę niż bogate bohaterki sentymentalnych powieści, gdyż żyję w najciekawszym miejscu na całym tym wielkim świecie - w Teatrze Królewskim Drury Lane w Londynie. Machnij ręką na wszystko, co słyszałeś o naszej konkurencji, teatrze Covent Garden, bo to Drury Lane ma bez wątpienia najlepszych aktorów, najlepszą obsługę sceny, najlepszych muzyków i tancerzy. Możesz mi wierzyć na słowo, bo w teatrze nic nie dzieje się bez mojej

wiedzy - no, prawie nic, jak pokaże nasza opowieść.

Dlaczego - spytasz - mieszkam w teatrze? Czemu nie w domu, z mamą i tatą? Cóż, straciłam rodziców, a raczej oni stracili mnie. Pan Sheridan osobiście znalazł mnie jako noworodka na schodach przed wejściem do teatru w mroźną styczniową noc roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego. I zamiast odnieść mnie do przytułku dla podrzutków, gdzie takie szkraby w powijakach umierają zazwyczaj w ciągu pierwszych paru dni, postanowił mnie u siebie zatrzymać. Nadał mi nawet nazwisko na cześć swojego teatru - to tłumaczy, dlaczego nazywam się Królewska. Pani Reid, nasza główna krawcowa, mówi, że pan Sheridan musiał być wtedy pijany, bo inaczej na pewno nie okazałby tak miękkiego serca. Bardzo możliwe, że to prawda. Ale pijany czy nie, zabrał mnie ze schodów, przeniósł przez próg teatru - i zostałam tam już na dobre. Teatr stał się moją rodziną, a ja jego Kicią. Teatr nakarmił mnie i ubrał, nauczył mnie czytać i pisać, dał mi zatrudnienie. Wiele porzuconych dzieci zamarza zimą na śmierć na ulicach Londynu - ale ja miałam szczęście.

A czym się zajmuję w teatrze? Cóż, Czytelniku, pomyśl o tym w ten sposób: teatr jest królestwem. Pan Sheridan jest naszym królem Jerzym (bez napadów obłądki), pan Kemble - premierem, a aktorzy i aktorki - rodziną królewską. Różne działy teatru przypominają ministerstwa w rządzie - dostarczają kostiumów, scenografii, muzyki i tańca, dzięki którym rodzina królewska ma się dobrze. Mnie nazwać można dyliżansem pocztowym, bo roznoszę wiadomości po całym królestwie. Janek mówi co prawda, że bardziej przypominam uciskane masy, robiąc wszystko, czego nikt inny nie zrobiłby za darmo. Kazał mi też napisać, że on sam jest arcybiskupem Canterbury, ponieważ jako sufler głosi słowo potrzebującym. Nie wiem, czy to przypadkiem nie jest bluźnierstwo, ale Janek kazał mi nie być bojącym dudkiem i tak właśnie napisać.

W ten sposób doszliśmy do Janka. A raczej - pana Jonatana Smitha, jak powinnam go chyba nazwać, aby uczynić zadość ceremonii prezentacji.

Poznaliśmy się na drugi dzień po awanturze. Z samego rana Janek czekał przed gabinetem pana Kemble'a, a ja schodziłam właśnie z Jaskółczego Gniazda, niosąc

całe naręcze brudów do prania. Janek dziarsko trzaskał obcasami i pogwizdywał *Rule Britannia*, całkiem jak pan Sheridan ubiegłej nocy, tyle że znacznie bardziej melodyjnie. Nie zauważył mnie - może dlatego, że sięgam mu niewiele powyżej pasa - i niechcący podstawił mi nogę.

- Barania głowa! - krzyknęłam, upadając na stos brudnej bielizny. - Łamaga!

(Jak widzicie, wychowałam się w szlachetnym towarzystwie i umiem pięknie się przedstawić dżentelmenowi).

Janek omal sam się nie przewrócił, próbując naprawić szkodę. Podniósł mnie i zaczął mi pospiesznie ładować na ręce rozsypane brudy, aż pogrzebał mnie prawie pod śmierdzącymi pończochami panny Stageldoir.

- Najmocniej przepraszam, nie zauważyłem panienki, panno...?

Fuknęłam pogardliwie, czego jednak natychmiast pożałowałam, bo przy okazji wciągnęłam nosem niemłą woń.

- Panna Katarzyna Królewska - rzekłam z godnością.

- Panno Katarzyno Królewska - dokończył Janek, kłaniając się nisko, ale z figlarnym błyskiem w oku. - Czy panna Królewska wybaczy swemu pokornemu słudze?

Trwał w ukłonie z komiczną miną, na wpół rozbawioną, na wpół błagalną.

Musiałam się uśmiechnąć.

- Oczywiście. - Spróbowałam dygnąć, żeby mu pokazać, że i ja potrafię mieć dobre maniere, kiedy się postaram. Niestety, mój energiczny dyg sprawił, że bielizna znów wylądowała na podłodze. Schyliliśmy się zbierać ją razem. - Ale niech pan raczej mówi na mnie Kicia, bo inaczej nikt nie będzie wiedział, o kogo chodzi.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - rzekł Janek, całkiem jak dżin z *Baśni tysiąca i jednej nocy*.

Polubiłam go od razu: był młody, wysoki, z długimi czarnymi włosami związanymi z tyłu niebieską wstążką. Oczy miał tak ciemnobrązowe, że prawie czarne, a w oczach iskierki śmiechu. Trzeba przyznać, że był bardzo przystojny. Byłam pewna, że panienki z pracowni za kulisami lada dzień zaczną stroić do niego słodkie minki.

- A z kim mam przyjemność? - spytałam, ponieważ się nie przedstawił.

- Pan Jonatan... - zawahał się chwilę - Smith, do usług. Mów mi Janek.

I puścił do mnie perskie oko.

- A więc, Janku, co ty tutaj właściwie robisz? Pan Kemble nigdy nie wstaje tak wcześnie.

Na szczęście spodobała mu się moja bezczelna ciekawość. Roześmiał się.

- Jestem z nim umówiony. Rozmawiasz właśnie z nowym suflerem.

Wyprostował się dumnie, a następnie znów skłonił, jakby przed publicznością.

- To świetnie! - wykrzyknęłam, wyobrażając sobie, jak wściekły będzie pan Salter. - Bardzo się cieszę, że wybrali ciebie.

Janek spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Miło mi to słyszeć. Dziękuję za kredyt zaufania. Z tego, co mówił Sheridan... pan Sheridan... wywnioskowałam, że jeżeli chcę odnieść sukces w teatrze, muszę zdobyć twoje błogosławieństwo.

Zdumiałam się. A więc ktoś tak ważny jak pan Sheridan wspominał o mnie w rozmowie z Jankiem?

- Lepiej już pójde poszukać posłańca do praczki. Do zobaczenia później - bąknęłam lekko zmieszana, przyciskając naręcze brudów do piersi.

- Do zobaczenia, Kiciu.

Czułam jego wzrok na plecach, oddalając się korytarzem. Było mi przyjemnie i ciepło w środku - wspaniałe uczucie, podobnie czułam się, kiedy pani Reid pozwoliła mi usiąść przy swoim kominku w mroźny dzień.

Przekazałam bieliznę woźnicy, który dostarczał ją do praczki w pobliskiej wsi Islington, po czym zakradłam się na widownię, ciekawa, jak wielkie są zniszczenia po wczorajszej awanturze. Długi Tom, najwyższy z całego personelu, zmiatał właśnie śmieci porzucone na parterze. W sali unosił się nieprzyjemny, stęchły odór zbyt wielu ludzkich ciał tłoczących się tutaj co wieczór. Przydałoby się dobrze ją wywietrzyć. Jakie to niesamowite, że gdzieś pośród tandetnych wspaniałości Drury Lane pan Sheridan ukrył skarb - doskonały diament, prawdziwy klejnot do pozłacanej korony naszego teatru. Ciekawe, gdzie go schował. Klejnot na pewno nie był duży - mógł znajdować się właściwie wszędzie.

- Duże straty, Tom? - zagadnęłam, przedostawszy się do niego przez porzucone ławki.

- Dzieńdoberek, Kiciu - powitał mnie, wskazując zmiecioną stertę zgniłych warzyw i pomiętych biletów. - Nie jest tak źle. Powiedziałbym nawet, że się nam upiekło, jeśli zważyć, jak nędznym sztuczkiem uraczyliśmy ich wczoraj wieczorem. Dzisiaj możemy grać jak zwykle.

Zacząłam mu pomagać w ustawianiu ławek, lecz nagle drzwi za nami otwarły się z hukiem i głównym przejściem między rzędami wkroczył siwowłosy jegomość w pelerynie podbitej szkarłatem. Oto, proszę państwa, Signor Angelini, dyrektor muzyczny.

- *Vivamente!* Szybciej tam! - krzyknął przez ramię, klaszcząc szybko dwa razy w dłonie.

- *Buon giorno, Signorina Caterina* - rzekł do mnie, sunąc zamasyście na scenę.

Za nim dreptali gęsiego członkowie orkiestry. Wionczeliści taszczyli pod pachą swoje instrumenty jak niechętnie do tańca partnerki. Orkiestra nie znosiła prób przedpołudniowych. Spostrzegłam wśród muzyków Piotra Dodsleya, wysokiego chudzielca, który nigdy nie pokazywał się bez nieskazitelnej białej peruki na głowie.



Był pierwszym skrzypkiem orkiestry i moim dobrym przyjacielem. Mrugnął do mnie i stłumił ziewnięcie.

- Wcześniej pan dziś wstał - zażartowałam.

Piotr spał pewnie tylko parę godzin, bo po spektaklu dorabiał sobie zwykle, przygrywając do białego rana na prywatnych balach.

- Jak widać - mruknął, ruchem głowy wskazując Maestro. - Ma dla nas coś specjalnego.

- Ach, rozumiem. - Skrzywiłam się znacząco.

Oboje wiedzieliśmy, co to zapewne oznacza: Signor Angelini będzie chciał wcisnąć orkiestrze swoją następną nowoczesną kompozycję, burzliwy utwór, pełen nieokreślonych emocji. Potem, jak zwykle, będzie się bez skutku wyklócał z panem Kemble'em i panem Sheridanem o pozwolenie na jej wykonanie jeszcze dziś wieczorem. Tak wiele razy już słyszał odmowę, że panowie Kemble i Sheridan krzyczeli podobno „Nie!” na sam widok Signora Angeliniego z partyturą w ręku.

Tym razem jednak usłyszałam podniesione głosy od strony sceny. Odwróciłam się i ujrzałam Signora Angeliniego stojącego oko w oko z kierownikiem sceny,

Henrym Bishopem, masywną postacią z rudym lokiem sterczącym spod starej peruki.

- Wykluczone, mój panie! - pieklił się pan Bishop. - Teraz nie może pan robić próby! Muszę sprawdzić działanie balonu przed dzisiejszą farsą muzyczną!

- *Dio!* Pana zdaniem spuszczenie z sufitu głupiego balonu jest ważniejsze od muzyki? - protestował Signor Angelini, dźgając batutą fragment scenografii podwieszony w kulisie.

Pan Bishop wziął się pod boki i zmierzył muzyka spojrzeniem swojego jedyne go dobrego oka, gdyż drugie miał zasłonięte skórzaną plakietką - skutek odbytej przed paroma laty nieudanej próby efektu specjalnego z użyciem siarki.

- Właśnie tak. Publiczność sobie tego życzy, a my spełniamy jej życzenie. Po wczorajszej kłapie nie możemy sprawić ludziom zawodu. Pan Kemble kazał przygotować scenę do farsy, więc muszę uruchomić urządzenie, bo inaczej będzie piekło.

Patrzył przy tym na Włocha tak groźnym wzrokiem, że zazwyczaj nieulekły Signor Angelini położył uszy po sobie.

- *Claro* - bąknął i skłonił się kierownikowi sceny. - Ale tu na dole możemy ćwiczyć, tak? - Wskazał ciasną fosę orkiestrową.

- Jak najbardziej. Rzępolcie sobie, ile wlezie, mnie ani ludziom nie będzie to przeszkadzać.

- Skoro oni są ludźmi, to kim my jesteśmy? - szepnął złośliwie Piotr. - Pęczkiem stokrotek?

Niecierpliwymi machnięciami dłoni Signor Angelini zaganiał już muzyków na miejsca. Piotr skinął mi głową na pożegnanie i usadowił się na swojej stałej pozycji, przed resztą orkiestry.

W tle za nimi zatrzeszczały liny: drużyna pana Bishopa szykowała się do spuszczenia i wzniesienia makiety balonu - kopii nadzwyczajnej konstrukcji braci Montgolfierów, która ponoć naprawdę przefrunęła nad Paryżem w tysiąc siedemset osiemdziesiątym trzecim roku. Pomyśl tylko, Czytelniku: po raz pierwszy od czasów Ikara człowiek leciał w powietrzu jak ptak. Balon był potężnym elementem scenografii: składał się z kolistej ramy, obciążonej niebiesko-żółtymi pasami jedwabiu, oraz sporego kosza wiklinowego, który miał pomieścić aktorów. Jeszcze przyglądając się montowaniu makiety,

nabrałam strasznej chęci na przejażdżkę balonem, toteż przycupnęłam teraz na skraju sceny z nadzieją, że może pan Bishop będzie potrzebował ochotnika na próbny lot.

- Gotowi, maestro. A gdzie partytura nowego utworu? - zapytał Piotr z nutką rezygnacji w głosie, jakby przyjmował smutną konieczność.

- Nie ma nowego utworu - odparł Signor Angelina kartkując plik nut i siejąc luźne kartki po podłodze. Podskoczyłam, żeby je dla niego pozbiierać. - Dzisiaj mamy w zamian nowego muzyka. Wystąpi w sztuce.

Piotr popatrzył po kolegach, ale dostrzegł same znajome twarze.

- Gdzie on jest? Na czym gra? - zniecierpliwił się.

Signor Angelini nie odpowiedział; klasnął tylko dwukrotnie w ręce i zawołał rozkazującym tonem:

- Pedro, wejdź!

Główne drzwi na widownię otworzyły się i na tle dziennego światła ukazała się w progu drobna sylwetka. Przybysz bez żenady przeszedł pomiędzy rzędami aż pod scenę i skłonił się Signorowi Angeliniemu. Następnie z błyskawiczną zręcznością otworzył przyniesiony pod

pachą futerał, wyjął z niego skrzypce i smyczek i ustawił się w lekkim rozkroku, gotów do gry.

Nowy muzyk był chłopcem nie starszym ode mnie, ale skórę miał najciemniejszą, jaką w życiu widziałam. Czerń jego skóry kontrastowała z żółtoniebieską liberią, w którą był odziany, jak hebanowe klawisze z resztą klawiatury pianoforte. Doszłam do wniosku, że przybysz musi pochodzić z Afryki i być jednym z tych nieszczęśników, których siłą wyrwano z domów i wywieziono do niewolniczej pracy na plantacjach Indii Zachodnich. Musieliście o tym czytać w związku z podnoszonymi od niedawna protestami abolicjonistów domagających się publicznej uwagi dla ich krzywdy. Jak jednak chłopiec ten znalazł się w teatrze Drury Lane, ze skrzypcami pod brodą - trudno było odgadnąć.

- Co to za chłopiec, maestro? - spytał podejrzliwie Piotr, spoglądając na skrzypce tamtego tak, jakby zaraz miały wybuchnąć.

- To jakiś żart? - burknął waltornista, nieprzyjemny typ, który grał na swoim instrumencie bez wycucia (Piotr przezwał go „mosiężnym bekasem”, ale nie

powtarzajcie tego głośno). - Jakby mało było, że gołono-  
gie dzierlatki fikają w balecie, mamy jeszcze grać z tre-  
sowanymi małpami?

Wykrzywił się obraźliwie do Pedra, lecz chłopiec po-  
został niewzruszony. Stał pewnie i z godnością, wpatrzony  
w dyrygenta, i tylko po napięciu mięśnia jego szczęki  
poznałam, że poczuł się dotknięty.

- Cyt! Cyt! - syknął Signor Angelini, wygrażając  
waltornście palcem. - Dość tych impertynencji, barbara-  
rzyńco. Ten chłopiec gra jak anioł. Pedro, zagraj począ-  
tek pierwszej części.

Waltornista fuknął pogardliwie. Byłam już teraz cał-  
kowicie po stronie chłopca, więc wstrzymując oddech,  
śledziłam każdy jego ruch, gdy przystępował do gry.  
Wydobył pierwsze nuty i dźwięki zatańczyły, zatrzepota-  
ły wokół strun niczym rój motyli, zdmuchując szyderczy  
uśmieszek z oblicza waltornisty.

- Wystarczy. - Signor Angelini uciął frazę nagłym  
ruchem batuty. - Teraz początek części drugiej, proszę.

Pedro nabrał głęboko tchu, przymknął oczy i wydobył  
ze skrzypiec śpiew tak pełen rzewnej słodyczy, że łyzy  
ścisnęły mnie za gardło. Jeszcze parę fraz i Piotr załkał

bezwstydnie w białą chusteczkę, kuląc ramiona wstrząsane szlochem. Ucichły nawet odgłosy ze sceny: pan Bishop i jego ludzie porzucili pracę, zasłuchani w koncert.

- Teraz koniec trzeciej części - zaordynował dyrygent, patrząc z triumfalnym uśmiechem po spokorniałej publiczności.

Chłopiec uniósł smyczek i puścił go w oszalamiająco szybki, wirtuozerski pęd przez muzykę, pokonując wszelkie przeszkody z lekkością rasowego kłusaka. Pot perlił się na jego czole, gdy doszedł do końcowych fraz, tak szybkich, że zamiast smyczka widać było tylko rozedrganą smugę. Zakończył trzema zwycięskimi tonami i nagrodzony został spontanicznym aplauzem przez orkiestrę, obsługę sceny, a także przeze mnie.

- Imponujące! - pochwalił głośno Piotr. - Oto jak się powinno grać Mozarta.

Pedro, który do tej chwili starannie unikał czyjegokolwiek wzroku poza oczami dyrygenta, spojrział teraz z wdzięcznością na pierwszego skrzypka. Między dwoma muzykami nawiązało się natychmiastowe porozumienie.

- Zaiste, panie Dodsley - rzekł Signor Angelini. - Lecz, *tristamente*, Pedro nie zasiądzie z orkiestrą do Mozarta. Wystąpi w farsie, zagra rolę Mauretańskiego Księcia. - Postukał batutą w pulpit. - Uwaga, panowie! Zaczynamy od taktu trzydziestego.

Widząc, że próba muzyczna zaczyna się na dobre, przemknęłam się na scenę, ciekawa, jak postępują prace nad balonem. Mechanicy, stękając, ciągnęli liny niczym marynarze stawiający żagiel, a urządzenie wznosiło się i opadało powoli. Ostrożnie zbliżyłam się do pana Bishopa.

- Zadziała? - spytałam nieśmiało.

Nigdy nie byłam pewna, jak pan Bishop się do mnie odniesie. Przeważnie tolerował moją obecność, ale gdy czasem miał gorszy dzień, potrafił zbesztać mnie bez racji, dając upust złości.

Tym razem - może sprawił to kojący wpływ muzyki - był w dobrym humorze.

- Bardzo możliwe - rzekł, drapiąc się z namysłem po brodzie i badając wzrokiem układ lin i wielokrążków sięgający aż do balkonów.

- Nie przydam się? Nie chciałby pan przypadkiem wypróbować urządzenia z kimś w środku?



Pan Bishop spojrział z góry, szacując moją wagę.

- Niezła myśl. Ważysz dużo mniej niż pan Andrews, więc byłaby to dobra wprawka dla chłopaków przed próbą z pełnym obciążeniem. Wskakuj, Kiciu.

Krzyknął na swoich ludzi, podniósł mnie i wsadził do kosza balonu, po czym odsunął się na bok.

- Ciągnijcie ją! - polecił.

Balon szarpnął, oderwał się od podłogi i pomalutku zaczął się wznosić; liny skrzypiały w wielokrażkach. A więc tak to jest latać - pomyślałam. Patrzyłam z wysoka na ogniki świec płonących w fosie dla orkiestry, na połyskliwe białka zwróconych w górę oczu afrykańskiego chłopca, który śledził mój lot z zadartą głową. Nawet ogromna scena wydawała się stąd malutka. Biały krzyżek oznaczający zapadnię ledwo było widać.

- Jeszcze jedno pociągnięcie i starczy! - krzyknął basem pan Bishop śledzący operację spod balonu.

Wychyliłam się z kosza i pomachałam wesoło do pana Bishopa.

- Ojejku!

To mój krzyk poniósł się echem po scenie: lina podtrzymująca przód kosza wymknęła się z haka, sprawiając,

że zawartość - czyli ja - poleciała w dół na łeb, na szyję. W ostatniej chwili zdołałam się uchwycić krawędzi kosza i tak zawisłam, dyndając nogami sześć metrów nad ziemią.

- Stop! - wrzasnął pan Bishop.

Balon zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. Znów coś trzasnęło - mocowanie drugiej liny, która spadła na deski sceny jak smagnięcie biczem. Orkiestra urwała w pół taktu.

- Trzymaj się, Kiciu! - krzyknął, całkiem niepotrzebnie, pan Bishop.

Jakbym mogła mieć inny zamiar!

- Możecie ją opuścić? - zawołał głośno do ludzi za kulisami.

- Lina się zablokowała! - odkrzyknął Długi Tom.

W dole podniósł się harmider, wszyscy wbiegli na scenę. A ja bujałam się niczym wahadło, w nieprzystojnie rozwianych spódnicach, i wpijałam palce w krawędź kosza, modląc się o szybki ratunek. Odważywszy się zerknąć w dół, ujrzałam, że ktoś z obsługi pędzi na środek sceny z wielką płachtą płótna i podaje ją do rozpostarcia innym osobom: chcieli mnie w to złapać, gdy będę spadała. Pół orkiestry znalazło się już na scenie i

trzymało płachtę. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Nie spadnę przecież żywa z takiej wysokości, nawet gdyby mnie złapali.

Ktoś widocznie myślał podobnie do mnie, bo usłyszałam zniecałkany nowy głos:

- Skręci sobie kark, jak stamtąd skoczy.

Powiedział to mały skrzypek. I lekko dał susa na scenę.

- Słusznie mówi - poparł go Piotr, gramoląc się za nim na deski. - Nie macie tu gdzieś drabiny?

- Za krótka - odrzekł pan Bishop.

- Nie potrzeba drabiny - powiedział Pedro.

Bujając w powietrzu, ujrzałam, jak, zwinny niczym wiewiórka, przebiega scenę, wskakuje na zwieszoną linę, na której Długi Tom wywindował balon do góry, i zaczyna się po niej wspinać.

- Niech ktoś powstrzyma tego chłopca! On się zabije! - wrzasnął piskliwie Signor Angelini, ale nim ktokolwiek dobiegł do liny, Pedro był już poza zasięgiem ich rąk.

Wdrapał się aż pod sam dach, tam gdzie zablokował się system wielokrążków, a następnie przeskoczył na linę schodzącą do kosza. Znowu zaczęłam piszczeć, bo kosz

bujał się gwałtownie, a moje palce ześlizgiwały się z wiklinowej krawędzi. Pedro zsunął się spokojnie po linie i stanął na przechylonej ścianie kosza. Owinąwszy jedną nogę wokół liny, nachylił się i wyciągnął do mnie rękę.

- Złap się - powiedział, trzymając dłoń kilkanaście centymetrów od mojej.

- Nie mogę! - szepnęłam, prawie sparaliżowana strachem. - Boję się puścić!

Pedro świsnął niecierpliwie przez zęby i opuścił się nieco niżej, poza krawędź kosza, tak że wisiał teraz do góry nogami tuż obok mnie.

- Tak lepiej? - spytał wesoło, ujmując mocno obie moje ręce w nadgarstkach. - Teraz mi ufasz?

- Tak - wysapałam.

I puściłam krawędź.

Jak akrobaci w zapierającym dech występie, bujaliśmy się tak przez parę chwil: Pedro głową w dół, ja uwieszona na jego rękach - zanim podciągnął mnie na ścianę kosza.

- Masz, trzymaj się tego - powiedział, wciskając mi w dłoń linę. - Sprawdzę, czy da się odblokować tam na górze.

Skoro nie wisiłam już na końcach palców, poczułam, że duma mi wraca. Jeśli Pedro potrafi wspinać się po linie, to ja też.

- Idę za tobą - oznajmiłam, zrzucając z nóg trzewiki, żeby mieć lepszy chwyt stopami.

Trzewiki poleciały na scenę, trafiając po drodze w któregoś z gapiów. Poszkodowany zaklął siarczyście.

Pedro pokręcił głową.

- Angielskie dziewczynki nie wspinają się po linie. Stój spokojnie - przykazał.

- Ta dziewczynka się wspina.

Nie czekając na odpowiedź, zaczęłam piąć się po linie sposobem podpatrzonym u Pedra. Nie było to proste, a w dodatku przeszkadzała łopocząca wokół mnie jedwabna pokrywa balonu. Nie po to jednak całe życie spędziłam za sceną, wdrapując się na dekoracje, a także na liny, chociaż nigdy tak wysoko jak tutaj, żeby teraz dać się zawstydzić nowicjuszowi. Chociaż jestem dziewczynką, nauczyłam się robić gwiazdę na jednej ręce, ćwicząc godzinami na pustej scenie. I lina to dla mnie drobnostka.

Albo nie.

Wspiąwszy się aż na samą górę, zobaczyłam, co mnie czeka. Przygryzłam wargę. Skok, który planował Pedro, wyglądał stąd na niesamowicie daleki. Co innego gwiazda na jednej ręce, a co innego skok w przepaść.

- Nie ruszaj się, Kiciu! - krzyknął ktoś z dołu. - Nie rób głupstw!

Ale ja czułam już - dosłownie - na piętach gorący oddech Pedra. Dla ratowania honoru narodowego musiałam to zrobić. Wyciągnęłam w przestrzeń jedną rękę, szykując się do skoku.

- Tak niedobrze - zasapał z dołu Pedro. - Wahnij się bliżej.

Lina zaczęła się poruszać. Spojrzałam w dół: Pedro, uwieszony niżej, rozbijał ją celowo, ponieważ z każdym wahnięciem zbliżała się bardziej do liny zawieszanej z boku sceny. Pojęłam, o co chodzi, i zaczęłam naśladować ruchy Pedra. Balon z koszem zaskrzypiał groźnie w dole pod nami. Usłyszałam, że pan Bishop zgania wszystkich ze sceny, na wypadek gdyby z góry spaść miało coś masywniejszego niż trzewik. Druga lina była teraz już prawie w naszym zasięgu.

- Gotowa? - spytał Pedro. - Za następnym wahnieniem przeskakujemy. Uważaj, liczę do trzech: raz, dwa, trzy!

Równocześnie puściliśmy się jedną ręką liny od kosa, chwytając tę drugą.

Zawiśliśmy jak akrobaci w rozkroku między dwiema linami, aby po chwili przerzucić się na tę, która wiodła ku ziemi. Pedro ześlizgnął się po niej w mig, gdyż była nasmarowana tłuszczem. Ja opuszczałam się bardziej ostrożnie, nie chcąc w ostatniej chwili popełnić błędu.

Pan Bishop czekał w dole i postawił mnie na podłodze.

- Zdaje mi się, że za wcześnie jeszcze na próbę z panem Andrewsem - wysapałam z ulgą, gdy moje stopy dotknęły ziemi.

Pan Bishop z zafrasowaniem podrapał się po głowie, zsuwając w tył perukę.

- Masz rację, Kiciu. Trzeba od początku zamocować liny.

- Jakoś nie przypominam sobie tej sceny w naszej sztuce - zauważył Janek Smith, wychodząc z tłumu, żeby poklepać Pedra po plecach.

Przy okazji wręczył mi z grobowym uśmiechem moje buty. Na czole miał czerwony ślad w kształcie obcasa.

Pedro wzruszył ramionami; minę miał już z powrotem obojętną. Pomyślałam sobie, że chyba przywykł do złego traktowania i najbezpieczniej czuł się sam. Nie wiedział jeszcze, że w Drury Lane znalazł się wśród przyjaciół. Gdy odwrócił się, aby zejść ze sceny, złapałam go za rękę.

- Dziękuję - powiedziałam, usiłując wykrzesać z niego uśmiech.

Spojrzał na mnie wielkimi ciemnymi oczami i zrobił taką minę, jakby miał się odezwać, ale ubiegł go grubiański waltornista.

- A nie mówiłem? Tresowane małpy - mamy już dwie. I to jedną w spódnicy!

- Ugryź się lepiej w język, Harding - skarcił go Piotr, błyskając gniewnym spojrzeniem wyblakłych oczu.

Okręciłam się na pięcie, zaciskając pięści, gotowa dać w zęby waltorniście.

- Nie zauważyłam jakoś, żeby pan nadstawiał karku, aby mnie ratować - palnęłam ze złością. - Na szczęście



znalazł się przynajmniej jeden odważny dżentelmen.

- Dżentelmen! Phi! - skrzywił się pan Harding. - Nie widziałem tam żadnego dżentelmena.

- A tak, dżentelmen - potwierdziłam uparcie.

- Kicia ma rację - wtrącił zza moich pleców Janek. - Dżentelmena poznaje się po manierach, a nie po kolorze skóry.

Z orkiestry rozległy się pomruki poparcia, więc panu Hardingowi nie pozostało nic innego, jak wycofać się z kłótni. Poszedł na swoje miejsce w orkiestrze, zrzędząc pod nosem. A ja, zadowolona, że wygrałam słowną potyczkę, odwróciłam się do Pedra, lecz jego już nie było.

## SCENA 2 - WÓDZ GANGU

- Gdzie on się podział? - spytał Signor Angelini. - Mamy jeszcze mnóstwo pracy!

- Może poszedł przymierzyć kostium? - podsunął Piotr, nonszalanckim gestem wskazując kulisy. - Nie powiedział mu pan, że pani Reid go wzywa?

- Mam pójść go poszukać? - spytałam, gdyż korciło mnie bardzo, by dowiedzieć się więcej o moim wybawcy.

Signor Angelini skinął głową.

- Bądź tak dobra, Caterino. I tak zmarnowaliśmy już kawał poranka. Jeżeli nie chcemy, żeby muzyka, tak jak sztuka, stała się farsą, to musimy jeszcze bardzo ciężko popracować.

- Zmarnowaliśmy! - powtórzył z oburzeniem Piotr, obejmując mnie za ramię i ściskając lekko na pocieszenie. - Musieliśmy przecież ratować naszą Kicię!

- Niech więc teraz ona uratuje nas przed klapą i znajdzie mi go - rzekł dziarsko Signor Angelini, zaganiając muzyków na miejsca. - Pędź, Caterino. Powiedz

chłopcu, że nic mu nie zrobię, jeśli znajdzie się tutaj w ciągu kwadransa. W przeciwnym razie gorzko pożałuje.

To mówiąc, machnął batutą, nie pozostawiając mi ani cienia wątpliwości, że właśnie nią dobierze się Pedrowi do skóry, jeżeli ten nie wróci W wyznaczonym czasie.

Pognałam co sił po chwiejnych schodach do Jaskółczego Gniazda. Pani Reid siedziała w szwalni z Sarą Bowers, obie pochylone nad długim aksamitnym trenem, który rozdarł się aktorowi podczas pospiesznego opuszczania sceny ubiegłego wieczoru. Przez umieszczone wysoko okno padał im na kolana snop dymnego światła, w którym, niczym miniaturowe elfy, tańczyły drobinki kurzu. Dwie igły migotały, przeciągane z wielką wprawą przez tkaninę - ja nigdy nie opanowałam tej sztuki, pomimo rozpaczliwych starań pani Reid.

- Czy jest tu Pedro? - spytałam zadyszana.

Pani Reid podniosła oczy; w ustach miała pełno szpilek.

- Kto taki, złotko?

- Pedro. Mauretański Książę.

Krawcowa najwyraźniej wciąż niczego nie rozumiała.

- Ten czarny chłopiec.

- Nie, złotko. Nikogo tu nie było. Ale jak spotkasz naszego księcia, powiedz mu, że jego kostium jest gotowy do przymiarki.

- Dobrze - krzyknęłam, zbiegając już z powrotem ze schodów.

Co się z nim stało? Wszyscy czekają, a ten przepadł bez śladu za kulisami. To prawda, że było tu mnóstwo dogodnych kryjówek, ale tylko dla kogoś, kto dobrze znał teatr. Pedro jednak, o ile się orientowałam, nigdy przedtem tutaj nie był, a w ogóle po co miałyby się chować? Wydał mi się zbyt poważny na takie dziecinne psikusy, szczególnie że nikt inny nie uczestniczył w zabawie. Zagadkowa historia.

Przysiadłam na najniższym stopniu, żeby chwilę pomyśleć w spokoju. Jeżeli się nie schował i nie ma go za kulisami ani na widowni, to musiał wyjść na ulicę. Tak, na pewno. Widocznie uwagi waltornisty uraziły go bardziej, niż mi się zdawało. Za to, co zrobił, zasłużył na pochwałę, a nie na obelgi. Na pewno poszedł sobie i nie chce nas więcej znać.

Pobiegłam do wyjścia dla aktorów. Drzwi stały otworem, ale nigdzie nie było widać Caleba. Rzecz niezwykła, bo nawet jeśli portiera czasem odwołano, nigdy nie zostawiał otwartych drzwi. To potwierdzało moje przypuszczenie. Wyszłam na małe podwórko, przez które przechodziło się na ulicę Russella. I ono było puste. W którą stronę pójść: w lewo do Covent Garden czy w prawo do Drury Lane? Stałam niezdecydowana, próbując spojrzeć na okolicę oczami Pedra. Nie miał chyba zamiaru zbytnio się oddalać. Może chciał tylko zaczerpnąć powietrza? Jeśli szukał przestrzeni, udał się pewnie w stronę targowiska, które, pomimo nieustannego rejwachu zachwalających swe towary sprzedawców warzyw i owoców, turkotu wozów i gdakania drobiu przeznaczanego pod nóż rzeźnicki, było w tej części miasta jedynym miejscem, skąd widziało się kawałek nieba. Zaniepokoiłam się nagle o Pedra. Chłopiec w strojnej liberii wyróżniałby się niebezpiecznie pośród obdartusów z targowiska - wiem, co mówię, bo większość z nich to moi znajomi.

Z trudem przepychałam się przez ruchliwą ulicę Łuczniczą. Pełno tam było ludzi spieszących za swoimi

sprawami. Komornik defilował środkiem z grupą pomocników obładowanych sprzętami, które skonfiskowano zapewne przed chwilą z domu jakiegoś nieszczęsnego dłużnika. Uliczny bard stał na rogu, zachwalając swoje najnowsze ballady.

- Tylko u mnie, panie i panowie: przedśmiertna mowa Johna Jeffreysa, zdrajcy, złodzieja i mordercy! Świeżo z prasy drukarskiej! Posłuchajcie, jak nędznik żałował za swe podłe zbrodnie, nim zadyndał na stryczku w Newgate tydzień temu!

Ominęłam go szerokim łukiem, gdyż nie gustowałam w tych ponurych śpiewkach. Wszystko było w nich zresztą wyssane z palca: ten nieszczęsny Jeffreys na pewno nie miał czasu na długie wierszowane mowy, zanim otwarła się pod nim zapadnia szubienicy, a tym bardziej nie potem, chyba że zmartwychwstał na stole, gdzie anatomowie dokonywali sekcji jego zwłok.

Moja próba znalezienia przejścia w ciżbie otaczającej balladzystę skończyła się pechowo: wdepnęłam prosto w świeżą kupę końskiego nawozu. Do licha!

Jakby tego było mało, czarna karetka w cztery konie, z książęcym herbem na drzwiach, przeturkotała tuż obok,

ochlapując mnie lodowatą wodą z kałuży przed siedzibą magistratu. Odskokczyłam - i tak za późno - zderzając się ze stójkowym, jednym z naszych miejscowych stróżów prawa.

- Uważaj, gdzie leziesz, zakuta pało! - wrzasnął na mnie, otrzepując uniform.

- Nawzajem i z nawiązką, stary pryku! - odcięłam mu się i czmychnęłam w te pędy, zanim zdążył mi narzecz uszu.

(Powinnam chyba wyjaśnić w tym miejscu co delikatniejszym Czytelnikom, że na ulicach Londynu obowiązuja inne maniery niż na lekcjach dobrego tonu dla młodych panien i paniczków. Wierście mi na słowo: nie pożyłabym długo w swoim świecie, gdybym się tego bardzo wcześniej nie nauczyła. Mam nadzieję, że nie oburza was to zanadto, bo dalej będzie jeszcze gorzej).

Co sił w nogach wybiegłam na plac i dałam nura pod arkady okalających go kamienic. Otrzepałam spódnicę, a buty wytarłam o strzęp starego worka porzucony w kącie. Całe szczęście, że w mroźnym powietrzu mniej się czuło nieznosny fetor ulicy: odpadki, uryna i gnój, którymi stale tu śmierdziało, tego ranka słabiej drażniły powonienie.

To dobrze dla mnie, bo miałam uświnione nimi buty i spódnicę. Chłód miał też jednak i złą stronę: ponieważ zapomniałam narzucić szal na wełnianą sukienkę, już trzęsłam się z zimna jak osika. Najwyższy czas znaleźć skrzypka i wracać pod ciepły dach.

Rozejrzałam się po placu. Dzień był rześki, zimowy - kolorowe kamienice wyglądały wesoło na tle czystego, błękitnego nieba, a każda krawędź dachu i każdy komin były wyraźnie, ostro zarysowane. Z początku nie dostrzegłam niczego niezwykłego: jak co dzień służące robiły zakupy, co naiwniejszym kramarze wciskali zgniłki pod ułożone na wierzchu lśniące owoce, czeladnicy kręcili się przed gospodami, kończąc późne śniadanie, szlachetni panowie wstępowali do kawiarni albo z nich wychodzili.

Nagle ujrzałam Pedra. Nie od razu, bo - tak jak się obawiałam - otaczał go wianuszek najgorszej łobuzerii targowiska. Przyparli go do kamiennego pomnika na środku placu. Wśród łobuzów wyróżniał się wzrostem siedemnastoletni na oko chudzielec z krótko obciętymi ciemnymi włosami. Był to Billy Shepherd, wódz jednego z gangów rywalizujących o panowanie w podziemnym



światku targowiska. Znam Billy'ego, odkąd pierwszy raz wyszłam się bawić na ulicę: już wtedy był okropnym chuliganem, a z wiekiem wcale się nie poprawia. Nie znaczy to rzecz jasna, że on jeden terroryzuje Covent Garden. Ma jednak niezwykłą cechę, która zresztą uczyniła go szefem gangu: jest bystry. Łączy całkowity brak skrupułów moralnych z przebiegłością lisa. Powiem szczerze: gdyby tak diabeł wyzwał Billy'ego na pojedynek grzechów i gdyby przyjmowano zakłady, postawiłabym na Billy'ego. Nie wierzysz mi? Proszę więc, Czytelniku - oto mój szyling; połóż swój obok na stole i zobaczymy pod koniec tej przygody, kto się wzbogaci.

Znając Billy'ego aż za dobrze, rozejrzałam się zatroskana, czy nie ma gdzieś w pobliżu gangu Syda. Syd rywalizował z Billym o władzę nad placem. Chociaż miał naturę łagodnego olbrzyma, w obronie swojego terenu nie żałował pięści. Gdybym go namówiła na wzięcie Pedra pod opiekę, na pewno nie dałby mu zrobić krzywdy. Niestety, nigdzie go nie było widać. Jeśli chciałam dostarczyć Pedra z powrotem do teatru w jednym kawałku, mogłam liczyć tylko na siebie. A należało działać szybko, bo Billy właśnie podszedł do Pedra i złapał go za

kołnierz. Pedro spojrział na niego z niedowierzaniem, stropiony napaścią, której niczym przecież nie sprowokował. Nie rozumiał jeszcze, że Billy nie potrzebuje pretekstu.

- Hej tam! Billy! - wrzasnęłam, biegnąc do nich po kocich łbach. - Puść go! On jest ze mną!

Billy oparł się nonszalancko o cokół pomnika, przyciskając Pedra za gardło do kamiennego bloku. Paru nieokrzesanych koleśków Billy ego zachichotało, gdy zatrzymałam się z poślizgiem przed stopniami postumentu.

- Więc to tak, Kiciu? Znalazłaś sobie kawalera? - zarechotał Billy. - Służy ci do czyszczenia komina, no nie? A my ci się nie podobamy?

Jego oczy, jak dwie bryłki lodu w niezdrowo bladej twarzy, błysnęły złośliwie, kiedy na mnie spojrział.

- Nie pleć głupstw! - warknęłam ze złością, czując, że się zaczerwieniłam. - To nie jest żaden mój kawaler. Poznałam go dziś rano i przed chwilą uratował mi życie. W teatrze.

- Uratował życie ślicznej panience, tak? - wycedził Billy. - To pięknie, to pięknie. Coś ci powiem: daj całusa, to go puszczę.

Wydał wstrętne, grube wargi i czekał. Cały gang pokładał się ze śmiechu, jakby Billy był najdowcipniejszym człowiekiem w Londynie.

- Pocałuj mnie gdzieś, ropucho! Dam ci w zęby, jak go natychmiast nie puścisz!

- Dydydydy! Już się boję! - wyglądał się Billy. - Kiciuś wystawia pazurki, tak? Na pomoc, chłopaki, umieram ze strachu!

Jego kumple znów zarżeli z uciechy. Jeden, z długim, spiczastym nosem, podobny do szczura, stanął za mną i miauknął, wywołując kolejny paroksyzm śmiechu całej bandy.

- Ostrzegam cię! - Postąpiłam krok w stronę Bill/ego.

Sama jeszcze nie wiedziałam, co zrobię, ale złość gnała mnie do przodu jak wóz konia pędzącego z górki.

Na razie moja złość wywarła jeden dobry skutek: Billy przestał dusić Pedra i ruszył na mnie, kiwając się na boki, jakby jego własnością był cały rynek i wszystko, co się tam znajdowało - ze mną włącznie.

- Bo co? Szukasz guza? Możesz go łatwo znaleźć, chociaż jesteś dziewczyną. Ale nie damą, a tylko dam się

nie bije. - Wyszczerył się złośliwie, obnażając popsute zęby. - Ty jesteś zwyczajną ulicznicą. Kiedy trzeba, umiesz mówić jak księżna, ale nigdy nie zmyjesz z siebie smrodu rynsztoka, żebyś nie wiem jak udawała przed świetnym towarzystwem w teatrze!

- Ulicznica-kocica! - zawtórował mu Szczur, bardzo z siebie zadowolony.

Szukałam jakiejś ciętej odpowiedzi, gdy nagle Pedro wyrósł jak spod ziemi pomiędzy mną a Billym, z wystawionymi pięściami.

- Nie waż się jej tknąć! - zagroził.

Nawet ja musiałam przyznać, że nie jest z niego zbyt imponujący obrońca. Wyglądał, jakby jeden mocniejszy cios mógł go wysłać na tamten świat. Mimo to podziwiałam jego odwagę.

- Co tam, Smoluchu? - zarechotał Billy. - Zamalować cię na czerwono?

- Daj mu spokój! - rozzłościłam się.

Billy zerknął pogardliwie na Pedra.

- No i widzicie, chłopaki? Nasza Kicia poleciała na czarne wdzięki. - Odepchnął Pedra i złapał mnie w pól, ściskając pod swoją śmierdzącą pachą. - Nie możemy

pozwolić, żeby porządne angielskie dziewczyny zadawały się z afrykańskimi niewolnikami, prawda, chłopaki?

Próbowałam się wyrwać, ale trzymał mnie bez najmniejszego trudu. Wiedziałam, że jeśli szybko czegoś nie zrobię, Billy każe chłopakom zlinczować Pedra. Londyńska łobuzeria za niczym tak nie przepadała jak za pastwieniem się nad cudzoziemcami. Musiałam za wszelką cenę odciągnąć ich uwagę od Pedra.

Ale Afrykanin mi w tym nie pomagał.

- Nie jestem niewolnikiem! - oświadczył dumnie, prężąc tors.

- Puść mnie, prostaku! - szamotałam się, nieszkodliwie waląc Billy ego pod żebra, aby go zmusić do zwolnienia chwytu. - No puszczaj, ty Pryszczu!

Billy zeszywniał. Faktycznie, miał nieszczęście paradować z dużą, wiecznie zaognioną naroślą na samym czubku nosa. Nie wiedziałam jednak, że jest aż tak czuły na tym punkcie - gdybym wiedziała, wyskoczyłabym z przewiskiem dużo wcześniej. Billy rzucił mnie ze złością na bruk, częstując epitetem, jakiego nie słyszy się w dobrym towarzystwie. I przymierzył się do kopniaka.

- Uciekaj! - krzyknęłam do Pedra, podrywając się z ziemi i ruszając pędem w stronę domu.

Nie obejrzałam się nawet, czy Pedro biegnie za mną - zrobiłam swoje, odciągnęłam uwagę Billy'ego, a teraz Pedro musiał już polegać na sobie. Moja sztuczka przyniosła na razie efekt połowiczny: za plecami słyszałam tupot bandy Billy'ego. Gonili mnie.

Jednym susem przesadziłam stragan z warzywami, strącając skrzynkę jabłek. Usłyszałam z tyłu przekleństwo jakiegoś chłopaka, który potknął się na rozsypanej przeze mnie zielonej amunicji.

- Wracaj no tutaj, łobuzico! - krzyknął za mną niefortunny właściciel straganu, ale nie byłam taka głupia, żeby go usłuchać.

Kątem oka spostrzegłam, że Pedro biegnie równo ze mną, ścigany przez dwóch kumpli Billy ego. Odsądzał się od nich z łatwością i wyglądało na to, że ma większe niż ja szanse dotrzeć cało do domu. Za plecami słyszałam ciężkie sapanie. Trzeba zniknąć im z pola widzenia, bo inaczej już po mnie. Skręciłam ostro w prawo, ginąc z oczu prześladowcom na parę cennych sekund, i dałam nura pod stragan handlarki nabiałem. Za ladą stała pani

Peters - moje szczęście, bo mówiono o niej, że ma dobre serce.

- Niech mnie pani schowa! - szepnęłam głośno do jej grubych nóg.

- Bój się Boga, Kiciu! - mruknęła półgębkiem. - W co ty się znowu wpakowałaś?

Nie miałam czasu na odpowiedź, bo Billy Shepherd już znalazł się przy straganie. Skuliłam się za maselnicą, mając nadzieję, że nie wpadnie mu do głowy zajrzeć pod ladę. Moja kryjówka zalatywała skisłym mlekiem, ale w sytuacji bez wyjścia nie było co wybrzydząć.

- Paniusiu! Gadaj, gdzie ona uciekła? - wysapał ciężko Billy.

- Znaczy się kto? - spytała pani Peters z wymuszoną wesołością, chociaż palce jej pobieleły, gdy zacisnęła je na fałdach spódnicy.

Wszyscy straganiarze mieli powód, aby bać się Billy'ego Shepherd. Był bezwzględny i nie zawahałby się zniszczyć im interes, gdyby tak mu się spodobało. Handlarze błagali Syda, żeby zrobił porządek z Billym, i wiadomo było, że zanosi się na ich rychłą konfrontację.

- Niech mnie pani nie próbuje nabierać - warknął Billy. - Kicia, ta ruda, z teatru. A pani myślała, że kto?

- Aa, ona! - powiedziała pani Peters, jakby nagle ją oświeciło. - Widziałam ją, jak gnała ulicą Russella, jakby ją sam diabeł gonił.

Billy zaklął siarczyście.

- Łziesz, stara krowo. Tak daleko by jeszcze nie dobiegła.

- Jak mi nie wierzysz, to przeszukaj sobie mój stragan i te obok też! - Machnęła ścierką w stronę sąsiednich kramów. Było to z jej strony ryzykowne posunięcie. Przyłgnęłam z całych sił do maselnicy, aż metalowa obręcz wpiła mi się w policzek. - Nie mam nic do ukrycia przed takimi jak ty.

- Strzeż się, paniusiu, bo moi chłopcy niedługo tu do ciebie zajrzą!

Pani Peters milczała. Czy Billy skorzysta z jej zaproszenia do rewizji straganu? Jeżeli tak, to już po mnie. Może jednak zniechęci go perspektywa grzebania wśród woniejących serów. Billy wahał się dostatecznie długo, żeby zdążyć do niego dobiec jeden z kompanów.



- Billy, namierzyliśmy Smolucha! Jest tam!

Podkute buciory zadudniły po bruku, oddalając się za nową zdobyczą. Odczekałam, aż tupot całkiem umilknie, i ostrożnie wyłoniłam się z kryjówki.

- Dziękuję, pani Peters - powiedziałam uradowana, nabierając świeżego powietrza.

- Nigdy więcej mi tego nie rób, Kiciu! - odparła, wyładowując tasakiem złość na serze wielkości koła od wozu.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałam sprawić pani kłopotu.

Pani Peters otarła czoło wierzchem dłoni i spojrzała na mnie, ujmując się pod boki.

- Wiem, kochaneczko, ale ty się najlepiej trzymaj od niego z daleka. Bo jeszcze któregoś dnia znajdą cię w rynsztoku z poderżniętym gardłem, jak tego biednego Nata Perkinsa. - Wychyliła się przez stragan, sprawdzając, czy droga wolna. - A teraz zmykaj stąd jak najprędzej.

Kiwnęłam głową i skierowałam się na południe, zamierzając zrobić rundę po ulicach i dotrzeć do Drury Lane od drugiej strony. Miałam tylko nadzieję, że i Pedro zdołał uciec.

Znalazłam go opartego o studzienkę przy wejściu dla aktorów. Jego piękna liberia była cała w strzępach, krew leciała mu z nosa i miał podbite oko. Zobaczył mnie z daleka, skłonił się i uśmiechnął, pokazując zęby zakrwawione od rozciętej wargi.

- Też im uciekłaś? - zagadnął.
- Lepiej niż ty, sądząc po tym, co widzę.

Wzruszył ramionami.

- Skręciłem w złą stronę, ale na szczęście dopadł mnie tylko jeden z nich, ten najmniejszy. Raz-dwa zrobiłem z nim porządek i zwałem, zanim nadbiegła reszta.

- Zrobiłeś z nim porządek? - powtórzyłam z niedowierzaniem.

Pedro nie wyglądał mi na zabijakę.

- Umiem zadbać o siebie, jeśli chcesz wiedzieć.  
- Więc nie potrzebowałeś mojej pomocy? - spytałam z przekąsem. - Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś, bo oszczędziłabym sobie kłopotu. Mam rozumieć, że rozłożyłbyś ich wszystkich w pojedynkę?

- No, szczerze mówiąc, nie wyglądało to obiecująco, nim się zjawiłaś. - Otarł dłońmi umytą już twarz i otrząpał podarte ubranie. - Wejdziemy do środka?

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z powagi zagrożenia, jakie nad nami wisiało.

- Jedno lanie jakoś zniosłeś - burknęłam - ale i ciebie, i mnie czeka drugie, kiedy zobaczą, w jakim jesteś stanie.

- Bicie to dla mnie nic nowego. Dzięki za pomoc, panno Kiciu.

Uklonił się błazeńsko.

Nie mogłam nie uśmiechnąć się na ten pokaz galanterii. Taki ukłon godzien był księżniczki.

- Wystarczy samo Kiciu, Pedro. Ty uratowałeś mnie w balonie, ja cię ocaliłam z łap Prysacza. Czyli jesteśmy kwita, tak?

- Jesteśmy kwita.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznym schronieniu teatru, dotarło do mnie, że dzisiejsza poranna eskapada na pewno będzie miała dalszy ciąg. Naraziłam się Billy'emu „Pryszczowi” Shepherdowi, a jego wrogowie mieli niefortunny zwyczaj spotykać własną śmierć w ciemnych zaułkach. Nieprzyjemna perspektywa.

### SCENA 3 - TRIUMF

Tak jak przewidziałam, dostaliśmy solidnie w skórę za powrót do teatru w ubłoconych - a w przypadku Pedra także zakrwawionych - ubraniach. Nikt nie chciał słuchać naszych wyjaśnień. Signora Angeliniego interesowało tylko to, że Pedro zmarnował godzinę próby, a w dodatku poniósł szkody na stroju i urodzie. Co do mnie, pani Reid nie była zadowolona ani z ubłoconej spódnicy, ani z roli, jaką, według jej przypuszczeń, odegrałam w zniszczeniu kostiumu Mauretańskiego Księcia.

- Możesz sobie teraz płakać, moja panno - zrzędziła, gdy ja masowałam dłonie, czerwone od otrzymanych przed chwilą razów - ale trzeba było trochę pomyśleć, zanim wyciągnęłaś chłopaka na ulicę. Jeśli chcesz tutaj zostać, musisz zacząć zachowywać się jak dama, a nie jak uliczny oberwaniec.

- Ja go nigdzie nie wyciągnęłam! - broniłam się, oburzona niesprawiedliwością zarzutu. - Ratowałam go przed napaścią gangu z targowiska!

- No to niezbyt dobrze się spisałaś, przyznaj sama - odburknęła pani Reid, wpinając szpilkę w kostium Pedra, który cierpliwie stał i czekał na koniec przymiarki.

Signor Angelini spuścił mu lanie, ale w jakie okolice ciała - to przemilczę. Dość, że nie przeszkodzi mu to grać na skrzypcach, a publiczność nie zobaczy śladów chłosty. Pedro skrzywił się, gdy pani Reid ściągnęła mocniej jego szkarłatną jedwabną szarfę, ale widząc, że go obserwuję, mrugnął zawadiacko, korzystając z tego, że krawcowa na chwilę się odwróciła.

Weszła Sara Bowers, niosąc na tacy olbrzymi tort. Niestety, z bliska okazało się, że to nie deser, na który już się oblizywałam, lecz przepysznie zdobiony jasnorożowy turban.

- Proszę uprzejmie - rzekła Sara, wciskając turban głęboko na głowę Pedra, tak że zasłonił ranę na skroni. - Nawtykałam tych klejnotów, ile wlezie; powinny odciągnąć uwagę publiki od twojego podbitego oka.

Istotnie, barwne kamienie migotały pięknie nawet w przyćmionym wnętrzu Jaskółczego Gniazda; nietrudno

było wyobrazić je sobie w pełnej krasie, w blasku kandelabrow. Wzmianka Sary o klejnotach przypomniała mi jednak coś, co w zamęcie ostatnich przygód całkiem wyłeciało mi z głowy.

- To prawdziwe? - spytałam, wskazując palcem wielki rubin wpięty w środek turbanu.

Przytrzymał on białe strusie pióro, które kołysało się wdzięcznie nad głową Pedra niczym szyja łabędzia nurzającego dziób w jedwabistym stawie.

- Mam taką szczerą nadzieję - odpowiedział mi Pedro, zerkając na swoje odbicie w lustrze - bo zamierzam teraz wskoczyć na pierwszy statek do Francji i za te skarby żyć tam jak można pan do końca moich dni.

Pani Reid, udobruchana nieco efektownym wyglądem kostiumu, nad którym tak się napracowała, roześmiała się, słysząc te słowa.

- Za te długo byś nie pożył, mój mały; to wszystko imitacje. Tanie świecidełka. Samo pióro warte jest więcej niż wszystkie one razem wzięte - zostało przywiezione aż z Afryki, kto by pomyślał! Więc uważaj, żeby mu się przypadkiem nic nie stało, bo znów dostaniesz w skórę!

Błysnęła groźnie w lustrze krótkowzrocznymi oczami, wpinając Pedrowi w jedno ucho kolczyk z perłą.

Pedro pokiwał głową, wprawiając strusie pióro w zwiewny taniec.

- Trzeba ci wiedzieć, Kiciu, że prawdziwe klejnoty w ogóle rzadko się widuje - wtrąciła Sara, drapując fałdy turbanu na głowie Pedra. - Perły oraz brylanty dam zasiadających w naszych łóżach to najczęściej podróbki. Ponoć niejedna księżna trzyma swoje kosztowności w lawendzie.

- W lawendzie? - zdziwiłam się.

- No, oddane pod zastaw - wyjaśniła pani Reid. - Zwykle za długi karciane. Tak że wy dobrze się zastanówcie, gdyby was kiedyś wzięła chętka spróbować szczęścia w kartach.

Spojrzała srogo znad okularów na mnie i na Sarę.

W moim przypadku o takiej chętki nie mogło być mowy. Nikt chyba nie przypuszczał, że mam jakieś pieniądze, a co dopiero klejnoty, do roztrwonienia przy karcianym stole. Ale kto wie, czy pani Reid nie naprowadzi mnie niechcący na trop tajemnicy diamentu pana Sheridana.

- A pani - zagadnęłam ją, podając miarę krawiecką, która upadła na podłogę - gdyby miała prawdziwy klejnot, gdzie by go schowała?

- W wielkiej żelaznej skrzyni w londyńskim zamku Tower, gdzie strażnicy pilnowaliby wejścia dzień i noc - zachichotała. - Gdybym tylko...

- Mniejsza o skrzynię - przerwała jej Sara, dorzucając szufelkę węgla do kominka. - Mnie wystarczyłby sam strażnik, metr osiemdziesiąt wzrostu i zabójczo przystojny.

Przeszła po dywaniku przed kominkiem krokiem wielkiej damy, bawiąc się od niechcenia świecidełkiem zawieszonym na łańcuszku wokół szyi.

- Ty bezwstydnico! - zbeształa ją ze śmiechem pani Reid. - Miarkuj się trochę, bo marnie skończysz. No, mój paniczku, ściągnij paradny strój i idź z Kicią, niech ci pokaże, gdzie można coś przekąsić przed spektaklem. Czasu nie masz dużo.

Złapawszy po garnuszku piwa, kromce chleba, kawałku zimnego mięsa i słodkim, pomarszczonym jabłku ze stołu nakrytego w Pokoju Zielonym, pobieглиśmy z Pedrem urządzić sobie piknik w mojej ulubionej kryjówce, czyli w łoży dyrektora. Na parterze już rozsiadali się



pierwsi widzowie, a przy łóżach galerii kręciła się służba, rezerwując miejsca dla swoich pań i panów. Scena była pusta - balon (już zreperowany) został starannie ukryty za kulisami, aby swym nagłym pojawieniem się należycie oczarować widzów. Jeżeli Pedro chciał zabłysnąć tego wieczoru, miał w balonie potężnego konkurenta.

- Będę cię oglądała stąd, jak pan Sheridan mi pozwoli - powiedziałam. Pedro dziwnie zamilkł; przypuszczałam, że trema już daje mu się we znaki. - Denerwujesz się?

Pedro pokręcił głową, błyskając w blasku świec perłowym kolczykiem, którego nie zdjął po przymiarce.

- Wcale się nie denerwuję. Przypominałem sobie tylko wszystkie teatry, w których już występowałem. Ten jest, bez dwóch zdań, największy. - Rozejrzył się po odrapanych ławkach widowni zdolnej pomieścić parę tysięcy najzaciejszych obywateli Londynu, a także sporo hołoty. - Kiciu, ty tu naprawdę mieszkasz?

- Całe życie - odrzekłam. - A ty gdzie?

Wzruszył ramionami.

- Z wczesnego dzieciństwa niewiele pamiętam, tylko... - urwał i zamyślił się - ...przyjazne twarze i gorące słońce.

- A jak to się stało, że znalazłeś się w deszczowym, zimnym Londynie? - spytałam, zachęcając go do dalszych zwierzeń.

Twarz Pedra stężała i pojawił się na niej wyraz goryczy.

- Gdy byłem jeszcze mały, całą moją rodzinę wrogowie sprzedali handlarzom niewolników. Rozdzielono nas. Ja, można tak powiedzieć, miałem szczęście, bo podczas podróży do kolonii wpadłem w oko pewnemu dżentelmenowi, niejakiemu panu Hawkinsowi. Zobaczył mnie któregoś dnia, jak grałem na fujarce - zabawiałem marynarzy, dzięki czemu wyrwałem się z piekła pod pokładem. Pan Hawkins kupił mnie i w ciągu paru lat wyszkolił na skrzypka. Potem odzyskał część wydanych pieniędzy, wysyłając mnie w objazd po południowym zachodzie, gdzie występowałem w teatrach i domach prywatnych. Grałem w ten sposób przez parę sezonów, aż w końcu, miesiąc temu, odkupił mnie Signor Angelini.

- Odkupił? A więc jesteś niewolnikiem? - spytałam zaciekawiona.

Pedro spojrział na mnie groźnie.

- Nic podobnego. Jestem początkującym muzykiem pod kuratelą Signora Angeliniego. Odkąd postawiłem stopę na wybrzeżu twojego kraju, stałem się wolny - tak samo wolny jak ty.

- Przepraszam - mruknęłam, teraz dopiero rozumiejąc, że go uraziłam. - Czyli możesz wyjechać, kiedy zechcesz? I wrócić do domu?

Zaśmiał się z goryczą.

- Do domu? A gdzie to jest, za pozwoleniem? Całą moją rodzinę sprzedano do niewoli. Jeśli jeszcze w ogóle żyją, to jak ich znajdę? Nie pamiętam nawet, jak się naprawdę nazywam.

Patrzył na mnie ze złością, jakbym ponosiła część winy za jego niedolę. Nie mógł wiedzieć, że choć losy nasze ułożyły się tak odmiennie, miałam wrażenie, iż bardzo wiele nas łączy: oboje zostaliśmy wrzuceni samotnie w świat u zarania życia i oboje byliśmy teraz odcięci od rodziny. Ja też często zastanawiałam się, jakie imię nadała mi matka. Jak przez mgłę pamiętałam kobietę, która się mną opiekowała - śniła mi się czasami, ale żaden jej

obraz nie pozostawał w oczach po obudzeniu. Wiedzia-  
łam jednak przynajmniej, dlaczego wylądowałam w tea-  
trze jako Kicia.

- Skąd w takim razie wzięło się twoje imię Pedro? -  
spytałam.

- Tak się nazywał pies mojego pierwszego pana, sa-  
ma więc widzisz, jak wysoko właściciel mnie cenił - od-  
rzekł Pedro z ironicznym uśmiechem. - Nazwisko  
Hawkins noszę po nim. Ale teraz mam zamiar sam za-  
pracować na swoje nazwisko. Nie będę więcej niczyją  
tresowaną małpą. Skoro już znalazłem się w Londynie,  
zdobędę sławę pierwszego muzyka w Europie.

Zadarł dumnie głowę, gromiąc wzrokiem zebraną w  
dole publiczność, jakby rzucał jej wyzwanie.

- Nie wątpię w to - powiedziałam.

Pedro wznosił garnuszek z piwem na znak, że przyj-  
muje moje zapewnienie, i pociągnął łyk. Potem otarł usta  
i spytał:

- A ty? Co zamierzasz robić, jak dorośniesz i nie bę-  
dziesz już mogła mieszkać w teatrze?

Zaskoczył mnie. Nigdy nie myślałam o innym życiu  
niż za kulisami Drury Lane. Jednak Pedro miał rację:

przyjdzie dzień, gdy nie będę już mogła sypiać na posłaniu z kostiumów teatralnych w Jaskółczym Gnieździe. Nie chciałam, żeby Pedro uznał mnie za beztalencie, niezdolne się o siebie zatroszczyć.

- Mam zamiar zostać pisarką - palnęłam bez namysłu. - Będę pisać sztuki teatralne. - Pedro przyjrzał mi się sceptycznie. - Umiem czytać i pisać, stary sufler mnie nauczył. Zawsze powtarzał, że nie ma lepszej szkoły jak teatr: Szekspir, Dryden, Johnson - czytałam wszystkich. I rozmawiam po francusku z baletnicami, i umiem czytać po francusku.

- Ale jesteś dziewczyną - rzekł lekceważąco.

Najwyraźniej nie zaimponowały mu moje zdolności.

Tym razem to ja wpadłam w złość.

- No to co? Kobiety też potrafią świetnie żyć z pisania. Popatrz na panią Radcliffe, na panią Inchbald.

Fuknął pogardliwie.

- No a o czym ty będziesz pisać? Podróżowałaś po świecie? Byłaś w Indiach, w Amerykach? Obracałaś się w wykwintnym towarzystwie, tak jak ja?

- Nie, ale przynajmniej nie roznosiłam w tym czasie kieliszków na tacy - odcięłam się.

Pedro parsknął śmiechem.

- *Touche*.

- Co to znaczy?

- *Touche* - trafiony. To termin szermierczy, mój dawny pan pasjonował się fechtunkiem.

- Aha. - Całkiem już straciłam humor. W porównaniu z obytym w świecie Pedrem, szkolonym w dworskich sztukach muzyki oraz fechtunku, nie umiałam nic. Mimo to ani myślałam przyznać się do porażki. - Jeśli chcesz wiedzieć, to mam mnóstwo tematów do opisanie. Na przykład diament pana Sheridana.

- Diament?

Udało mi się zrobić na nim wrażenie, jednak z miejsca pożałowałam, że tak mi się wyrwało.

- Niepotrzebnie ci powiedziałam. Zapomnij o tym.

- Jeszcze czego! Lepiej powiedz od razu wszystko, bo zapytam samego pana Sheridana.

- Nie zrobisz tego!

- Zrobię!

Minę miał zdecydowaną, nawet bezwzględną. Wierzyłam, że w tej chwili byłby zdolny wręcz do wszystkiego.

- Powiem ci, jak obiecasz dotrzymać sekretu.

Kiwnął głową i skłonił się z powagą, kładąc rękę na sercu.

- Otóż pan Sheridan ukrył w teatrze diament i ja dla niego tego diamentu pilnuję.

- Gdzie on jest? - spytał niecierpliwie.

Wtedy przypomniałam sobie, co Pedro mówił o ucieczce do Francji z klejnotami z turbanu.

Z prawdziwą ulgą mogłam się przyznać, że nie znam miejsca ukrycia diamentu.

- Nie wiem. Ale gdyby ktokolwiek zaczął tu za nim węszyć, mam to natychmiast powiedzieć panu Sheridanowi.

Pedro spojrział na mnie dziwnie - może myślał, że jego właśnie mam na myśli.

- Pomogę ci - powiedział. - To brzmi ciekawie. A poza tym jak złapiemy złodzieja, dostaniemy nagrodę.

Wzruszyłam ramionami.

- Może.

Spojrzałam na widownię: była prawie pełna.

- Nie powinienesz iść się przebrać? - spytałam Pedra.

- Przedstawienie zaraz się zacznie.

Pedro strzepnął okruchy ze spodni i skłonił się po raz drugi.

- Dzisiaj będę grał dla ciebie, Kiciu - rzekł z galanterią, zanim opuścił łóżę.

Patrząc za nim, zamyśliłam się nad tym nowym przyjacielem - bo chyba był przyjacielem po tym, co przeżyliśmy razem tego ranka. Pedro był najniezwyklejszym chłopcem, jakiego znałam, i nie chodzi mi tu o kolor skóry. Nie mogłam zapomnieć muzyki, która płynęła rano z jego skrzypiec - zdawało się, że Pedro ma dostęp do czegoś znacznie większego niż wszystko, co ja znałam, do czegoś wręcz świętego. Właśnie tak - pomyślałam z uśmiechem, uświadamiając sobie, jaki obraz majaczy mi w wyobraźni: Pedro był jak kapłan, kapłan muzyki, przewyższający nas wszystkich, którzy nigdy nie weszliśmy za zasłonę Świętego Świętych. Takie wrażenie sprawiał, dopóki nie usłyszał o pieniądzach - ten temat natychmiast sprowadzał go na ziemię i stawiał na równi z nami. Postanowiłam nie wspominać przy nim więcej o diamencie - ten jeden raz to już był gruby błąd.

Pan Sheridan jeszcze nie przybył, ale spodziewałam się, że po głównej sztuce zajrzy na premierę farsy z balonem,



pod tytułem *Opowieść Mongola*. To znaczyło, że na razie mam luksusową łożę tylko dla siebie. Usadowiona w fotelu pana Sheridana bawiłam się lornetką. Nakierowałam ją na parter widowni, podglądając panów obżerających się orzechami i pomarańczami. Jonasz Miller, kancelista z naprzeciwka, długonosy młodzian z rzadkimi blond włosami i niezdrową cerą, siedział na skraju ławy, tuż pod moją łożą. Chyba całą pensję wydaje na bilety do teatru. Jest fanatykiem sceny i wszyscy wiedzą, że adoruje pannę Stageldoir - co tydzień posyła jej do garderoby wonne bukietki i inne dowody uwielbienia. Artystka, oczywiście, lekceważy go, mówiąc, że to tylko urzędniczyna z wybujałą wyobraźnią. Od siebie dodam, że Jonasz Miller to podły typ, który nigdy nie przegapi okazji dokuczenia ludziom postawionym niżej od niego. A ponieważ ja plasuję się blisko społecznego dna, jasne jest, że ilekroć nasze drogi się przecinają, Jonasz Miller zawsze mnie poniża - rzuca złośliwe uwagi albo brutalnie spycha mnie z drogi. W tej chwili siedział obok młodzieńca w ciemnym surducie i obaj wpatrywali się z przejęciem w ulotkę, którą mieli rozłożoną na kolanach. Chcąc odegrać się na kanceliście, skorzystałam ze swojej

chwilowo uprzywilejowanej pozycji i nakierowałam lornetkę na tak ciekawy dla nich arkusz papieru. Widniała na nim tylko karykatura - złośliwe wyobrażenie kogoś z rządu albo z rodziny królewskiej. Wychyliłam się i nadstawiłam ucha, ciekawa, co panowie do siebie mówią.

- Kapitan Iskra znów atakuje! - wykrzyknął Jonasz Miller. - Patrz, co zrobił z królem: wygląda jak worek kartofli. Nie, zaraz, zaraz. Przecież ten król kuca na „śmietniku historii”. O, psiakość! Satyryk nieco się zagalopował, nie sądzisz?

- Nietęgą ma minę ten król Francji\* - zauważył jego towarzysz. - Widać, że francuska wolność nie przypada mu do gustu.

\* Król Francji Ludwik XVI, panujący w latach 1754-1793.

- Tu też przydałoby się trochę francuskiego ducha rewolucji, no nie, Reuben? Skończyć ze starymi porządkami, dać szansę nam, młodym. W końcu to my jesteśmy przyszłością kraju, a nie ten stary germański piernik, król\*\*.

\*\* Król Anglii Jerzy III Hanowerski, panujący w latach 1760-1820.

Reuben spojrział na niego niemal z przestachem.

- Óóó! - syknął. - Ktoś cię może usłyszeć! Szpicle wszędzie węszą wicherzycieli. Wiesz, że za obrazę króla gotowi wsadzić cię do Tower? A za zdradę stanu powiesić i poćwiartować?

- Nie ośmielą się - odparł buńczucznie Jonasz Miller, ścisząc jednak głos. - Za bardzo się nas boją. Mają stracha, że zrobimy z nimi to co Francuzi ze swoim królem, którym kręcą teraz jak szewc kopytem. A potrafilibyśmy.

Spróbował napuszyć się z godnością, ale według mnie przypominał raczej wielką ropuchę skrzeczącą czcze pogrózki.

Próżne słowa. Ten lud nigdy nie potraktuje króla Jerzego tak jak Francuzi swojego Ludwika. A co do umieszczenia go na śmietniku historii - niemożliwe! Anglia bez króla była czymś niewyobrażalnym, jak Londyn bez teatrów. Czy nie spróbowaliśmy już raz, z Cromwellem, i nie doszliśmy do wniosku, że jednak wolimy monarchię? Wielka szkoda, że troska Jonasza Millera o uciśniony lud nie obejmuje bliźnich stojących niżej od niego - pomyślałam, zwracając się ku ciekawszym wydarzeniom, na scenie. Orkiestra właśnie wkraczała gęsiego na swoje miejsca. Było wpół do siódmej i przedstawienie wreszcie się zaczynało.

Długo jeszcze miałam czekać na występ Pedra i balonu, gdyż na początek szła mroczna gotycka opera *Nawiedzona wieża*, według mnie niewiele lepsza od wypocin pana Saltera, ale najwyraźniej w guście publiczności. Pan Kemble zadbał o to, żeby na scenie pełno było sztucznej krwi i wrzasków, gdyż te widownia uwielbiała.

W piątym akcie drzwi za moimi plecami uchyliły się i musiałam opuścić fotel, oddając miejsce panu Sheridanowi. Towarzyszył mu jakiś dżentelmen oraz dwoje młodych ludzi, chłopiec i dziewczyna, oboje parę lat starsi ode mnie i pięknie ubrani. Usuwając im się pospiesznie z drogi, spostrzegłam kątem oka błękitny jedwab lamowanej koronką sukni, którą miała na sobie dziewczyna, i ścisnęła mnie zazdrość.

Nigdy w życiu nie miałam niczego równie pięknego.

- Grzałaś mi miejsce, tak, Kiciu? - zażartował pan Sheridan.

- Tak, proszę pana - odrzekłam, dygając (miałam przecież dość rozumu, żeby nie spoufalać się z moim dobrodziejem w obecności obcych).

Chłopiec gapił się na mnie z jawnym zaciekawieniem, jak na okaz zoologiczny.

- Teraz zmykaj stąd - powiedział pan Sheridan, wyganiając mnie gestem. - Zrób miejsce dla panicza Franciszka i panienki Elżbiety.

Nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Wyszłam z łoży. Państwo przyszli i wyrzucili sługę. Ponieważ nie mogłam liczyć na rewolucję, która zmieniłaby tę sytuację na moją korzyść, musiałam poszukać sobie innego miejsca do oglądania Pedra.

Zeszłam cicho po schodach i wślizgnęłam się bocznymi drzwiami na parter widowni. Nie było to miejsce dla szanujących się dziewczynek, więc wzięłam od portierki Sally Hubbard plik programów i stanęłam przy wejściu, udając, że jestem tam po to, żeby je sprzedawać.

Perspektywa ujrzenia Pedra i balonu przedstawiała się jednak marnie. Z przodu widowni, gdzie były tylko miejsca stojące, panował taki ścisk, że prawie nie widziałam sceny - tłoczącym się najbliżej mężczyznom sięgałam niewiele wyżej niż do pasa. Gdy tak przestępowałam z nogi na nogę, zauważył to krzepki jegomość spod ściany

i szarmancko zaproponował mi pomoc: podniósł mnie i posadził na kolumnie przy wejściu. Trzymając się oprawy kandelabra, widziałam teraz scenę doskonale, ponad głowami ludzi. Uśmiechnęłam się do miłego jegomościa, a on dwornie dotknął róna kapelusza.

Wreszcie kurtyna poszła w górę. Scena była pusta. Widzowie z parteru zaczęli szemrać niezadowoleni. Obiecywano im spektakl, jakiego jeszcze w teatrze nie widzieli, lecz wszystko wskazywało na to, że z nich zakpiono. Uśmiechnęłam się ukradkiem, wiedząc, że za chwilę staną się świadkami wyczynu przewyższającego najśmielsze popisy línoskoczków na Jarmarku Świętego Bartłómieja.

Orkiestra zaczęła grać motyw orientalny, przywołując klimat egzotycznego wschodu, krainy Maurów, tygrysów, diamentów i przypraw korzennych. Szemranie na widowni ucichło. Nagle spod samego dachu nad sceną opadła lina zakończona małą kotwicą, która brzęknęła o deski. Zaskrzypiały liny i zabrzmiały okrzyki: „Uwaga tam w dole!” - po czym kosz balonu zawisł ponad sceną, chwiejąc się lekko na boki. Widownia wydała zbiorowy okrzyk zachwytu. Powolutku, bez jednego szarpnięcia,

kosz opuszczał się dalej ku ziemi, a pan Andrews - jego jedyny pasażer, salutował publiczności. Wstrzymałam oddech: czy pan Bishop na pewno rozwiązał do końca problem lin? Zobaczymy. Oto wyłaniać się zaczęła jedwabna czasza balonu - tłum szalał, klaskał, ludzie wskakiwali na ławki i gwizdali z podziwu.

- Kapitalne! - huknął basem mój uczynny jegomość, ocierając spocone czoło chustką do nosa.

Entuzjazm rozgrzał publiczność i na parterze ledwo dało się oddychać.

Kosz osiadł na scenie, a pan Andrews - dryblas słynny z ról komediowych - wyskoczył z niego i uklonił się publiczności. Tłum gwizdał i klaskał.

- Bis! Bis! - darło się paru widzów tuż obok mnie.

Pan Andrews uniósł dłoń, nakazując ciszę. Gwar na sali ucichł prawie natychmiast.

- Jestem John Smith, ubogi angielski baloniarz. Uczciwie zarabiam na życie, proponując przejażdżki moim latającym pojazdem w Green Parku, jednym z ogrodów publicznych najwspanialszego miasta na świecie, Londynu. - (Wiwaty lokalnych patriotów na widowni). - Ale dzisiaj, gdy jak zwykle wsiadłem do swego balonu, powiął nagły wiatr w kierunku wschodnim i oto znalazłem

się tutaj. Ciekawe, co to za piękny kraj? Zwiedzę go, zanim zawrócę.

Ostatnie słowo wymówił z naciskiem, mrugając do pierwszych rzędów tytułem obietnicy, że na końcu sztuki będzie jeszcze jedna jazda balonem. Udobruchani tym widzowie usiedli z powrotem i zaczęli z uwagą obserwować spektakl.

Treść farsy była absurdalna i prosta: John Smith ląduje w haremie Wielkiego Mogoła i zostaje pojmany przez pałacową gwardię. Grozi mu śmierć, chyba że przekona samego Wielkiego Mogoła, aby darował mu życie. Władca, którego grał pan Kemble, okazuje się wcale nie krwawym tyranem, tylko człowiekiem uczonym i miłosiernym. Uwalnia Johna Smitha w zamian za przejażdżkę balonem. Akcja banalna, lecz dająca wielkie pole do popisów baletowi i orkiestrze, by zademonstrować egzotyczny wschodni styl, który tak bardzo jest ostatnio w modzie. Ale gdzie się podział Pedro? Niecierpliwiłam się z każdą minutą coraz bardziej. Sztuka miała się ku końcowi, a Pedro wciąż nie pojawiał się na scenie.

- A teraz - rzekł Wielki Mogoł, jakby w odpowiedzi na moje myśli - przedstawię ci, o panie, największy cud



naszego królestwa. Mój syn i następca ucieszy twoje uszy, zanim od nas odjedziesz.

Klasnął w dłonie i wkroczyło dwóch służących w szarawarach, dźwigając na drągach skrzynię z bulwiastą kopułą przypominającą wieże pałacu władcy.

Co za wejście! Pedro został postawiony na tle balonu. Jeśli chciał się wyróżnić, musiał teraz pokazać coś, co przyćmiłoby efekt latającego pojazdu. Zaciśnęłam mocno pięści, a serce łomotało mi jak oszalałe.

Słudzy zdjęli wieko skrzyni i wytrysnęły z niej dwie fontanny ognistych fajerwerków, siejąc na scenę białe iskry. Pedro przeskoczył zwinnie przez ognistą barierę, lądując w samym środku sceny. Jedwab i satyna jego szat lśniły bogato, a klejnoty w turbanie miotły błyski, nie ustępując olśniewającym iskrom fajerwerków. Z tą samą zwinnością, którą podziwiałam u niego dziś rano, Pedro jakby wyczarował skrzypce z powietrza i uniósł je pod brodę.

Zaczął grać nieznanym mi utwór, pełen tak uwodzicielskiej melodii i dziwnej harmonii, że wyobraźnia natychmiast przeniosła mnie do Indii - kraju pałaców, niepojętych bogactw, obładowanych statków handlowych na

kotwicy i żarliwego słońca. Nie ja jedna byłam tak oczarowana, bo na widowni zapadła absolutna cisza chłonna tony, które dobywały się z instrumentu niczym złocisty strumień.

Pedro skończył grę i sala milczała. Czyżbym pomyliła się co do oceny publiczności? Nagle zerwała się burza oklasków, ludzie tupali, wiwatowali, gwizdali, wołali o bis. Pedro był na to przygotowany. Z werwą zagrał nową melodię, coraz szybciej i szybciej prowadząc smyczek, w miarę jak utwór nabierał tempa. Publika pokrzykiwała i klaskała w takt, nie nadążając w końcu za tempem solisty. Zawrotne wirowanie muzyki i wykonawcy ustało raptownie w jednym triumfalnym momencie, a sala znów zagrzmiała aplauzem.

Minęło parę minut, zanim sztuka mogła potoczyć się dalej. Gdy owacja przycichła, pan Andrews wygłosił swoją mowę pożegnalną i wdrapał się z powrotem do kosza balonu.

- Żegnajcie! Do zobaczenia w Green Parku! - zawołał, machając wesoło do publiczności.

Widzowie też machali, czekając, aż balon uniesie się na nowo. Czekaliśmy wszyscy. Najwyraźniej coś znów było nie w porządku z systemem wielokółków pod

sufitem. Wyglądało na to, że sztuka zakończy się klapą.

Wtedy jednak do akcji wkroczył, a raczej wskoczył, Pedro. Wcisnąwszy skrzypce w ręce zaskoczonego pana Kemble'a, dał susa do kosza i wspiął się błyskawicznie po najbliższej linie. Publiczność szemrała, ciekawa, czy to też należy do przedstawienia.

Pan Kemble wykorzystał ten nastrój.

- Spójrzcie państwo, oto mój syn idzie prosić bogów, aby pozwolili balonowi chrześcijańskiego barbarzyńcy powrócić na jego morską wyspę! - obwieścił Wielki Mogoł, wskazując w górę smyczkiem skrzypiec.

Widownia śmiechem i okrzykami jęła dopingować Mauretańskiego Księcia, który wspiął się już wysoko i po chwili zniknął za jedwabną czaszą balonu. Niebawem luźne liny zaczęły drżeć. Domyśliłam się, że Pedro poprawia je w mechanizmie pod sufitem. Jeszcze moment - i pojawił się znowu, zjechał szybko po linie i zeskoczył na deski sceny.

- Czy bogowie wyrażają zgodę, aby to pogańskie urządzenie wzniosło się z powrotem? - spytał Wielki Mogoł.

Pedro kiwnął głową, a strusie pióro nad czołem skwapliwie go poparło.

- Żegnaj więc, cudzoziemcze! - zawołał wschodni władca i klasnął dwukrotnie w ręce.

Pan Andrews, już z nieco mniejszym animuszem, pomachał widzom, a balon, poskrzypując, ruszył wreszcie do góry. Aktorzy i publiczność odprowadzili go wzrokiem, aż zniknął pod dachem, a wtedy kurtyna opadła.

- Zdumiewające! - krzyknął mój uprzejmy jegomość, klaszcząc jak najęty, chociaż miał już swoje lata. - Jak żyję, nie widziałem niczego podobnego! A tobie się podobało, dziewczynko?

- Absolutnie cudowne! - odrzekłam szczerze, chwytając jego wyciągniętą usłużnie dłoń i zeskakując z wieży obserwacyjnej. - Pedro był wprost niezrównany!

- Pedro? - powtórzył jegomość, z zaciekawieniem unosząc jedną brew.

- Młody książę: Pedro Hawkins.

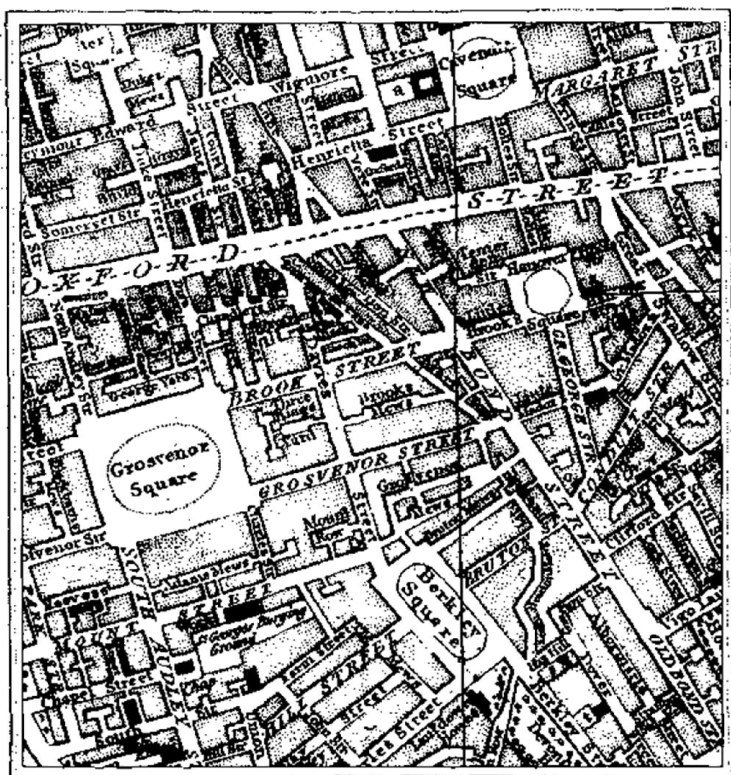
Jegomość wspiął się na palce i zaczął gromko skandować:

- Brawo, Pedro! Brawo, książę!

Najbliżej stojący widzowie ochoczo podchwycili jego krzyk i niebawem już cała sala skandowała imię Pedra. Kurtyna znów poszła w górę, a pan Kemble wypchnął Pedra na scenę, aby solo złożył ukłon przed publicznością.

Pedro Hawkins stał się sławny.

BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



Akt II – w którym świat przewraca się  
do góry nogami w wyniku meczu bokserkiego:  
Przełnik z ulicy Łuczniczkiej przeciwko  
Taranowi z Camden...

## Akt 2

### SCENA 1 - KSIĄŻĘCE DZIECI

**P**obiełam co sił w nogach do Sali Zielonej, chcąc pierwsza pogratulować Pedrowi debiutu na londyńskiej scenie. Ale nie było co się tak spieszyć, bo musiałam jeszcze długo poczekać - widocznie publiczność zażądała dalszych bisów. Wreszcie do sali zaczęli schodzić się wykonawcy, z radosnym ożywieniem komentując swój udział w hicie sezonu. Pan Andrews z panem Kemble'em wkroczyli objęci za ramiona i rozpromienieni. Pan Andrews cytował właśnie zaimprovizowaną przez pana Kemble'a na scenie prośbę do bogów o pozwolenie na start balonu, a autor improwizacji zataczał się ze śmiechu.

Na próżno rozglądałam się za Pedrem. Nie przyszedł z aktorami. W Sali Zielonej robiło się już duszno od natłoku ludzkich ciał, brzęczały wznoszone do toastów kieliszki z winem, cuchnęło szminką i potem. Przez ciżbę

wschodnich piękności i niewolników w pantoflach z zawiniętymi czubami przecisnęłam się do wyjścia. A tu niespodzianka - w progu stał Pedro. Cała obsługa sceny po kolei ścisnęła mu rękę. Długi Tom wetknął mu w dłoń kufel piwa z pianką, ale ledwie Pedro upił pierwszy łyk, pan Bishop klepnął go siarczyście po plecach i prawie całe piwo chlusnęło na podłogę. Obsługa pękała ze śmiechu. Pedro uśmiechnął się półgębkiem, niepewny, czy z niego kpią, czy tylko po koleżeńsku żartują. Jednak przyjazne miny wesołków przekonały go, że oto przeszedł chrzest bojowy i został przyjęty do trupy - rozpromienił się więc i jednym haustem dopił resztkę z kufła.

Usunęłam się skromnie na bok, czekając na swoją kolej do złożenia gratulacji, lecz nie doczekałam się, bo nagle naszedł pan Kemble i zgarnął Pedra, uprowadzając go w sam środek towarzystwa i krzycząc przy tym donośnie:

- Oto bohater dzisiejszego wieczoru! Co za popis!
- W istocie - przytaknął pan Andrews. - Gdyby nie twoja przytomność umysłu, publika powiesiłaby nas wszystkich na linie tego zakichanego balonu.



Pedro przyjmował pochwały z godnością, kłaniając się wszystkim, którzy podchodzili do niego, by prawie mu komplementy. Ja wciąż nie mogłam tam dotrzeć - ścisk był okropny - ale zauważyłam, że Pedro rozgląda się, próbując być może zoczyć mnie w tłumie dorosłych.

- Pedro! - krzyknęłam z kąta, w który mnie zepchnięto. Pedro tkwił właśnie w serdecznym uścisku Piotra Dodsleya. - Pedro! Tutaj!

Mój głos musiał dotrzeć do jego wrażliwych uszu, bo Pedro odwrócił się i pomachał mi. Uwolnwszy się z objęć pierwszego skrzyпка, przecisnęła się zwinnie przez tłum i już po chwili byliśmy znów razem.

- Oglądałaś sztukę? - spytał z niepokojem. - Grałem do twojej łóży, ale nie widziałem cię tam.

- Nie mogłeś mnie widzieć. Pan Sheridan przypro-wadził gości i wyrzucił mnie. - Pedro zrobił smutną mi-nę. - Ale oglądałam z parteru. Miałam świetny widok. A ty byłeś fenomenalny!

Pedro uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie było widać, że mam podbite oko?

Roześmiałam się i pokręciłam głową.

- Nic a nic.

Od drzwi padł władczy okrzyk nakazujący ciszę. Odwróciliśmy się wszyscy w tamtą stronę: w obramowaniu framugi stał pan Sheridan, a przy nim troje wytwornych gości, tych samych, którzy wysiudali mnie wcześniej z łoży.

- Panie i panowie! - zawołał pan Sheridan. Cisza spowiła salę aż po najdalszy kąt, niczym bryza marszcząca tafelę wody na stawie Serpentina w Hyde Parku. - Mam wielki zaszczyt przedstawić państwu nadzwyczajnego gościa. Księżę Avon pragnie osobiście wyrazić wam wszystkim uznanie za dzisiejszy spektakl.

Księżę Avon, postawny dżentelmen z siwym lokiem zaczesanym do góry nad łysiejącym czołem, wystąpił na środek sali i odchrząknął.

- Jak to już był łaskaw powiedzieć mój czcigodny przyjaciel, uważam, że wszyscy państwo wypadli dzisiaj znakomicie - ale najlepiej nasz mały Afrykanin. Gdzież on jest? Moje dzieci gorąco pragną go poznać.

- Wystąp - szepnęłam do Pedra, wypychając go na przód.

Stanął przed księciem i skłonił się wytwornie.

- Niezapomniany debiut! - pochwalił jaśnie pan. - Spisałeś się na medal!

Pan Sheridan odprowadził następnie Pedra na stronę, aby go przedstawić panience Elżbiecie i paniczowi Franciszkowi.

Gdy tamci konwersowali na osobności, w Sali Zielonej znów podniósł się gwar rozmów - ja jednak trzymałam się blisko drzwi, obserwując spotkanie naszego scenicznego księcia z najwyższą arystokracją kraju. Panicz Franciszek wyglądał na młodszego od siostry; oceniłam, że jest najwyżej parę lat starszy ode mnie. Miał gęste, niesforne ciemne loki i żywe niebieskie oczy. Zauważyłam, że nie może ustać spokojnie: przestępował z nogi na nogę, z trudem opanowując emocje, i przyglądał się ciekawie każdej przechodzącej osobie. Jego siostra - przeciwnie: stała z niewzruszonym spokojem, słuchając relacji Pedra o tym, jak uratował scenę odlotu balonem. Podobał mi się wyraz jej twarzy, inteligentny i łagodny zarazem. Nie wyglądała na osobę, która uważa, że to poniżej jej godności poświęcać czas jakiegś tam sztuce teatralnej.

Nagle wzrok panicza Franciszka padł na mnie. Panicz szturchnął łokciem panienkę Elżbietę.

- Patrz, Lizi, tam stoi Kicia pana Sheridana - rzekł, posyłając mi uśmiech. - Ciekaw byłem właśnie, co się z nią dzieje.

Chciałam dać drapaką, Pedro jednak podskoczył i chwycił mnie pod ramię.

- Państwo pozwolą, że przedstawię.

Pociągnął mnie przed gości.

- Mówił panicz, że ciekawi go teatr. Oto więc nasza nadworna znawczyni.

Wskazał na mnie uroczystym ruchem ręki jak magik wyciągający białego królika z kapelusza.

Zaczerwieniłam się, speszona taką prezentacją, i dygnęłam.

- A więc, panno...? - zagadnęła ostrożnie panienska Elżbieta.

- Katarzyna Królewska - odpowiedziałam, gdyż wydało mi się, że stosowniej będzie użyć pełnego imienia i nazwiska.

- Co zatem panna Królewska robi w teatrze? - spytała książęca córka.

- Śpiewa? Gra na jakimś instrumencie? - dorzucił z werwą panicz Franciszek.

Zawahałam się.

Zawód posłańca z pewnością nie mógł zaimponować śmietance angielskiego towarzystwa, oczekującej, że olśnię ją nie mniej niż Pedro.

- Ona pisze - wtrącił pośpiesznie Pedro. - Już niebawem pierwszy utwór jej pióra znajdzie się na wszystkich najlepszych stoiskach z książkami: pełna intryg i tajemnic opowieść genialnego dziecka. To chodzące marzenie księgarzy, gratka dla żurnalistów!

Zatkało mnie. Na szczęście, rozmówcy tego nie zauważyli, zajęci odgadywaniem mojego przyszłego dzieła.

- To doprawdy imponujące! - wykrzyknęła panienka Elżbieta. - Czy w tej historii występują bandyci i zamczyska, w których straszy?

- Albo zbójcy i łowcy złodziei? - dodał panicz Franciszek.

Oboje patrzyli na mnie wyczekująco. Chciało mi się śmiać z niedorzecznej bajeczki Pedra, ale za nic nie zawiodłabym teatru - i siebie samej - przy tak znakomitych gościach. Postanowiłam dowieść, że zasługuję na ich respekt.

- Nie, nic z tych rzeczy - odparłam tonem wyższości.  
- Akcja rozgrywa się tutaj, w Drury Lane, a występują

wszystkie stany społeczne, od najniższych do najwyższych, od ulicznych gangów i chłopców na posyłki po baronów i piękne damy. Tematem będzie... - (tu uciekłam się do języka Szekspira, który brzmiał imponująco, chociaż nie byłam zbyt pewna, co znaczy) - ...podłość zdrady, żądło zemsty oraz szlachetna bezinteresowność miłości, wszystko, naturalnie, ujęte w kłamry fabuły.

- Znakomite! - wykrzyknął panicz Franciszek i z entuzjazmem klasnął w rękę. - A jaki tytuł?

Zamilkłam na moment, obmyślając w pośpiechu odpowiedni tytuł dla bogactwa wymienionych przed chwilą tematów.

- *Diamant z Drury Lane!* - ubiegł mnie Pedro.

Obiecałam sobie, że kopnę go później za tę nieostrożność. Byłam bardzo zła, że wspomniał o diamencie. Żadne z nas nie pisało się należycie w roli strażnika sekretu pana Sheridana. Jeśliby wziąć tytuł Pedra, sekret ów znalazłby się na wszystkich straganach z książkami i prasą.

- Brzmi wspaniale - oceniła panienska Elżbieta, zwracając się do mnie. - Czy panna Królewska i pan Hawkins zechcą przyjąć zaproszenie do występu na naszym

wieczorku towarzyskim w najbliższy piątek? Jeśli, rzecz oczywista, nie powstrzymują ich inne ważne obowiązki?

- Jaki to ma być występ? - spytałam z wahaniem.

- Pan Hawkins, naturalnie, coś nam zagra, a panna Królewska mogłaby odczytać rozdział swojego nader interesującego dzieła.

- Kapitalny pomysł - poparł ją panicz Franciszek.

- Bardzo chętnie - zgodził się Pedro, zanim zdążyłam wymyślić jakąś wymówkę.

- W takim razie będziemy oczekiwać was około szóstej po południu - rzekła panienska Elżbieta, zapisując termin małym ołówkiem w notesiku wyjętym z ażurowej torebki.

- Ale... - zająknęłam się.

Pedro nastąpił mi na palce, żebym nie mówiła nic więcej.

- Panna Królewska chciała powiedzieć: „Bardzo dziękujemy, ale gdzie dokładnie mamy się stawić?”.

- Przy placu Grosvenor - wyjaśnił panicz Franciszek, tłumiąc ziewnięcie, jakby na samą myśl o domu odczuł znużenie. - Po stronie południowej. Domu nie sposób przegapić.

Plac Grosvenor! To już brzmiało naprawdę onieśmiejająco. Plac Grosvenor był najznakomitszym adresem w dzielnicy West End. Mieszkały tam same najlepsze rodziny. Osoby bez tytułów szlacheckich nie miały nawet co marzyć o zbezczeszczeniu wymuskanych trawników tego placu swoją nędzną obecnością. Tamtejsi mieszkańcy mieli nawet pośrodku placu swój prywatny park - rzadki luksus w zabudowanym ciasno Londynie - odgrodzony od motłochu parkanem.

Pamiętam, jak raz, posłana w tamte okolice z jakimś poleceniem, stałam i spoglądałam tęsknie na ten zakazany ogród, gdzie dzieci bawiły się na nieskazitelnie czystej trawie - aż przegnał mnie grubiańsko jakiś lokaj.

- Z największą chęcią przyjmujemy zaproszenie - rzekł Pedro z dwornym ukłonem.

Panienka Elżbieta uznała widocznie, że sprawa załatwiona, bo zaczęła rozglądać się za ojcem. Ten nadszedł wkrótce, chwiejąc się lekko na nogach, zarumieniony i rozozochocony. Zapewne raczył się szampanem zamówionym na cześć premiery przez pana Sheridana.



- Pójdźcie, moje dziatki, pora do łóżek - odezwał się, podając ramię córce. - Zadowolona, moja Lizi? - spytał, ujmując ją pod brodę.

Panienska Elżbieta skinęła głową i zwróciła na ojca roziskrzone oczy.

- Nawet więcej niż zadowolona, papo. Panna Królewska zgodziła się dać u nas występ.

Książę Avon zerknął na mnie sceptycznie, ogarniając wzrokiem moją połataną sukienkę i potarganą głowę.

- Ona pisze przewspaniałe opowiadania - wtrącił szybko panicz Franciszek.

- Ach tak? Pisarka? To nadzwyczajne u dziewczynki z tej sfery! - wykrzyknął książę. Po raz kolejny odniosłam wrażenie, że ta wielkopańska rodzina uważa mnie za jakieś kuriozum, coś w rodzaju dwugłowego cielęcia pokazywanego na jarmarkach. - Z wielką chęcią usłyszę o tym coś więcej. Nie poszukujesz aby mecenasa do wydania swoich dzieł, młoda damo? Gorąco popieram starania ludzi niższego stanu o wyniesienie się ponad swoje żałosne życiowe położenie. O ile te starania, rzecz jasna, nie godzą w przyrodzoną cnotliwość kobiety - dodał po chwili namysłu.

Pedro nie ociągał się z przyjęciem oferty wsparcia finansowego.

- Ręczę za pannę Królewską, wasza wielmożność. Zapewne da się urządzić rzecz tak, aby zostawiła próbkę swoich dzieł przy okazji piątkowej wizyty, a wówczas wasza wielmożność będzie mógł rzucić na nie okiem w wolnej chwili.

- Doskonale - rzekł książę. - A zatem do piątku.

Skłoniwszy się lekko na pożegnanie, oddalił się zama-szyście do karety, wiodąc swoje dzieci - panienkę Elżbietę ujął pod ramię, a panicz Franciszek włókł się z tyłu za nimi, wciąż z zachwytem patrząc na świat kulis teatru.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu, napadłam na przyjaciela:

- Co ty sobie myślisz, Pedro?

- Myślę sobie o twojej przyszłości, droga Kiciu. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - A także o mojej. Wierz mi, że takie propozycje nie trafiają się codziennie.

- Tak, tylko że ja nie napisałam niczego stosownego dla książęcych oczu, ani dla uszu książęcych dzieci!

- To nie problem. Oni nie chcą słuchać o ludziach podobnych sobie, ciekawi ich niebezpieczny i surowy świat zwykłych ludzi. To dla nich trochę tak jak podróż w egzotyczne kraje.

- Ale ja nie mam nic gotowego na piątek!

- No to bierz się do dzieła, Kiciu. Nie chcę słyszeć więcej wymówek. Nigdy nie spełnisz swojej ambicji zostania pisarką, jeśli raz w końcu nie przyłożysz pióra do papieru. Poza tym liczę na ciebie, że godnie wesprzesz mój pierwszy prywatny występ w Londynie. Nie sprawisz mi zawodu, prawda?

Tu spojrział na mnie krytycznie, zdradzając, że ma co do mnie pewne wątpliwości. No to mu pokażę!

- Ojej! - westchnęłam z irytacją. - Niech ci będzie. Postaram się, jak umiem.

- Najlepiej zacznij od razu - powiedział, popychając mnie w kierunku Jaskółczego Gniazda. - Na jutro spodziewam się co najmniej czterech stron.

Dobrej nocy.

- Dobranoc, handlarzu niewolników - mruknęłam pod nosem.

## SCENA 2 - LEPSZE TOWARZYSTWO

Gdy pani Reid usłyszała o moim zaproszeniu na herbatkę do panienki Elżbiety, tak się przejęła, jakby sama miała tam iść. Wyznaczona przez pana Sheridana na moją wychowawczynię, poważnie traktowała swoje obowiązki, besztając mnie za wszelkie przewinienia, dbając o moje wyżywienie i ubranie. Postępowała ze mną zwykle jak sroga pani ze służącą, toteż wzruszyła mnie niezmiernie jej obietnica uszycia mi specjalnej sukienki na tę doniosłą okazję.

- Będziesz tam reprezentowała teatr, moja panno - zaznaczyła, by wytłumaczyć jakoś swoje miękkie serce. - Nie możesz się pokazać byle jak.

Janek też uznał, że będzie to świetna okazja. Powiedziała mu o zaproszeniu następnego ranka, kiedy sortowaliśmy stare teksty dla pana Kemble'a.

Janek pochylał się nad stołem, z ołówkiem zatkniętym za ucho. Był bez surduta, a rękawy koszuli ze szlachetnego płótna miał podwinięte do łokci. Jego palce były

poplamione atramentem. To nasunęło mi myśl, że on też może być początkującym pisarzem.

- Janku, czy ty też piszesz?

Roześmiał się.

- Nie w tym znaczeniu, o które ci chodzi, Kiciu. Ale jeśli masz ochotę pokazać mi swoje dokonania, chętnie pomogę z gramatyką, ortografią i tak dalej.

- No to dlaczego masz palce poplamione atramentem?

Przyjrzał się swoim dłoniom, odwracając je wnętrzem do góry.

- Bystre masz oko. Nadałabyś się do pomocy sędziemu pokoju z ratusza. Żaden łotr nie umknąłby przed twoim sokolim wzrokiem.

- Sędzia pokoju nie rusza się z magistratu - zauważyłam przytomnie. - W sprawach kryminalnych, gdy idzie o zwrot skradzionej własności, pomszczenie zniewagi czy wytropienie zbiegłej z domu żony, należy zwracać się do któregoś z gangów. Oni wiedzą o wszystkim, co dzieje się na ich terenie.

- Hmm - mruknął sceptycznie Janek. - Przypuszczam, że gangi dość surowo wymierzają sprawiedliwość.

- Niektóre - przyznałam. - Na przykład gang Billy'ego Shepherd'a to banda zabijaków, którzy więcej potrafią zaszkodzić, niż pomóc. Szczególnie komuś, przez kogo poczuli się ośmieszeni. Mają osobliwe poczucie honoru...

- Urwałam, przypomniawszy sobie, co sama zrobiłam poprzedniego dnia.

- Honoru? To słowo jakoś mi nie pasuje do bandy łobuzów.

- Nie tylko dżentelmeni pojedynkują się, gdy doznają zniewagi - wyjaśniłam. Janka trzeba było trochę podszkolić, bo nie przetrwałby długo na naszych ulicach bez znajomości panującego tam kodeksu honorowego. - Ale nie wszystkie gangi są takie jak banda Shepherd'a. Na szczęście jest jeszcze mój przyjaciel Syd i jego kompani. Pomagają utrzymać tamtych w ryzach. Więc jeśli szukasz pomocy, zgłoś się do Syda: on jest zawsze sprawiedliwy. A na Billy'ego Shepherd'a bardzo uważaj. On potrafi dla draki ukraść ślepemu laskę i jeszcze wepchnąć biedaka do rynsztoka. - Zakończywszy pouczenie, zorientowałam się, że Janek odwiódł mnie sprytnie od pytania o ślady atramentu na jego palcach. - No, to teraz gadaj.

- O czym?

Nie zwiodła mnie jego mina niewiniątka ani udawane zaabsorbowanie papierami.

- Przyznaj się, co kombinujesz.

Rozejrzał się wokół.

- Ciebie chyba mogę dopuścić do sekretu - powiedział. - Rysuj.

- Rysujesz? A co? Podobizny? Mógłbyś na przykład mnie narysować?

Kiwnął głową.

- Nie wiem tylko, czy potrafiłbym dostatecznie pięknie oddać twoje piegi i potarganą czuprynę. - Trzepnęłam go. - Au!

- Zilustrujesz mój rękopis? Dzieci księcia na pewno chętnie poznają szczegóły życia za kulisami.

Przyglądał mi się chwilę, rozważając prośbę.

- Jak najbardziej - powiedział wreszcie. - Avon to, zdaje mi się, przyzwoity gość. Jego syn także. A panna Elżbieta jest... jest dokładnie taka, jaka powinna być prawdziwa dama. Nie mam nic przeciwko temu, żeby dostarczyć rozrywki jej znajomym.

Dziwnie to zabrzmiało, ale ucieszyłam się, że mam dodatkową atrakcję na piątek. Miejmy więc nadzieję, że

panicze i panienki, zajęci obrazkami, nie będą zbytnio zważać na słabości tekstu.

Pedro zdołał wymknąć się z próby w południe, uznałam więc, że najwyższy czas przedstawić go Sydowi Fletcherowi. Skoro spotkał się już z Shepherdem, koniecznie potrzebował opieki gangu Syda. Chciałam także pochwalić się przed Sydem, jaki zaszczyt nas spotkał. Na pewno zrobi to na nim wielkie wrażenie: ojciec Syda, rzeźnik, mógł co najwyżej marzyć o zaopatrywaniu kuchni takich domów jak dom księcia Avona, a tymczasem Pedro i ja zostaliśmy zaproszeni na pokoje! Może Syd, usłyszawszy to, zmięknie wreszcie i przyjmie mnie do swojego gangu.

Dwóch chłopaków od Syda obserwowało ulicę w zimowym słońcu sprzed tylnego wejścia do sklepu rzeźnickiego Fletchera. Nick popluwał na ścianę przezutym tytoniem, a Joe ćwiczył popisowe tasowanie kart, przerzucając całą talię harmonią z ręki do ręki.

- Siemasz, Kiciu - zagadnął przyjaźnie Nick, z ciekawością zerkając na mojego kompana. - Pewnie przyszłaś do szefa?



- Jasne. Po co pytasz?
- Bo miałem nadzieję, że może idziesz do mnie i do Joego - zaśmiał się. - Możesz wejść, już prawie na dzisiaj skończył.

Wpuścili nas do siedziby gangu - rzeźni na tyłach sklepu. Syd akurat zmywał okrwawiony pieniek, na którym niejedno stworzenie spotkało nagłą a niespodziewaną śmierć - szorował go zapamiętałe szczotką ryżową, aż blond czupryna spadła mu na oczy. Ponieważ wszystkie części zwierząt przeznaczone były na handel, w pomieszczeniu stało pełno umazanych krwią kubłów z posortowanymi organami i partiami mięsa, od krowiego ozora po krowi ogon, jak mawiał Syd, dumny ze swojego dowcipu. Unosił się tam ten szczególnie zapach trocin pomieszany z dziwnie słodkawą wonią świeżego uboju, który zawsze czuć było od Syda, nawet poza domem.

Syd podniósł oczy i uśmiechnął się na mój widok.

- No proszę, przyszło nasze słoneczko! Jak tam w teatrze, Kiciu?
- Dobrze, dzięki, Syd.

Zawsze dobrze się przy nim czułam - znaliśmy się od tak dawna, że był dla mnie niczym starszy brat, którego

nigdy nie miałam. Jeszcze kiedy bawiliśmy się na ulicy jako małe dzieci, Syd pilnował mnie i uczył wielu rzeczy.

Przedstawiłam mojego towarzysza. Syd otarł ręce o poplamiony krwią fartuch, zanim podał dłoń Pedrowi, który przy jego rosłej, muskularnej postaci wyglądał jak kruszynka.

- Słyszałem, że wzbudziłeś wczoraj prawdziwą sensację, Książę - rzekł z podziwem. - Cały rynek o tym huczy.

Pedro wzruszył ramionami, ale widziałam, że jest mu przyjemnie.

- To nie wszystko - wtrąciłam prędko. - Zostaliśmy oboje zaproszeni do domu księcia!

- A po co? - spytał Syd, patrząc na mnie z lekkim niepokojem. - Chyba nie najęłaś się tam jako służąca, Kiciu?

- Jasne, że nie, ty ośle! - oburzyłam się. Tylko mnie Syd pozwala odnosić się do siebie tak bezceremonialnie. - Mamy zabawić panienkę Elżbietę i panicza Franciszka.

Syd parsknął śmiechem. Spodziewałam się raczej uniozonego podziwu. Podeszedł do worka z trocinami

zawieszonoego u sufitu i zadał mu cios stwardniałą od pracy pięścią.

- Co ten chłopiec potrafi, to wiem, Kiciu, ale ty? Masz zamiar popisywać się swoim ostrym języczkiem i wysuwaniem pazurków? - Wymierzył w worek dwa szybkie ciosy. - Przecież nic więcej nie umiesz, prawda?

Ta uwaga zbiła mnie z pantałyku.

- Mam zamiar coś im przeczytać: opowiadanie, które sama napisałam - powiedziała cicho.

Syd połapał się, że sprawił mi przykrość. Gwizdnął z podziwem, zatrzymując rozhuśtany worek.

- No patrzcie państwo: dziewczynka, która umie się wybronić na targowisku, potrafi także czytać i pisać, jak wielka dama. Nigdy bym cię o coś takiego nie posądził, Kiciu. Zwalisz ich z nóg, to pewne.

- Dzięki, Syd - mruknęłam ponuro.

Pedro zauważył, że znów zaczynam się martwić perspektywą wizyty przy placu Grosvenor, więc pospiesznie zmienił temat.

- Powiedz mi, Syd, jakie tu panują obyczaje? - spytał, dwornie niczym paw stąpając po trocinach w swoich błyszczących trzewikach z klamrami. - Wczoraj poznałem

Billy'ego Pryszczu, ale zdaje mi się, że lepiej byłoby dla mnie spotkać kogoś z twoich chłopaków.

- Billy'ego Pryszczu? - Syd zaśmiał się tak głośno, że zwabił do środka Nicka i Joego. - Słyszeliście to? Książę poznał Billy'ego Pryszczu!

- Kicia go tak przezwała, w żywe oczy - wyjaśnił Pedro.

- A to ładnie! - pochwalił Syd, odwracając się ku mnie. - Tak go nazwałaś w oczy, Kiciu? Założę się, że nie był zachwycony.

- Nie, chciał ją zlać, ale mu uciekła - wypalił Pedro.

Miałam ochotę zamknąć mu buzię, ale było już za późno. Wolałam nie zwierzać się Sydowi z wczorajszej przygody, wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje.

- Odgrażał się mojej Kici, tak? - spytał Syd, a jego niebieskie oczy błysnęły zimnym gniewem. - Pożałuje on tego, oj, pożałuje.

- Nie chcę żadnych awantur z mojego powodu - powiedziałam szybko. - Tak naprawdę to on napadł na Pedra.

- Czyżby? - Syd podszedł bliżej do Pedra, mierząc go przeciągłym spojrzeniem, jakby szacował, do czego się nadaje. - No to na drugi raz, jak spotkasz Pryszcza - zwrócił się do mnie - powiedz mu, że Książę jest nasz.

- Jak to? - zdziwiłam się.

- Książę należy do gangu. Jest jednym z nas.

- Co takiego? - obruszyłam się. - To ja od miesiący proszę o przyjęcie, a jego bierzesz w pięć minut po poznaniu? To niesprawiedliwe.

Nick i Joe zaśmiewali się, aż Syd uciszył ich surowym spojrzeniem.

- Nie mam dziewczyn w swoim gangu, Kiciu, stale ci to powtarzam.

- Ale afrykańskich skrzypków to masz?

Pedro zgromił mnie wzrokiem, urażony tym, że wspomniałam o jego rasie. A mnie wcale nie o to chodziło - chciałam tylko wytknąć Sydowi, że przyjmuje do bandy skrzyпка.

- Tak, bo on jest chłopakiem, chociaż może tego nie zauważyłaś.

- Jasne, że zauważyłam! - Tupnęłam ze złości. - Ale ja wcale nie jestem od was gorsza!

- Skąd, jesteś lepsza, Kiciu. - Syd mrugnął okiem. -  
Właśnie dlatego nie chcę cię w gangu.

- Pedro, powiedz mu! Powiedz mu, jak wywiodłam  
w pole Pryszcza, żeby cię ratować!

Pedro wzruszył ramionami.

- Szybko uciekałaś, to fakt.

A to drań! Dokonałam znacznie więcej i on wiedział o  
tym doskonale! Te słowa utwierdziły jednak Syda w  
przekonaniu, że nie nadaję się do jego bandy.

Byłam pewna, że Nick i Joe naśmiewają się ze mnie w  
duchu. Ze wstydu i złości zrobiło mi się gorąco, ale Syd  
już nie myślał o mojej prośbie, zajęty innymi sprawami.

- Co do Billy'ego Pryszcza - rzekł przysiadając na  
pieńku rzeźnickim i bawiąc się od niechcenia tasakiem,  
który trzymał w prawej dłoni - to planuje on wielką bitwę  
na poniedziałek w nocy, więc mam teraz dodatkowy po-  
wód, żeby go zetrzeć na miazgę. Nasz gang spotyka się o  
dziesiątej Pod Różą. Przyjdiesz? - Spojrzał na najnow-  
szego członka swojej bandy.

- Oczywiście - zapewnił go bez wahania Pedro.

Spróbowałam go odwieść od tego zamiaru.

- Daj spokój, Pedro, znowu wpakujesz się w kłopoty. Nie wiesz, jakie straszne bywają te walki!

- Przypilnuję, żeby nie stała mu się krzywda - obiecał Syd. - On jest naszą szczęśliwą maskotką. Żaden inny gang nie ma w swoich szrankach gwiazdy teatru, no nie?

- No nie - odparłam krótko. - Bo wszystkie inne gwiazdy mają dość rozsądku, żeby nie zadawać się z gangami.

Pedro wymierzył mi kuksańca pod zebro.

- Nie rób hecy. Ja tam nie boję się lania. A ty idź grzecznie spać, tak żeby wszyscy widzieli, to nie będą ci potem robili wymówek, jak coś mi się stanie.

- Może nie, a może tak - rzekłam naburmuszona. - Pani Reid i tak pewnie znajdzie powód, żeby zwalić winę na mnie.

Syd zachichotał.

- To wtedy ja z nią pogadam. - Machnął groźnie taksakiem. - Nauczę ją rozumu.

- Och, wy wszyscy jesteście beznadziejni! - wykrzyknęłam, a Pedro, Nick i Joe zaczęli się pokładać ze śmiechu.

Syd, który był ostatnią znaną mi osobą zdolną podnieść rękę na kobietę, odrzucił z brzękiem tasak i wstał.

- Muszę iść. Mam trening po południu. Przyjdiesz obejrzeć mój mecz, prawda, Kiciu?

Skinęłam głową, chociaż bez wielkiego entuzjazmu. Nie ciekawił mnie widok dwóch wyrostków okładających się pięściami za pieniądze, zwłaszcza gdy jeden z nich był moim dobrym przyjacielem.

- To w niedzielę rano, tak?

- Tak jest, na Marylebone Fields. Będziesz musiała przebrać się za chłopca, jak poprzednim razem.

- A ja też mogę przyjść? - spytał z przejęciem Pedro.

- Oczywiście, Pedro, będzie tam cały gang. Możesz się w moim imieniu zaopiekować Kicią.

Tak jakbym sama nie umiała zadbać o siebie!

- Z kim walczysz? - zapytałam, maskując złość.

Nie chciałam, żeby wzięli mnie za rozkapryszoną pannicę i śmiali się potem ze mnie za plecami.

Przez twarz Syda przemknął wyraz zatroskania.

- Z Taranem z Camden.

- To dobry bokser?



- Nie tak dobry jak ja - odparł dumnie Syd, prężąc bicepsy i kręcąc dla rozgrzewki byczym karkiem. - Zrobię z nim porządek, zobaczycie.

Przestąpił lekko z nogi na nogę i oddał kilka ćwiczebnych ciosów w powietrze.

- Mam nadzieję, Syd. Ważne, żeby chirurg nie musiał potem z tobą robić porządku.

- Pukamy do głównych drzwi czy wchodzimy od kuchni? - spytałam nerwowo Pedra, ściskając pod pachą rękopis.

Oboje zadarliśmy głowy, patrząc na wznoszące się przed nami cztery piętra kamienicy z piaskowca.

Wszystkie duże okna jarzyły się światłem, rozjaśniając zimny styczniowy wieczór i głosząc wszem wobec, że w tym domu nie żałuje się pieniędzy na zakup świec. Do czarnych frontowych drzwi wiodło sześć stopni paradnych marmurowych schodów. Kołatka - mosiężna głowa smoka - lśniła melancholijnie na tle drzwi. Po naszej prawej stronie, częściowo ukryte za najeżoną szpicami balustradą, biegły wąskie schodki w dół, do wejścia dla dostawców.

Pedro znów spojrział na frontowe drzwi.

- Nie zaproszono nas do kuchni, mamy widzieć się z państwem.

Nim odwaga go opuściła, wspiął się na marmurowe schody, złapał uchwyt kołatki i zastukał dwa razy. Niemal natychmiast drzwi rozwarły się i stanął w nich lokaj w liberii i białej peruce, patrząc na nas wyniośle z nad długiego nosa.

- Tak? - rzekł podejrzliwie, wyciągając rękę po wiadomość, bo widocznie wziął nas za posłańców.

- Jesteśmy z Drury Lane. Panienska Elżbieta nas oczekuje - oświadczył Pedro i nie zważając na wyciągniętą rękę lokaja, postąpił krok naprzód.

- Szczerze wątpię - mruknął lokaj, krzywiąc się z pogardą i zagrządzając mu drogę.

- Przyszliśmy na wieczorek towarzyski - dodałam śmiało, rozzłoszczona wyniosłością służącego. - Jeśli nam nie wierzycie, proszę spytać panienski.

Widocznie nasza pewnośc siebie nie pozwoliła mu zatrzasnąć nam drzwi przed nosem, bo powiedział rozkazującym tonem:

- Zaczekajcie tutaj. - Potem zawołał do kolegi stojącego w głębi hallu: - Uwważaj na nich. Żeby tu niczego nie dotykali.

I oddalił się spieszenie po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach.

Staliśmy pod nieufnym okiem drugiego lokaja, czekając, aż przesądzi się nasz los. Pierwszy lokaj niebawem wrócił i z niechęcią uchylił drzwi - tak tylko, żebyśmy zdołali się przecisnąć.

- Zdaje się, że faktycznie jesteście oczekiwani - rzekł gburowato. - Panienska zechce zostawić tutaj płaszcz?

Zdjęłam kapelusik i podałam mu go wraz ze starą czarną narzutką, odsłaniając ukrytą pod nią białą muślinową sukienkę z zieloną jedwabną szarfą - dzieło pani Reid, uszyte z podartych strojów baletowych przechowywanych przez krawcową w lamusie. Lokaj z miejsca nabrał do mnie szacunku.

- Proszę tędy, panienko - powiedział, wskazując mi ukłonem drogę do schodów.

Mrugnęłam do Pedra, który gapił się na mnie, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu.

- Wyglądasz... no, wyglądasz inaczej, Kiciu - mruknął, gdy już pieliśmy się po schodach. - Nie wiedziałem, że umiesz się tak czysto umyć.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Ale pod spodem jestem wciąż tą samą Kicią, nawet jeśli mam wyjątkowo porządnie uczesane włosy.

Sara spędziła od rana parę godzin na skręcaniu moich niesfornych loków w schludne grajczarki, teraz ściągnięte w tył zieloną, tak jak szarfa, kokardą. Czułam, że prezentuję się odpowiednio do towarzystwa, które za chwilę miałam spotkać, i dzięki temu z większą pewnością siebie wchodziłam po schodach.

Lokaj przystanął przed drzwiami na piętrze. Dobiegały zza nich dźwięki pianoforte i rozbawione młode głosy.

- Kogo mam zaanonsować? - spytał mnie.

- Pannę Królewską i pana Hawkinsa, jeśli łaska - odrzekłam z godnością.

Otworzył drzwi i kaszlnął znacząco.

- Panienko Elżbieto, przybyli goście panienki: panna Królewska i pan Hawkins.

Wprowadził nas do środka, po czym zamknął za sobą drzwi.

W pierwszej chwili ujrzałam tylko morze różowych twarzy zwróconych z zaciekawieniem w naszą stronę. Zaraz jednak mój wzrok ogarnął muślinowe sukienki, lekkie jak z bitej pianki, wytworne pantaloney i surduty

paniczów oraz fantazyjne fryzury pańienek. Teraz mój własny strój wydał mi się przy nich zgrzebny.

- Panno Królewska, panie Hawkins, cieszymy się niezmiernie, że nas państwo zaszczylicili - rzekła panienska Elżbieta, wstając na powitanie z sofy obitej wiśniowym jedwabiem.

Panicz Franciszek nadbiegł w podskokach, porzucając grupkę trojga gości o skwaszonych minach.

- W samą porę, przyda się ożywić atmosferę! - zawołał z entuzjazmem. - Kto wystąpi pierwszy?

Pedro skłonił się.

- Mnie przypadł w udziale ten zaszczyt.

Omal nie parsknęłam śmiechem. Pedro był tak zabawny w swojej wykwintnej roli przed tym świetnym towarzystwem - mogło się zdawać, że wszyscy tu udajemy wielkie damy i znamienitych kawalerów. Z wysiłkiem przywołałam się do porządku, przypominając sobie, że zapewne tylko my dwoje z tego grona nie mamy tytułów szlacheckich.

Zgodnie z oczekiwaniami koncert Pedra wypadł zachwycająco. Pedro zagrał ten sam utwór Mozarta, który słyszałam na jego pierwszym występie, i zauroczył nim tę salonową publiczność tak samo jak słuchaczy w teatrze

Drury Lane. Muzyka porwała nas wszystkich. Zdawało się, że Pedro za pomocą smyczka dyryguje naszymi emocjami, skłaniając to do uśmiechu, to do łez. Gdy skończył grać, byłam pewna, że zyskał w tej sali miejsce równego partnera za sprawą samego swego talentu. A wręcz jeszcze więcej: talent stawiał go poza zasięgiem nas wszystkich. Dostał burzliwe oklaski. Nawet skwaszone trio nie żałowało braw.

- A teraz prosimy pannę Królewską - rzekł panicz Franciszek, ujmując mnie za rękę i wiodąc do fotela. - I wszyscy zamieniamy się w słuch.

Serce łomotało mi tak głośno, że dziwiło mnie, iż panicz Franciszek go nie słyszy. Nie miałam najmniejszej chęci czytać swojej prozy po tak wirtuozerskim popisie - to tak jakby szeregową baletnicę wypchnąć na scenę tuż po primabalerinie.

- Jak panicz każe - powiedziałam, rozwijając rękopis.

Odchrząknęłam nerwowo, żeby pozbyć się kluski w gardle. Wzięłam głęboki wdech.

- „Czytelniku, wypuszczasz się na przygodę opowiedzianą przez nieuczoną i stronniczą autorkę, czyli przeze

mnie”. - Spojrzałam znad pliku kartek na słuchaczy. Pannic Franciszek oraz stojący obok niego kawaler śmiali się życzliwie. Panienska Elżbieta uśmiechała się. To dodało mi otuchy do dalszego czytania. - „Duże straty, Tom? - zagadnęłam, przedostawszy się przez poprzewracane ławki do pracownika sceny, który uprzętał właśnie śmieci po wczorajszej awanturze...”.

Po dziesięciu minutach zakończyłam swój występ i czekałam, co nastąpi. W sali panowała cisza. Mogło to oznaczać jedynie klępkę - zaszokowałam, zgorszyłam być może słuchaczy i szukają teraz słów, aby mi to powiedzieć. A ja w swojej głupocie sądziłam, że wykażę się jako pisarka przed tym krytycznym towarzystwem. Moje nadzieje na nową karierę pod książęcym patronatem runęły w dół z takim samym impetem jak balon z historii, którą właśnie przeczytałam.

- Wielkie nieba! - westchnęła blada panienska z długimi brązowymi lokami przypominającymi pęta kiełbasek z masarni Syda. - Pomyśleć tylko, że ludzie mogą w ten sposób żyć! Bijatyki na ulicach - coś podobnego!

Czułam, że wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Byłam jak trup na chirurgicznym stole, poddawany sekcji na oczach ciekawskich studentów.

- Uważam, że to znakomite - oświadczył panicz Franciszek, żartobliwie uderzając sąsiada pięścią w brzuch. - A ty, Charlie, co sądzisz?

Pedro spojrział na mnie z rozbawieniem nad głową panicza Franciszka: chociaż zmieniałam szczegóły, maskując tożsamość bohaterów opowieści, każdy uważniejszy słuchacz dopatrzyłby się podobieństwa między genialnym skrzypkim a chłopcem z podbitym okiem, który uciekł przed gangiem.

- Franku! - zbeształa brata panienka Elżbieta, unosząc ostrzegawczo brew.

Panicz Franciszek posłał jej skruszone spojrzenie i pomógł usiąść Charlesowi, któremu po ciosie zaparło dech.

- No cóż, to z pewnością niecodzienna historia - odezwała się ładna panienka z buzią w ciup. - Temat wydaje mi się jednak nieco niestosowny dla dam. Spodziewałabym się raczej, że panna Królewska zacznie od jakiejś dowcipnej obserwacji ogólnej, od zwięźle ujętej uniwersalnej prawdy dotyczącej, dajmy na to, miłości i



zalotów - takie wszak tematy wychodzą zazwyczaj spod kobiecego pióra.

- Och, Jane! - zaprotestował panicz Franciszek. - Jak możesz być tak nudna? Te panięskie westchnienia niktogo nie obchodzą. Wolimy wartką akcję i taką właśnie zaprezentowała nam panna Królewska. Sceny, uważam, były znakomite.

Skwaszony kawaler o twarzy łasicy, z ulizaną jasno-blond fryzurą, przemówił cienkim głosem z miejsca w kącie:

- Sceny istotnie dowodzą nieprzeciętnego talentu piarskiego, jednak wątpię, czy dywagacje panny Jakjejtam godne są uszu moich sióstr, panno Elżbieto.

Nasza gospodyni miała teraz wyraźnie zmartwioną minę.

- Bzdura, Marchmont! - wykrzyknął zapalczywie panicz Franciszek.

Marchmont! Gdzieś już słyszałam to nazwisko. Odwróciłam się, by lepiej zobaczyć swojego krytyka: ciekawa byłam, czy łączy go rodzinne podobieństwo z dżentelmenem w czarnej opończy, który potraktował mnie tak srogo wówczas w teatrze, przy wejściu dla aktorów.

- Właśnie taka literatura prowadzi do anarchii. Obserwujemy to na co dzień we Francji; mam nadzieję, że nie rozpleni się tutaj - ciągnął swoje Marchmont, niczym młodociany polityk w kampanii wyborczej.

Między nim a gospodarzem wyraźnie iskrzyło. Odniosłam wrażenie, że od dawna są przeciwnikami i nie żywią wobec siebie ciepłych uczuć.

- Papugujesz ulubione frazesy swojego mistrza Pitta?  
- zaatakował panicz Franciszek. - Niech się lepiej twój ojciec o tym nie dowie. Jako przyjaciel wolności nie byłby zachwycony, że jego syn jest zatwardziałym reakcjonistą.

- Franciszku! - zachnęła się panienska Elżbieta.

- Lepiej już pójdziemy - rzekł Marchmont, wstając z miejsca i wiodąc do drzwi swoje siostry. - Dziękujemy za uroczy wieczorek, panno Elżbieto. Muzyka była znakomita.

Wyjście Marchmont ów stało się dla wszystkich sygnałem do zakończenia wizyty. Pedro i ja wycofaliśmy się w kąt, niepewni, czy powinniśmy wymknąć się chylkiem, czy poczekać na oficjalne pożegnanie.

Spodziewaliśmy się, bądź co bądź, jakiegoś wynagrodzenia za trudy. Miałam tylko nadzieję, że zuchwałym

odczytaniem swoich wypocin przed książęcymi dziećmi nie przekreśliłam szans na jego otrzymanie. Pedro nigdy by mi nie darował, gdyby tak się stało.

Gdy ostatni z gości wyszedł, panienka Elżbieta zwróciła się do brata:

- Franku, czy musisz być taki niegrzeczny wobec moich gości?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, po co ich w ogóle zapraszasz, Lizi. To, że nasz ojciec przyjaźni się z ich ojcem, nie oznacza jeszcze, że my musimy ich znosić. Znasz moje zdanie o Marchmoncie: to nadęty dureń. Sama jesteś zbyt grzeczna, aby przyznać się, co myślisz o jego siostrach, ale wiem przecież, że ich nie lubisz.

- Nie przeczę, jednak napadanie na gościa w naszym salonie to dowód bardzo złych manier!

- A krytykowanie brata przy obcych to dobre maniere? - Ruchem głowy wskazał Pedra i mnie.

Panienka Elżbieta spłonęła rumieńcem.

- Przepraszam. Nie zauważyłam, że jeszcze tu jesteście. - Szturchnęła dyskretnie panicza Franciszka. - Na co czekasz? - syknęła. - Zapłać im!

Panicz Franciszek podszedł do nas dostojnym krokiem i skłonił się.

- Oto drobny dowód naszego szczerego podziwu dla waszych talentów - powiedział, wręczając Pedrowi obiecująco ciężką sakiewkę.

- Dziękuję paniczowi - rzekł Pedro.

Panicz Franciszek zwrócił się do mnie.

- Mam nadzieję, że nasi źle wychowani goście nie obrazili pani, panno Królewska? Wypadła pani znakomicie. Proszę powiedzieć: czy to naprawdę jest tak, jak zostało przez panią opisane?

Kiwnęłam głową, uśmiechając się do jego przyjaznych oczu. Bardzo go polubiłam.

- Tak, proszę panicza.

- Jest nawet lepiej, niż ona pisze - wtrącił się Pedro, pragnąc wyrzucić jeszcze większe wrażenie na młodym arystokracie. - Mamy bale z muzyką, mecze bokserskie i regularne bitwy.

- Boks! - ożywił się na to słowo panicz Franciszek. - Ring to moja wielka pasja! Chciałbym nauczyć się boksować, ale ojciec nie pozwala.

- W takim razie - Pedro nachylił się ku niemu konfidencko - dodam, że obecna tutaj Kicia, chciałem

powiedzieć: panna Królewska, jest w zażyłej przyjaźni z mistrzem bokserskim Covent Garden. Wybieramy się na jego mecz w tę niedzielę. Za niewielką opłatą - (brzęknął wymownie sakiewką) - moglibyśmy wziąć tam ze sobą panicza.

- Poważnie...? No tak, chyba zdołałbym się jakoś wyrwać - myślał głośno panicz Franciszek. Zerknął przez ramię na siostrę, która brzdąkała jakąś smętną melodię na pianoforte, zatopiona we własnych myślach. - Lizi jest ostatnio w refleksyjnym nastroju, wspomina jednego ze swoich konkurentów, któremu nagle się odwiedziało. Z tego powodu bywa mniej uważna niż zwykle. W kościele udam, że jest mi niedobrze, i dołączę do was.

- Będziemy więc czekać na panicza przy placu Grosvenor - rzekł pospiesznie Pedro. - O dziesiątej.

- O dziesiątej - potwierdził panicz Franciszek.

- Jeżeli panicz się wybiera - mruknęłam, piorunując Pedra wzrokiem - to proszę ubrać się jakoś skromniej.

- Święta racja, Kiciu... to znaczy chciałem powiedzieć: panno Królewska - poprawił się panicz Franciszek z rozbrajającym uśmiechem.

### **SCENA 3 - RZEŹNIK Z ULICY ŁUCZNICZEJ PRZECIWKO TARANOWI Z CAMDEN**

Wcale nie podobał mi się pomysł przeschmuglowania jaśnie panicza na mecz bokserski. Już samo to, że przebierałam się za chłopaka, było dość ryzykowne, a eskortowanie kogoś, kto nie ma pojęcia o mieszanii się z tłumem, zakrawało na czyste szaleństwo. Wyobrażałam sobie, jaką radość mieliby chłopcy z ulicy, gdyby rozpoznali w swoim gronie jednego z panów i władców. Panicz Franciszek mógłby mówić o wielkim szczęściu, docierając w jednym kawałku do domu, gdyby do tego doszło. Pedro nie wiedział, co robi.

Zwierzyłam się ze swoich obaw Jankowi, kiedy dawał mi lekcję następnego ranka. Janek dowiedział się od pani Reid, że nasz stary sufler Carver dbał o moją edukację, i postanowił przejąć jego rolę. Zadawał mi jednak całkiem inne lektury niż pan Carver, który karmił mnie solidną angielską klasyką. Przy Janku doskonaliłam swój język francuski, żeby móc czytać w oryginale Jana Jakuba

Rousseau, a z prozy angielskiej poznawałam najznakomitsze współczesne traktaty polityczne. Jednak nie wszystkie lekcje były tak ciężkie: wymogłam na Janku, aby uczył mnie również rysunku.

Szkicowaliśmy właśnie popiersie przytасzczone z kóregoś z widnych klubowych pomieszczeń na pierwszym piętrze teatru, gdy poruszyłam sprawę meczu.

- Zgadzam się, że to nie był dobry pomysł - orzekł Janek, za pomocą ołówka mierząc odległość pomiędzy rzymskim nosem a słabo zarysowanym rzymskim podbródkiem Juliusza Cezara. - Ale pomysł, żebyś ty latała po mieście przebrana za chłopaka, też mi się nie podoba.

Narysowałam mojemu portretowi wielki nochał: cesarz wyglądał teraz, jakby miał dziób.

- A co mówiłeś niedawno o równości mężczyzn i kobiet? W jaki sposób mam korzystać z wolności jak nie w przebraniu?

Janek wpatrywał się uporczywie w swój szkic, wiedząc doskonale, że wszystkie argumenty, które mógłby wysunąć, sprzeciwiają się głoszonym przezeń zasadom.

- Za długo mieszkasz w teatrze, Kiciu. Role kobiet w portkach uderzyły ci do głowy.

- O mnie się nie martw, Janku. Ja to robię stale. Martwmy się raczej o panicza Franciszka. - Nagle wpadł mi do głowy genialny, jak się zdawało, pomysł. - Już wiem! Może ty pójdziesz z nami? Pomógłbyś nam przypilnować panicza.

- Nic z tego, Kiciu.

Nadał wąskim ustom Cezara złośliwy grymas.

- Ale dlaczego nie? Przecież to twój dzień wolny, prawda?

- Tak, ale chwilowo wolałbym nie pokazywać się w mieście.

Westchnął.

Znałam tylko jeden powód, dla którego dorosły mężczyzna chce się ukrywać: bo winien jest komuś pieniądze. Wielu żyje w ciągłym lęku przed komornikiem, który może w każdej chwili zapukać do ich drzwi i odwieźć ich do więzienia dla dłużników.

- Nawet jeżeli ukrywasz się przed komornikami - powiedziałam, przyjmując, że domyślałam się słusznie - to w niedzielę nie masz się czego bać, prawda? W ten dzień nie wolno chyba nikogo aresztować?



Janek roześmiał się i zręcznie podrzucił ołówek w powietrze, łapiąc go następnie tuż nad ziemią.

- Uważasz więc, że uciekam przed komornikami? To całkiem wiarygodna bajeczka. Tak czy owak nie sądzisz chyba, Kiciu, że roztropnie byłoby dać się zauważyć i śledzić do miejsca kryjówki?

Wzruszyłam ramionami.

- Chyba nie. Ale kto by cię rozpoznał na meczu bokserskim?

- Zdziwiłabyś się, Kiciu - Janek schował swój szkic do kartonowej teczki - jak wielu znanych mi dżentelmenów zjawi się tam w celach hazardowych. Nie mogę ryzykować. No a teraz zobaczmy twój rysunek.

Pokazałam mu szkic.

Zaśmiał się.

- Ten stary łotr wygląda na twoim obrazku jak amerykański mrówkojad. Dobry początek, Kiciu, jeżeli myślisz o karierze pierwszej w historii karykaturzystki.

W niedzielę rano czekaliśmy z Pedrem przy placu Grosvenor na panicza Franciszka. Właśnie trwała tam

chyba godzina szczytu: powozy jeden za drugim zajężdżały przed frontowe drzwi domów, aby zawieźć mieszkańców na nabożeństwo w wybranym kościele. Zaledwie parę rodzin wykazało odwagę obnoszenia swych kosztownych strojów po ulicy, idąc pieszo do pobliskiej parafii.

Niedługo przed godziną dziesiątą spostrzegłam księcia i panienkę Elżbietę wychodzących z domu. Odciągnęłam Pedra z widoku za czekający na rogu pojazd, obserwując cały czas księcia z córką, którzy oddalali się w przeciwnym kierunku.

- A co to znowu za zabawy? - nasrożył się stangret i machnął na nas długim batem. - Wynocha mi tu zaraz od mojej karety!

Rozochocona swoją rolą w portkach (jak to ujął Janek), uległam pokusie niegodnej damy pyskówki.

- Co się nie podoba, krzykaczu? Nie zjemy ci chyba tej malowanej bryki.

I pokazałam mu język.

- Daj spokój, Kiciu. - Pedro złapał mnie za skraj surducika i odciągnął w głąb ulicy Karola, poza zasięg rozżalonego stangreta i jego bicza. - Trochę za dobrze się bawisz.

Roześmiałam się.

- Nie masz pojęcia, jak to przyjemnie uwolnić się od spódnicy. Czuję się całkiem inną osobą.

- To widać. - Pedro rozejrzał się na wszystkie strony, bo dzwony w całym Londynie zaczęły właśnie wybijać godzinę. - Gdzie on jest?

Ktoś gwizdnął przeraźliwie za naszymi plecami i grudka ziemi ugodziła Pedra w tył głowy. Odwrócił się, żeby zwymyślać napastnika, a tu z bocznej uliczki biednych domków przerobionych ze stajen wyskoczył rosły urwis, umazany na twarzy sadzą niczym kominiarz. Podbiegł wprost do nas i rozpostarł ramiona, prezentując się w całej okazałości.

- Panicz Franciszek! - wykrzyknęłam. - Nigdy bym panicza nie poznała!

Panicz Franciszek-kominiarz uważnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Ani ja pani, panno Królewska.

- Dajmy sobie spokój z panną Królewską - powiedziałam, upychając pod czapkę luźne pasmo włosów. - Proszę mówić do mnie Kicia.

- A więc dajmy też sobie spokój z paniczem - zrewanżował się panicz Franciszek, wtykając ręce głęboko

w kieszenie spodni. - Chcecie mówić do mnie Franek?

- Jak panicz sobie życzy - skłonił się Pedro.

- Nie panicz, tylko Franek - poprawił go panicz Franciszek, zerkając na plac, by upewnić się, że ojciec zniknął z pola widzenia.

- Franek - powtórzył niepewnie Pedro.

- A teraz lepiej już się pospieszmy - zawołałam, ruszając biegiem w stronę ulicy Oksfordzkiej. - Bo się spóźnimy.

Gdy pędziliśmy ulicami, wymijając turkoczące karety, przeskakując przez kałuże, roztrzającą kroczące całą szerokością chodnika rodziny, które zmierzały do kościoła, czułam radość, która rozpierała mnie niczym wielka bańka mydlana. Mimo wcześniejszych obaw cieszyłam się na czekającą nas przygodę. Żeby tylko Syd nie został pokonany w walce!

W powietrzu unosiła się lekka mżawka i zimny deszcz groził popsuciem odświętnego nastroju. Mieszając się ze smugami dymu z tysięcy kominów, wilgoć kładła się na wszystkim jak mokry koc, nie pozwalając światłu dziennemu przebić się przez chmury. Wyglądało jednak na to, że szara, mokra aura nikogo nie zniechęciła - im bliżej

byliśmy ulicy Marylebone, tym bardziej gęstniał tłum ludzi spieszących na mecz. Można ich było rozpoznać już z daleka: grupki rozwrzeszczanych wyrostków, krzykliwych mężczyzn z Camden i Covent Garden, przebiegłych bukmacherów wypatrujących w ciżbie naiwnych klientów - jakże różnych od szacownych familii zdążających na poranne nabożeństwo.

Byliśmy już na skraju miasta. Tuż za ulicą Oksfordzką kamienice ustępują bowiem miejsca wiejskim chatom, polom i lasom, chociaż z każdym rokiem przybywa tam miejskiej zabudowy, gdyż Londyn rozciąga się coraz dalej na północ, niczym przypyływ na Tamizie zalewający przybrzeżne błota. Tego dnia, uciekając od murów i bruków miasta, uciekaliśmy również od szarej codzienności, licząc na wielkie emocje, jakich dostarczy nam prymitywna rozrywka - starcie ludzkich sił. Człowiek przeciwko człowiekowi stanie w ringu, gdzie ani wykształcenie, ani pieniądze nie dają przewagi: liczy się tylko brutalna siła i szybki refleks.

- Obstawiajcie swoje zakłady, panowie! - wołał jeden z bukmacherów, przeciskając się przez tłum z

uniesionym wysoko notesem. - Dwa do jednego na Tarana z Camden, który znokautuje Rzeźnika!

- Niezbyt to dobra reklama dla twojego przyjaciela, co? - zagadnął panicz Franciszek,, odprowadzając bukmachera tęsknym wzrokiem. - Chcesz może, żebym postawił na niego? - Brzęknął monetami w kieszeni.

- Nie! - powstrzymałam go, odciągając na bok. - Którego kominiarza stać na szastanie złotem w zakładach? Zdradziłbyś się w jednej sekundzie.

- Pewnie masz rację - zasmucił się panicz Franciszek i wyjął rękę z kieszeni. - Ojciec zresztą stale ostrzega mnie przed zakładami.

- I słusznie - powiedział Pedro, oglądając się za grubą sprzedawczynią cukrowych jabłuszek, która z tacą smakołyków przechodziła właśnie w ślad za tłumem przez bramę stadionu.

Panicz Franciszek dostrzegł jego łakome spojrzenie.

- Specjalnie wziąłem ze sobą parę pensów oprócz złotych gwinei - szepnął, wciskając drobne w garść Pedra. - Może kupisz nam po jednym?

- Bardzo dziękuję paniczowi - rzekł Pedro i zaczął przeciskać się za handlarką.

- Tylko nie panicz! Franek! - syknęłam za nim, bo idący obok mnie mężczyzna odwrócił się do nas z ciekawością.

- Dzięki, Franek - poprawił się Pedro i zanurkował w tłum za sprzedawczynią cukrowych jabłuszek.

Wrócił triumfalnie, niosąc cztery na patykach.

- Cztery! - zdziwił się panicz Franciszek. - Dlaczego cztery?

- Jedno na szczęście - wymamrotał Pedro z pełnymi ustami. Przełknął. - Handlarka powiedziała, że widziała mnie w teatrze, i dała mi jedno za darmo.

Dopiero w tej chwili uprzytomniłam sobie, że nieśłusznie bałam się o to, że panicz Franciszek ściągnie na nas uwagę. Wystarczył sam Pedro, żeby wiele oczu zwracało się ku nam. Naciągnęłam głębiej czapkę na czoło i rzekłam oschle:

- Chodźmy. Poszukajmy sobie miejsca, zanim rozdepcze nas tłum wielbicieli Pedra.

Widownia podzieliła się na pół, otaczając podium, wokół którego biegły liny, a pośrodku, wyrysowany kredą, widniał kwadrat o boku jednego metra. Dżentelmeni zasiedli na ławach okalających ring, a reszta gapiów ustawiła się na dole, gdzie kto mógł. Przeciskając się

przez szczeliny w tej gęstej ciżbie, zdołaliśmy dopchać się aż na sam przód.

Syd siedział w rogu ze swoim sekundantem - w osobie ojca - i słuchał jego rad. Nie rozebrał się jeszcze do pasa, ale w skupieniu ćwiczył mięśnie obnażonych rąk. W przeciwległym rogu kredowego pola siedział Taran z Camden - szesnastoletni byczek z małą głową i barczystymi ramionami. Był już półnagi, a jego sekundant o pańskim wyglądzie, z wąską, lisią twarzą, w butelkowo-zielonym surducie, nacierał mu plecy oliwą - a uwierzcie mi, było co nacierać.

Nick, którego dzień wcześniej spotkaliśmy na czatach przed sklepem rzeźnickim, przecisnął się do nas przez tłum.

- Serwus, Księżę, serwus, Kiciu. A ten z wami co za jeden?

- To Franek - wyjaśnił Pedro, częstując Nicka czwartym jabłuszkiem. - On tu jest nowy.

Nick spojrział z zaciekawieniem na panicza Franciszka.

- Trochę wyrośnięty jak na kominiarza, no nie? Myślałem, że biorą do roboty najwyżej ośmiolatków.



- Mój majster specjalizuje się w dużych kominach - wyjaśnił pospiesznie panicz Franciszek. - Małe czyści mój młodszy brat.

- Aha - bąknął Nick, tracąc zainteresowanie. - Teraz kapuję. - Szturchnął mnie w bok, wskazując Tarana z Camden. - Kiepsko to wygląda, no nie, Kiciu? Ale Syd się ucieszy, że przyszedł. Jesteś jego maskotką. Hej tam, Syd! Kicia tu jest! - krzyknął.

Syd odwrócił się i zobaczył nas. Łobuzersko puścił do mnie oko.

- Wszystko gra, Kiciu? - krzyknął.

Jego widok na drewnianej platformie przywiódł mi nagle na myśl ofiary szubienicy, ale ponieważ za nic w świecie nie chciałam okazać Sydowi niepokoju, uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

- Tak! - odkrzyknęłam. - Powodzenia!

Kiwnął głową i zajął się z powrotem przygotowaniami do walki.

Odwróciłam się, żeby powiedzieć coś do Pedra, lecz Pedro i panicz Franciszek śmiali się, pochyleni nad kartką papieru, którą im pokazywał Nick.

- Co to takiego? - spytałam, sięgając po kartkę.

Zauważyłam, że to jakaś karykatura.

- Nic - odparł Nick, chowając kartkę za plecami.
  - Nie oszukuj! - Spróbowałam wyrwać mu ją. - Pokaż!
  - Wiesz, Kiciu - odezwał się półgłosem panicz Franciszek - to nie wydaje się chyba zbyt stosowne dla oczu damy.
  - Wypchaj się ze swoją damą! - ofuknęłam go, zdecydowana nie dać się wykluczyć z zabawy. - Dawaj to!
- Tak długo łaskotałam Nicka pod zebra, aż wreszcie podał mi kartkę. Może faktycznie lepiej było się jej nie domagać, bo ledwie rzuciłam okiem na rysunek, poczułam, że czerwienię się jak piwonia. Widniał tam bardzo nieobyczajnie przedstawiony poseł parlamentu, siedzący na nocniku z napisem: „Uciskane masy”.
- Ludzie mówią - odezwał się Nick, tuszując moje zażenowanie - że Kapitan Iskra tym razem trochę się zagalopował. Dziobal już ostrzy sobie na niego dziób.
  - Dziobal? - zdziwił się panicz Franciszek.
  - O rety, Franek, w jakim ty kraju żyjesz? No, dziobal, sę-dzia-po-ko-ju. Dotarło?

- No tak - szybko zorientował się panicz Franciszek.  
- Jasne.

- Chcą go podobno ukarać przykładnie. Rząd stracił nerwy. Będzie sądzony za zdradę stanu i powieszają go albo skazą na banicję.

- No nie! - oburzyłam się. - Za parę śmiesznych rysunków? To niesprawiedliwe.

- A co ma do tego sprawiedliwość? On nastąpił na odcisk ludziom władzy, Kiciu, a ci nie lubią, jak się z nich robi głupków. Nienawidzą Iskry za to, że się z nich wyśmiewa. Może sobie rysować gołe tyłki, ile chce, ale niech tylko spróbuje tknąć króla. Ta jego ostatnia karykatura to, jako żywo, jawna zdrada stanu. Ponoć władze wydały na nią zakaz, więc cena sprzedaży wzrosła niemiłosiernie.

- A złapali już tego autora? - spytał Pedro.

- Nieprędko go złapią - zaśmiał się Nick z wyraźną satysfakcją. - Kapitan Iskra jest dla nich za sprytny. Najbardziej lubi machnąć im obrazkiem przed nosem i zniknąć bez śladu. Mówią, że uciekł na gapę jakimś statkiem do Francji.

- Jakim więc cudem wasz zuchwały Kapitan mógł narysować karykaturę nawiązującą do politycznego

skandalu sprzed tygodnia? - spytał panicz Franciszek, wpadając nieostrożnie w ton arystokraty, którym był, a nie kominiarza, którego udawał.

- Boże święty, Franus, czyś ty słownik połknął, czy co? - zdumiał się Nick. Panicz Franciszek poczerwieniał i zaczął się kulawo usprawiedliwiać. - No coś ty, nie tłumacz się. To żaden wstyd mieć trochę wykształcenia. Możesz być raczej z tego dumny, koleś! Przypatrz się takiej Kici: kto by pomyślał, że w tej ładnej główce siedzi tyle mądrości? Syd zawsze daje ją za przykład nam, półgłówkom.

Nick zatoczył się ze śmiechu na samą myśl, że on sam i reszta chłopaków z gangu mogliby nauczyć się czytać i pisać, jak wielcy panowie.

Nie zaoponowałam przeciwko przesadnej pochwalie Nicka, bo dręczyło mnie pytanie panicza Franciszka. No właśnie: jakim to cudem człowiek, który podobno uciekł do Francji, może być tutaj na bieżąco ze swoimi karykaturami? Oczywista odpowiedź brzmiała: nie wyjechał z kraju. Musi się gdzieś ukrywać, a ja nabrałam nawet podejrzeń gdzie.

Tak ucieszyła mnie własna zdolność dedukcji, że zapragnęłam natychmiast podzielić się jej wynikiem z

Pedrem, aby mu zaimponować swoją przenikliwością. Pech chciał, że chwilowo otaczał nas zbyt wielki tłum - moja rewelacja musiała poczekać.

- Panowie! - Sędzia wyszedł na środek ringu i uniósł rękę, nakazując ciszę. - Przedstawiam naszych zawodników: oto obecny czempion, Taran z Camden!

Taran z Camden dźwignął się z miejsca i wzniosł w górę lśniące oliwą ramiona, dziękując swoim kibicom za okrzyki i gwizdy poparcia.

- A oto jego rywal: Rzeźnik z ulicy Łuczniczej!

Z większą zwinnością niż przeciwnik Syd zrzucił koszulkę, zerwał się na nogi i uklonił się klaszczącej publiczności. Przy mocno zaczerwienionej z emocji twarzy jego blond włosy zdawały się prawie białe.

- Dowal mu, Taran! - krzyknął ktoś z boku.

- Brawo dla Rzeźnika z Łuczniczej za odwagę! - zawołał ktoś inny.

Tłum znów zawiwatował na cześć Syda, jednak w moim odczuciu raczej tak, jak sympatycy okrzykują skazańca przed egzekucją. Wszyscy chyba spodziewali się, że zawodnik z Camden zmiażdży przeciwnika.

- Dasz mu radę, Syd! - krzyknęłam głośno.

Słyszając mój cienki głos ponad innymi, Syd odwrócił się do mnie ze specjalnym uśmiechem i skinął mi głową.

- Znacie, panowie, zasady walki - obwieścił sędzia tonem nakazującym ciszę. - Żadnych ciosów poniżej pasa. Zawodnik, który padnie na deski, ma pół minuty na podniesienie się z ringu. Jeżeli w tym czasie nie wstanie do walki, przeciwnik wygrywa. Gotowi?

Syd chrząknął potwierdzająco i uniósł pięści na wysokość piersi. Taran kiwnął głową i posłał Sydowi drwiący uśmiezek.

- Już po tobie - ostrzegł go bezgłośnie, samymi tylko ruchami warg.

- Uwaga... - rzekł sędzia, usuwając się z pola boju. - Start!

Pięści poszły w ruch. Taran natarł z impetem, złapał Syda chwytem zapaśniczym i cisnął na liny. Syd mierzył drobnymi, szybkimi ciosami w żołądek przeciwnika - jeden, dwa, trzy, cztery, pięć - aż trafił boleśnie plecami w drewnianą barierę. Taran przygwoździł go tam, gasząc

opór rywala gradem ciosów pozostawiających na skórze Syda czerwone ślady. Widząc, że zawodnicy zakleszczyli się przy linach, sędzia nadbiegł z sekundantami, aby ich rozdzielić. Sekundanci wyprowadzili obu, każdy swojego, na środek ringu, udzielając im szeptem rad i dodając zachęty. Bokserzy znów podjęli walkę, tym razem od ciosów w klatkę piersiową. Syd ze spuszczoną głową pracował zajadle pięściami, ścierając do krwi knykcie palców o żebra rywala. Taranowi krew ciekła z nosa, bo drugi cios trafił go w twarz. Gdy zatoczyli półkole, przekonałam się, że Syd również krwawi - miał rozciętą skroń. Ciosy padały gęsto i z furją, kości wpijały się w ciało, a na plecach zawodników perlił się krwawy pot. Nie mogłam już na to patrzeć i co chwila zasłaniałam oczy rękami. Ale im bardziej krwawa i zajadła stawała się walka, tym głośniejsze wiwatował tłum. Przez palce widziałam krążące z rąk do rąk banknoty - panowie opłacali nowe zakłady. Syd nie zyskiwał zwolenników. Domyślałam się, że jego akcje spadają.

Wtem nastąpiło coś strasznego: Taran zadał Sydowi potężny cios w szczękę, powalając go na plecy. Syd z

głuchym jękiem przeturlał się na brzuch, a jego oczy znalazły się przez chwilę na poziomie naszych, w odległości paru metrów.

- Jeden! Dwa! Trzy... ! - odliczał chórem tłum.

Ojciec Syda podbiegł, aby pomóc mu wstać, ale Syd się nie ruszał.

- Wstawaj, synu! - ryknął gromko stary rzeźnik. - Wstawaj!

- Piętnaście! Szesnaście! Siedemnaście...!

- Syd, wstawaj! - wrzasnęłam, przekrzykując szydercze okrzyki i buczenie widowni. - Bij się!

Być może Syd mnie usłyszał, bo jego wzrok na chwilę spotkał się z moim i poprzez strużki potu ściekające mu po twarzy spostrzegłam, jak mi się zdawało, uśmiech. Syd powoli dźwignął się na kolana, potem wstał. Chwiejąc się jak pijany, dał się ojcu wprowadzić w obrysowane kredą pole.

- Dwadzieścia osiem! Dwadzieścia dziewięć...!

Stanął do walki w ostatniej sekundzie.

- Start! - krzyknął sędzia.

Część widzów wydała jęk zawodu: łatwe zwycięstwo uciekło Taranowi sprzed nosa. Za to my, kibice nowego zawodnika, zawyliśmy z radości.



Walka zaczęła się na nowo, powolniejsza już, gdyż obu zawodnikom odniesione ciosy dawały się we znaki. Syd poruszał się ciężko, jakby miał nogi spętane łańcuchami, za to Taran stał prawie nieruchomo, oganiając się od ciosów, w samym środku ringu. Obudziła się we mnie słaba, bardzo jeszcze słaba nadzieja, że Syd może wygrać to starcie. Przestałam zasłaniać twarz i włączyłam się do chóru skandującego: „Rzeźnik! Rzeźnik!”, za przykładem Pedra i Nicka. Stojący obok mnie panicz Franciszek podskakiwał w miejscu, głośno zagrzewając Syda do walki.

- Daj mu łupnia, kolego! Śmiało, mój panie! - wykrzykiwał, niebacznie wypadając z roli prostaka.

Na szczęście wszyscy byli zaabsorbowani walką i nikt tego nie zauważył.

Zlany potem Taran wymierzył kolejny prawy sierpowy - cios, z którego słynął - ale Syd uskoczył przed jego pięścią. Taran zachwiał się i zanim zdołał odzyskać równowagę, Syd zadał mu cios w szczękę, po którym pod Taranem ugięły się nogi. Osunął się na kolana i podparł dłońmi o deski, ciężko dysząc.

- Jeden! Dwa! Trzy! - zaczął skandować tłum.

- Wstawaj, leniwy byku! - darł się sekundant Tarana.  
- Wstawaj, nie bądź baba!

Ale Taran chwiał się na klęczkach, aż padł na twarz, rozgniatając jeden policzek o deski i tocząc szklanym wzrokiem. Z rozchylonych ust ciekła mu strużka śliny. Nie ruszał się. Sekundant podbiegł i kopnął go na zachętę.

- Dwadzieścia osiem! Dwadzieścia dziewięć! Trzydzieści! - ryczał tłum.

Taran ani drgnął.

Kibice zawyli z zachwytu. Nawet ci, którzy stracili na zakładach, rzucali w górę kapelusze na cześć dzielnego nowicjusza. Nick, Pedro, panicz Franciszek i ja skakaliśmy w miejscu, drąc się wniebogłosy. Syd skłonił się na wszystkie cztery strony, a gdy dostrzegł nas, uniósł ramiona w znaku zwycięstwa. Sekundant Tarana nie interesował się już swoim zawodnikiem: omawiał coś w drugim końcu ringu z ojcem Syda. Zanim się rozeszli, wcisnął sakiewkę w dłoń rzeźnika i skłonili się sobie jak dwaj ludzie interesu. Za ich plecami gramoliła się na ring grupka przyjaciół Tarana spieszących mu na pomoc. Gdy podnieśli go z ringu, nie wyglądał na ciężko poturbowanego, jednak siadając na stolku, źle ocenił odległość i znów wylądował na ziemi.

Sędzia przeskoczył ponad leżącym na deskach Taranem i uniósł w górę pięść Syda.

- Panowie, mamy nowego czempiona! Jest nim Rzeźnik z ulicy Łuczniczej!

#### SCENA 4 - BILLY „PRYSZCZ” SHEPHERD

- Chodźcie, pogratulujemy Sydowi - zawołał Pedro, dając nura w ludzką ciżbę, która sunęła już w stronę przeciwną do ringu.

Nick i panicz Franciszek rzucili się za nim. Chciałam pójść ich śladem, lecz zagroziła mi drogę grupka dżentelmenów zeskakujących z miejsc na podium ringu i straciłam kolegów z oczy.

- Wyśmienita walka! - emocjonował się pan w czarnym jedwabnym cylindrze, lądując ciężko na ziemi i miażdżąc mnie swoim ciężarem.

- Rzadki talent z tego rzeźnika - dodał jego towarzysz. - Powiem chyba kucharce, żeby na przyszłość u niego kupowała mięso: na znak poparcia.

- Może lepiej nie - rzekł ten pierwszy, już śmiejąc się z zamierzonego dowcipu. - Kto wie, co ten młodzik wyrabia z tymi, których znokautował na amen. Może sieka ich na kotlety?

Obydwaj zarżeli ze śmiechu. Spojrzałam na nich morderczym wzrokiem i spróbowałam się przepchnąć, zła,

że posądzili Syda o okrucieństwo. Ten siwy musiał mnie zauważyć, bo mimo woli zasłonił ręką złotą dewizkę zegarka.

- Wracajmy lepiej do klubu - mruknął do towarzysza.

Bezceremonialnie przecisnęli się przede mną, popychając mnie plecami na innego widza. Nawet nie miałam czasu się oburzyć, bo ten, na którego wpadłam, ze złości pchnął mnie na ziemię.

- Uważaj, jak leziesz, smarkaczu! - warknął.

Znałam ten głos. Nie podniosłam więc głowy, wbijając wzrok w stalowe czubki butów grubianina i modląc się w duchu, żeby mnie nie rozpoznał. Na moje nieszczęście spod czapki wysunęło mi się parę kosmyków włosów.

- A kogóż my tu mamy? - uradował się tamten szyderczo. Zostałam pochwycona za ramię i postawiona na nogi. - No, no, no, widzę, że mała kicia udaje kocura!

Zerwał mi z głowy czapkę i włosy opadły mi na twarz. Odgarnęłam je z oczu i z wściekłością spojrzałam na Billy'ego Pyszcza. Nie patrzył w tej chwili na mnie: stał pośrodku grupki swoich kompanów, nonszalancko

kręcąc moją czapkę na palcu wskazującym i rozglądając się, czy mam jakąś obstawę.

- Sama tu przyszłaś? Dzielna z ciebie sztuka, nie ma co. Chciałaś zobaczyć kochasia w mordobiciu?

- Oddawaj to! - rozzłościłam się, próbując wyrwać mu czapkę.

- Siup! - zaśmiał się przekornie, przerzucając czapkę nad moją głowę do ospowatego koleśka po drugiej stronie.

Ospowaty zaczął majtać mi nią przed nosem, zawsze cofając w ostatniej chwili, gdy chciałam ją złapać. Banda Billygo - same prostaki - pękała ze śmiechu. Mnie jednak wcale nie było wesoło. Byłam tak upokorzona i wściekła, że aż łzy stanęły mi w oczach.

- Patrzcie, chłopaki! Kiciunia wcale nie chce się z nami bawić! - rechotał Billy, który zdołał zauważyć, że ocieram łzę bezsilnego gniewu.

Miałam dość tych docinków, więc zamierzałam już uciec, tracąc nawet czapkę, jeśli trzeba, lecz Billy zdążył złapać mnie za skraj surduta. Z żalem muszę przyznać, Czytelniku, że Billy dobrze wyszkolił swoich chłopaków: natychmiast otoczyli mnie ciasnym kołem, kryjąc przed

oczami kogokolwiek, kto zechciałby mi pospieszyć na pomoc.

- Wielka szkoda, że nie ma ochoty się z nami bawić, bo słyszałem, że mała panna Kicia stara się o przyjęcie do gangu - szydził Billy, przyciągając mnie bliżej do siebie. - Słyszałem nawet, że ten zakuty łeb, rzeźnik, nie chce jej przyjąć, więc tak sobie myślę, tak kombinuję, czyby jej może nie wziąć do mojej bandy? Dodałaby nam trochę klasy, przydałoby się. - Billy wyrwał Ospowatemu moją czapkę i wręczył mi ją z ukłonem. - Co ty na to?

Podejrzliwie sięgnęłam po czapkę, spodziewając się, że Billy cofnie ją w ostatniej chwili - ale nie zrobił tego. Pospiesznie upchnęłam więc pod nią włosy i rzuciłam się do ucieczki. Billy znów pociągnął mnie za surdut, jak rybę na wędce.

- Nie tak prędko, moja Kiciu. Jeszcze nie dostałem odpowiedzi.

- Odpowiedzi? - spytałam nieufnie, czując się jak owca otoczona przez stado wilków.

- No właśnie. Chcesz należeć do mojego gangu?

Przestałam mu się wrywać.

- Żartujesz.

- Ani trochę.

Spojrzałam w harde zielone oczy Billy'ego, ale nie dostrzegłam w nich kpiny, tylko zimną kalkulację.

- Dlaczego ja?

Billy obejrzał się na kumpli i mrugnął do nich.

- Rety, dziewczyno, przecież nie proszę cię o rękę! A dlaczego nie ty? Jesteś nie gorsza od wielu znanych mi chłopaków, a od niektórych nawet lepsza.

Mimo woli poczułam wielką przyjemność, słysząc taki komplement - i to od kogo: od samego Billy'ego Shepherd'a. Proponował mi prawdziwe wejście w Covent Garden, awans z bocznej linii, na której trzymał mnie Syd, do chłopackiego świata przygód, dopuszczenie do sekretnych znaków i haseł gangu. Pokusa była, co tu kryć, niemała. Och, gdyby taka propozycja padła z ust Syda, którego podziwiałam i darzyłam zaufaniem, a nie z ust jego przebiegłego rywala! Trzeba było odmówić, to jasne, ale... Popatrzyłam po otaczających mnie twarzach, bezwzględnych, ale pełnych charakteru. Co mi zrobią, jeśli powiem „nie”?

- To bardzo miło z twojej strony, Billy - wykrztusiłam, odsuwając się od niego i wypatrując drogi ucieczki,



jakiejś szczeliny w ludzkim murze. A gdyby tak dać nura między nogami najwyższego dryblasa? - Ale dziewczyna nie pasuje do twojego gangu.

Uśmiechnął się szeroko i zsunął czapkę na tył głowy. Mrugnął do chłopaków.

- No widzicie? Mówiłem wam, że będę się musiał do niej długo zalecać! - Znów zwrócił się do mnie. - Tu się mylisz, mała. Właśnie tego mi potrzeba.

- Kiedy ja się nie umiem bić... Sprawię ci zawód.

Jego usta rozciągnęły się jeszcze szerzej. Patrzyłam na niego jak na krokodyla z Nilu, który zaraz ma mnie pożreć.

- W to nie wierzę, Kiciu. Jesteś potworem, jak się rozeźlisz - istnym dzikim kocurem z pazurami na wierzchu. Zresztą w gangu potrzebne mi są różne talenty, nie tylko do walki. Od mordobicia mam tu Matta Befszyka. - Wskazał osiłka, niewiele niższego od Syda, lecz bez zjednującej tamtemu sympatię blond urody. - Ciebie potrzebuję do całkiem innych celów.

Cofnęłam się już najdalej, jak się dało bez nastąpienia na nogę rudzielcowi o ściągniętych rysach, upodabniających go do tchórzofretki.

- Jakich? - spytałam, mimo woli ciekawa, co też skłoniło Billy'ego do złożenia mi tak nadzwyczajnej oferty.

Sama przyjemność odebrania sojuszniczki Sydowi nie wyjaśniała sprawy.

- To chyba jasne, no nie? - odparł Billy, od niechcenia bujając się na piętach, chociaż wciąż nie spuszczał mnie z oka. - Pomyślunek, Kiciu, pomyślunek. Jesteś mi potrzebna przez swój rozum, chociaż gdy widzę, jaka jesteś niedomyślna, nabieram wątpliwości, czy twoja sława osoby mądrej i uczonej nie jest aby ciut przereklamowana?

Ostatnie słowo wydeklamował z dumą, gdyż rzadko zdarzało mu się używać wyrazów dłuższych niż dwusylabowe.

Raptem do środka kręgu wdarł się z impetem usmolony kominiarczyk.

- Tu jesteś, Kiciu! - wykrzyknął panicz Franciszek. - A już martwiliśmy się, co się z tobą stało! Ze zgrozą skonstatowałem, że nie biegniesz za nami.

- Skon-co? - warknął Billy, łapiąc panicza Franciszka za klapy brudnej bluzy. - A ty za kogo się masz, brudasie? Za księcia pana?

Trafił niepokojąco celnie. Po wyrazie oczu panicza Franciszka poznałam, że dopiero teraz zorientował się, iż wdepnął w niebezpieczną sytuację. Przez chwilę otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg, ale nie wydawał żadnych dźwięków.

- Z dziwnymi typkami się zadajesz, Kiciu - powiedział Billy, popychając panicza Franciszka na Matta Befsztyka. Befsztyk rzucił arystokratę na ziemię jak szmacianą lalkę. - Trzeba będzie z tym skończyć, zrozumiano? Dziewczyna z mojego gangu nie może się kumpłować z byle kim.

- Hm... Billy... - bąknęłam, patrząc na leżącego panicza Franciszka.

- No co, Kiciu?

- Pamiętaj, że ja jeszcze nie dałam ci odpowiedzi.

Panicz Franciszek zaczął gramolić się na nogi. Billy jednym kopniakiem rozłożył go z powrotem na ziemi i oparł swój podbity ćwiekami but na karku książęcego syna.

- A zatem co mi powiesz? - W jego oku pojawił się groźny błysk.

Oboje wiedzieliśmy, że jeśli odmówię, but mocniej uciśnie kark ofiary.

- Czy mogę się zastanowić nad twoją propozycją? - spytałam niepewnie, wiedząc z góry, jaka będzie odpowiedź.

- Niestety nie. Z wielu pilnych powodów. - Przycisnął but tak mocno, że panicz Franciszek zaczął się dusić. - Oczekuję natychmiastowej zgody.

Niepiękny miałam wybór: odmówić i stać się przyczyną skopania przedstawiciela arystokracji na krwawą miazgę albo przyjąć propozycję i oddać się pod władzę Billy'ego. Wolałam jednak sama znaleźć się pod jego butem, niż wybrać to drugie wyjście. A zarazem bardzo chciałam pomóc paniczowi Franciszkowi, którego twarz przybrała już całkiem niestosowny w wyższych sferach odcień purpury.

- Billy, to naprawdę bardzo miło z twojej strony, ale... nie!

Zanim jeszcze skończyłam mówić, nagle schyliłam głowę i rzuciłam się na niego z całym impetem, biorąc go przez zaskoczenie. Tryknęłam go prosto w brzuch i runęliśmy razem na ziemię, ale przez to osiągnęłam swój cel: odtrąciłam Billy'ego od panicza Franciszka. W całym tym zamieszaniu panicz Franciszek dźwignął się z ziemi i miał tyle przytomności umysłu, żeby zwiać. Ja także

spróbowałam ucieczki, okazało się jednak, że Billy trzyma mnie za kostkę.

Zamarłam. Tym razem nie było w pobliżu pani Peters, która by mnie ukryła.

- No i co ty na to, Billy? - zaśmiał się Tchórzofretka.

- To już nie dziki kocur, ale mały byk, jak słowo daję!

Cała banda pokładała się ze śmiechu, widząc swego wielkiego wodza rozłożonego na łopatki przez dziewczynkę dwa razy odeń mniejszą - nie śmiał się tylko Billy. Żart nie przypadł mu do gustu. Czułam, jak jego ręka drży ze złości, musiał jednak zbagatelizować zajście, żeby nie stracić szacunku kompanów. Wiedziałam, że jestem w niemałych tarapatach.

- Patrzcie no, chłopaki! - krzyknął Billy, szarpiąc mnie za nogę. - Sami widzieliście, jak się na mnie rzuciła! Nie może mi się oprzeć!

- Puszczaj, ty bestio! - wrzasnęłam, wierzgając uwięzioną w jego garści stopą i tarzając się po błotnistej ziemi.

Billy nawet na mnie nie spojrział, tylko wzmocnił uścisk i wstał, dźwigając mnie za sobą, tak że zadymiałam głową w dół. Zmiażdżona kostka bolała mnie

potwornie i poczułam, jak cała krew uderza mi do głowy. Billy udawał, że nie słyszy moich protestów i zachowywał się tak, jakby mnie nie było. Jego banda uznała to za jeszcze śmieszniejsze.

- Ktoś tu słyszy miauczenie kota? - spytał głośno Billy, przytykając zwiniętą dłoń do ucha. - Ale się drze! Może ktoś powinien skrócić jego męki?

Całe towarzystwo gruchnęło śmiechem; Tchórzofretka aż się skręcał z uciechy. Nagle śmiech ucichł. Poczujęm, że zwolnił się uścisk na mojej nodze, i opadłam bezwładnie na ziemię. Tuż potem para silnych rąk postawiła mnie na nogi i zaczęła niezdarnie otrzepywać.

- Co wy robicie Kici? - spytał Syd spoza moich pleców; głos jego zabrzmiał groźnie.

Billy'emu uśmiech zamarł na ustach. Wódz gangu pobladł i napiął mięśnie do walki.

- Tylko tak się bawimy, no nie, Kiciu? - powiedział.  
- Wyglupiamy się.

Jego prawa dłoń szukała czegoś w kieszeni. Spostrzegłam, że błysnęło w niej ostrze noża.

- Jakoś nie słyszałem, żeby ona się śmiała - rzekł Pedro, przepychając się naprzód i stając obok mnie.

Towarzyszył mu panicz Franciszek.

Billy posłał Pedrowi mordercze spojrzenie.

Obandażowane dłonie Syda zacisnęły się na moich ramionach: mistrz bokserski szykował się do następnej walki. Poczułam łaskotanie paniki w żołądku: nie chciałam stać się przyczyną kolejnego rozlewu krwi.

- Nic się nie stało, Syd. Daj spokój - mruknęłam, oglądając się na niego.

Syd przyjrzał się mojej uniesionej twarzy z dziwną miną: ni to litości, ni to zrozumienia. Domyśliłam się, że on też zauważył nóż i zaniepokoił się o mój los, gdyby wywiązała się z tego grubsza awantura. Zwrócił się znów do Billy'ego:

- Dość mam na dzisiaj boksowania, Pryszczu, ale jak jeszcze raz zobaczę, że tknąłeś Kicię, policzę się z wami wszystkimi. Zapamiętaj sobie: kto podniesie rękę na moją Kicię, nie ujdzie mu to na sucho!

Billy na sekundę ukrył dłoń w kieszeni, po czym uniósł otwarte ręce, jakby na znak pojednania z rywalem - lecz Syd zignorował go, odwrócił mnie i wyprowadził poza milczące szranki bandy Billy'ego. Po tym jak na ich oczach powalił na deski Tarana z Camden, żaden z chłopaków nie chciał z nim zadzierać.

Gdy dotarliśmy w bezpieczne otoczenie popleczników Syda, poczułam ulgę, ale także wstyd. Nie powinnam była przychodzić na mecz. Wpakowałam się w kłopoty i omal nie skończyło się to fatalnie. Ojciec Syda, rumiany jegomość z pięściami jak dorodne szynki, spojrzał na mnie z dezaprobatą, gdy jego syn podprowadził mnie do stołka w kącie ringu.

- Pokaż tę kostkę, Kiciu - rzekł troskliwie Syd, ściągając wełnianą pończochę z mojej prawej nogi. Panicz Franciszek, któremu zapewne zawdzięczałam odsiecz, kręcił się za jego plecami z miną zarazem zażenowaną i niespokojną. Istotnie, moja kostka przedstawiała niepiękny widok: ślady po paluchach Billy'ego zamieniały się już w czerwono-fioletowe siniaki.

Syd zmarszczył brwi.

- Gdybym wiedział, że to tak wygląda, rozkwasilibym mu tę głupią gębę.

- To nic wielkiego, Syd - zapewniłam go pospiesznie, żeby nie myślał sobie, że przejmuję się takim drobnym obrażeniem. - On się naprawdę wygłupiał, tak jak ci powiedział.



- Wyglupiał się! - nie wytrzymał Pedro. - Trzymał cię do góry nogami. To były tortury, a nie wyglupy! Ty go lepiej nie broń, Kiciu!

- Nie dopraszałam się o takie traktowanie! - odpaliłam, przelewając cały ból w złość na Pedra za głupią uwagę. - Gdybyście wszyscy tak prędko nie uciekli, nie zostałabym sama i on nie wazyłby się dobrać mi do skóry!

Wstałam, zamierzając oddalić się z godnością i dokuśtykać jakoś do domu, jednak przesywający ból w prawej nodze pchnął mnie z powrotem na stołek.

- Kicia ma rację - przyznał z goryczą panicz Franciszek. - To było poważne uchybienie z naszej strony pozostawić damę samą.

- To było co? - zdumiał się Nick.

- Nie powinniście byli wiać - przetłumaczyłam - porzucając mnie na łasce tego zasrańca Billy'ego Shepherd.

- A więc to był Billy Shepherd? - spytał z przejęciem panicz Franciszek.

Wiadomość, że właśnie przed chwilą walczył z jednym z najsławetniejszych przywódców gangów w Londynie,

wyraźnie przywróciła mu ducha, którego stracił pod bu-tem Pryszcza.

- Zadośćuczynimy przynajmniej tak za swoje haniebne zaniechanie, że opłacimy wynajęcie lektyki, w której odniesiemy cię do domu - rzekł, patrząc na mnie i wyciągając gwineę z pękatej sakiewki.

Nick i Syd osłupieli.

- Skąd to masz? - obruszył się Syd. - Nie życzę sobie, żebyś się zadawała ze złodziejami, Kiciu - zrugął mnie, przekonany widocznie, że bogactwo panicza Franciszka jest nieuczciwego pochodzenia.

- Spokojna głowa, Syd - wtrącił się Pedro. - To jego własne. On nie jest tym, na kogo wygląda.

Syd z uwagą przypatrzył się usmolonej twarzy panicza Franciszka. Nie jest może przesadnie bystry, ale jak dać mu czas, wszystko w końcu do niego dotrze.

- Jesteś szlachcicem?

Panicz Franciszek spojrział niepewnie na Pedra. Przekonał się już, jak łatwo narazić się wodzom gangów z Covent Garden. Nie wiedział za to, że stojący przed nim olbrzym ma złote serce - niewielu ludzi to wiedziało.

- Zgadza się - potwierdził za niego Pedro.

- Jakim prawem go tu przyprowadziłaś, Kiciu! - spytał ze złością Syd, z góry zakładając, że to moja sprawka.  
- Nie pomyślałaś, co go może czekać, jak ktoś to odkryje?

- To był mój pomysł - przyznał się Pedro, ale Syd nie dał się tak łatwo udobruchać.

Wbił sobie do głowy, że wszystkiemu winna jestem ja.

- No to dlaczego go nie powstrzymałaś? - łąjał mnie dalej. - Wiesz, że Pedro jest jeszcze zielony, nie zna życia na ulicy, ale ty je znasz doskonale, Kiciu! Myślałem, że jesteś mądrzejsza!

Moment wydawał się stosowny, by wypróbować którąś ze sztuczek stosowanych przez bohaterki powieści Samuela Richardsona - efektowne omdlenie albo łzy mogłyby skłonić Syda, żeby okazał mi litość. Jednak takie głupie zachowania były poniżej mojej godności.

- Masz rację, Syd, powinnam była go powstrzymać - bąknęłam w poczuciu klęski, którą przyniósł mi cały ten dzień. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to skorzystam z pomocy panicza Franciszka i wrócę do domu.

Wstałam. Panicz Franciszek usłużnie podał mi ramię i kuśtykając, ruszyłam do bramy.

Moja skrucha zmiękczyła jednak serce Syda.

- W takim stanie nie możesz iść piechotą aż na ulicę Oksfordzką, ty głuptasie. Ja cię zaniosę - powiedział, biorąc mnie na ręce jak lalkę. - Proszę z nami, wasza lordowska mość, skoro nie da się inaczej - burknął przez ramię do panicza Franciszka. - Ja nie mam złota na wynajmowanie lektyki, ale może jaśnie pan pokryć rachunek.

BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



*Akt III – w którym dwoje naszych  
bohaterów o włos unikną nieszczęścia...*

## Akt III

### SCENA 1 - NAGRODA

**M**uszę przyznać, że do końca dnia byłam w okropnym humorze i nikogo nie chciałam widzieć. Schowałam się w Jaskółczym Gnieździe, z nogą owiniętą zimnym kompresem, i bardzo litowałam się nad sobą. Covent Garden - mój dom - stał się oto dla mnie niebezpieczny. Billy i jego banda mają mi teraz za złe, że nie przyjąłam propozycji wstąpienia do ich gangu, więc nie mogę już swobodnie poruszać się po okolicy. Co gorsza, naraziłam się Jankowi. Tak jak przeczuwałam, nie okazał mi zbyt wiele współczucia, widząc, jak wysiadam z lektyki. Sprawdził tylko, czy kurs został opłacony (irlandzcy tragarze nie wahaliby się wyrzucić w błoto klienta, który nie ma czym zapłacić za luksus bycia noszonym w lektyce po Londynie). Wzięłam Janka pod ramię i pokuśtykałam do teatru, po drodze streszczając mu swoje perypetie.

- Jak się biega z psami, Kiciu, to nie trzeba się dziwić, że czasem cię chapną - powiedział, przepuszczając mnie przez drzwi dla aktorów.

Była to dość komiczna uwaga z ust ściganego, który się ukrywa.

- Za to kto chce mieć dowcip błyskotliwy jak iskra, Kapitanie - odpaliłam śmiało - powinien skryć się pod spódnicę Drury Lane, czmychając przed sforą gończych psów, prawda?

Z cichą satysfakcją spostrzegłam, że Janek błędnie: moje słowa trafiły w dziesiątkę.

Radość rewanżu trwała jednak krótko. Janek zacisnął mocniej dłoń na moim ramieniu i obrócił mnie do siebie, twarzą w twarz.

- Kto ci powiedział? - syknął z gniewnym błyskiem w oku i potrząsnął mną groźnie.

Przestraszyłam się: takiego Janka, zawziętego i niebezpiecznego, jeszcze nie znałam. Po raz pierwszy mój łagodny nauczyciel okazał surowość.

- Nikt, sama zgadłam - odparłam pospiesznie. - Nie martw się, nikt więcej nie wie.

Spojrzał mi bacznie w oczy i puścił moje ramię. Był dziwnie zimny i obcy - nie ten sam człowiek, z którym

spędziłam tak wiele godzin w minionych dniach.

- I niech się lepiej nikt od ciebie nie dowie, Kiciu, bo ściągniesz na mnie nieszczęście - mruknął, odwracając się i odchodząc w stronę pokoju suflera, w którym urządził sobie tymczasowe mieszkanie.

- Janku! Przepraszam! - krzyknęłam cicho za nim, patrząc dokoła, czy nikogo nie ma w pobliżu. - Na pewno nie wygadam. Możesz mi ufać.

Wzruszył ramionami, nie oglądając się na mnie.

- Na pewno, Kiciu? - burknął i z impetem zatrzasnął za sobą drzwi.

Teraz już rozumiesz, Czytelniku, dlaczego schroniłam się w moim gnieździe w podłym humorze. Była godzina dziesiąta. W teatrze panowała cisza, jednak z ulicy dobiegał wesoły gwar klientów gospód, które w niedzielę robiły najlepszy interes. Nawet na mój stryszek dolatywały okrzyki na cześć Rzeźnika z Łuczniczej. Syd stał się lokalnym bohaterem i pewnie sam gdzieś niedaleko świętował triumf w gronie swojego gangu. Na pewno byli z nim wszyscy chłopcy, również Pedro - intonował śpiewy, przygrywał na skrzypcach i szastał pieniędzmi, które otrzymał od panicza Franciszka za umożliwienie



mu udziału w przygodzie. Najbardziej zła byłam właśnie na Pedra. Postąpił jak kukułka wyrzucająca pisklę z gniazda: zajął miejsce, które mnie się należało w gangu Syda. A w ogóle to przez jego głupotę panicz Franciszek znalazł się na meczu i doprowadził do mojego nieporozumienia z Sydem! Gdybym mogła obwinić Pedra również za moją obolałą kostkę, chętnie bym to zrobiła.

Po godzinie takiego biadolenia poczułam, że mam już dość.

- Weź no się w garść, Kiciu - powiedziałam do ciemności. - Przestań się nad sobą rozczulać.

Uprzytomniłam sobie, że chce mi się jeść i pić. Trzeba coś zrobić w tej sprawie - pomyślałam - a na pewno poczuję się lepiej. I rzeczywiście: wstając, stwierdziłam, że nawet moja kostka nie boli już tak bardzo. Podniesiona na duchu wzięłam świecę i zeszałam na dół poszukać towarzystwa i czegoś na ząb. O tak późnej godzinie w niedzielę w teatrze było zwykle mało ludzi, ale liczyłam na to, że pojednam się z Jankiem i zjem z nim kolację, a jeśli nie, to może chociaż Caleb, nocny portier, będzie miał coś do przegryzienia.

Kulisy pogrążone były w ciszy i mroku. Nie lubiłam ich w tym stanie - teatr powinien być pełen ludzi i życia. Opustoszały, dudnił echem duchów dawnych przedstawień i zmarłych aktorów. Moja świeca rzuciła wydłużone, pokraczne cienie lin zwieszających się ze stropu niczym gigantyczna pajęczyna. Między rozstawionymi dokoła fragmentami scenografii trzeba było się poruszać bardzo ostrożnie: na drodze wyrastały zamkowe baszty i gęsto ustawione rachityczne drzewa, o które zaczęło się moje ubranie. Zepchnięte w kąt laboratorium czarnoksiężnika połyskiwało butelkami poprzyklejanymi do drewnianych półek i złożonymi grzbietami ksiąg magicznych zaklęć. Zaklekotało, gdy je mijałam - jakby w środku tkwił szkielet, który ożył i chce wyrwać się na zewnątrz.

- Janku! - zawołałam, przechodząc pod drzwiami pokoju suflera.

Mój głos zabrzmiał niezwykle słabo w gęstym mroku. Odpowiedzi nie było. Pchnęłam drzwi. Pokoik tonął w czerwonym blasku dogasającego kominka. Wszędzie leżały pliki tekstów sztuk. W kącie stało schludnie posłane łóżko polowe. Pod łóżkiem widać było pióra,

sprzęt do rysowania i papier. Nie było tylko Janka. Wycofałam się, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nagle z tyłu z ciemności dobiegł mnie odgłos, jakby domykanych gdzieś dalej drzwi. Odwróciłam się gwałtownie.

- Janku?

Cisza.

Poza Jankiem i nocnym portierem nie spodziewałam się w teatrze nikogo więcej. Może Janek mnie szuka? Może też chce się pogodzić? A nawet jeśli nie chce, chętnie posłucham jeszcze jego połajanek, byleby mieć jakieś towarzystwo.

Pobiegłam jak najszybciej w stronę, z której doleciał odgłos, i znalazłam się pod drzwiami gabinetu pana Sheridana. Przystanęłam, tłumiąc oddech. Tak, wewnątrz ktoś poruszał się ostrożnie, ale nie mógł to być Janek - on nigdy nie wchodził do tego gabinetu. Szurnęło krzesło przesuwane po podłodze. Czyżby pan Sheridan po coś tam przyszedł? Byłoby to bardzo niezwykle o tak późnej niedzielnej porze.

„Będziesz strzegła mojego klejnotu, prawda, Kiciu?” - przypomniałam sobie jego słowa.

Obietnica, którą złożyłam panu Sheridanowi, wróciła do mnie echem w tym ciemnym korytarzu przed drzwiami jego gabinetu. A jeśli w środku jest ktoś obcy? Jeśli już znalazł diament? Muszę temu zaradzić. Rozejrzałam się bezradnie i wzrok mój padł na włócznie, która stała oparta o ścianę: rozpoznałam w niej rekwizyt z parady towarzyszącej pieśni *Rule, Britannia*. Była co prawda tępa, ale wystarczająca, żeby przestraszyć ewentualnego włamywacza. A jeżeli to jest sam pan Sheridan? Nie wypada mi przecież wtargnąć do jego pokoju i zagrozić mu włócznie. Może uznałby to za zabawne, ale mógłby też dojść do wniosku, że posunęłam się za daleko. Był bardzo drażliwy na punkcie wchodzenia do jego gabinetu. Ujawszy włócznie w prawą rękę, lewą uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka. Spostrzegłam ciemną postać, zbyt małą jak na pana Sheridana, stojącą na krześle i szperającą po półkach na wprost drzwi.

- Stać, nie ruszać się! - krzyknęłam, otwierając drzwi z głośnym impetem.

Zaskoczony włamywacz zachwiał się na krześle i runął na podłogę. Podskoczyłam, chcąc przyszpilić go włócznie - okazał się wszak niewiele większy ode mnie

- ale on był szybszy. Błyskawicznie się podniósł, złapał włócznię za grot i wyrwał mi ją z rąk, aż zatoczyłam się i wyrznęłam w kant stołu. Pisnęłam z bólu, a złodziej chwycił mnie za ręce i jedną boleśnie wykręcił do tyłu.

- Cicho bądź! - syknął znajomy głos. - Chcesz, żeby portier nas nakrył?

Pedro! Przestałam się szamotać.

- Puszczaj! - rozkazałam mu ze złością, ale on dalej wykręcał mi rękę.

- Obiecujesz, że nie będziesz się drzeć? - spytał, wzmacniając uchwyt.

Kiwnęłam głową. Wprost nie mogłam w to uwierzyć: Pedro okazał się włamywaczem!

Puścił mnie i schylił się po porzuconą włócznię.

- Chciałaś mnie na to nadziać, co? - rzekł wesoło i dotknął tępego czubka grota, zanim odstawił włócznię, opierając ją o biurko.

- Co ty tutaj robisz? - spytałam, masując obolałą rękę.

Pedro unikał mojego wzroku: udawał bardzo zajętego podnoszeniem przewróconego krzesła.

- Mógłbym cię spytać o to samo - rzekł wreszcie.

- Ja tu mieszkam, zapomniałeś? - prychnęłam sarkastycznie. - Szukałeś go, przyznaj się.
- Kogo? - Teraz gorliwie układał papiery, które ściągnął z półki, spadając z krzesła.
- Pedro, nie zgrywaj przede mną głupka! Szukałeś diamentu.
- A nawet jeśli tak, to co? - wzruszył ramionami.
- Przecież to kradzież! Obiecaliśmy go strzec! - oburzyłam się.
- Ty obiecałaś, ja nie.
- Wszystko jedno, to kradzież.
- No i co z tego? - Pedro po raz pierwszy podniósł na mnie oczy i zobaczyłam w nich straszny gniew. Patrzył na mnie nie jak na Kicię, koleżankę z teatru, lecz jak na białą dziewczynkę należącą do narodu, który wzbogacił się na niewolnictwie. Nie podobało mi się to spojrzenie. - A twoim zdaniem to, że mnie wszystko ukradziono, nie było złe? To, że skradziono mi rodzinę, dom, nawet wolność? Co w tym złego, że próbuję zdobyć pieniądze, żeby się stąd wyrwać i wyjechać gdzieś, gdzie będę naprawdę wolny? Do takiego miejsca, gdzie ludzie będą patrzyli nie na mój kolor skóry, tylko na mnie samego?

- Ja tak właśnie na ciebie patrzę, Pedro - powiedziałam cicho.

Wzruszył ramionami.

- Może ty tak, ale to dlatego, że życie ułożyło ci się niewiele lepiej niż mnie. - Nowa myśl nagle przysłała mu do głowy, bo chwycił mnie za ręce i przyciągnął do siebie. - A ty, Kiciu? Nie chciałabyś uciec od tego wszystkiego? Gdybyśmy znaleźli diament, już nigdy w życiu nie musielibyśmy znosić lania. Odplacilibyśmy wszystkim za wyrządzone nam krzywdy. Kiedy patrzyłem, jak ta bestia trzyma cię za nogę głową w dół i obleśnie rechocze, przypomniało mi się...

Urwał, cofnął ręce i odwrócił się ode mnie.

- Co takiego? - spytałam, nie domyślając się końca zdania.

- Jak sam byłem niewolnikiem, do diaska! - wypalił wściekły, jakby to była moja wina, że sobie przypomniał.

- Nie rozumiesz, że mając w garści diament, mogłabyś sprawić, że Billy Shepherd pożałuje, że kiedykolwiek cię tknął?

- Nie, nie mogłabym tego zrobić - zaprzeczyłam, zawzięcie kręcąc głową. - Bo musiałabym się do końca

życia ukrywać jako złodziejka. Mówisz, że tobie skradziono życie - i to prawda - ale mnie życie uratował pan Sheridan. Zamarzyłabym pod drzwiami, gdyby się nade mną nie zlitował. Nie mogę mu za to odpłacić, okradając go.

Mówiąc to, widziałam, z jakim wysiłkiem Pedro tłumi dojmujący ból, który na moment przede mną odkrył pod wpływem wspomnienia niewoli.

- Twój problem, Kiciu, polega na tym, że za bardzo ufasz ludziom. - Wsunął plik pism z powrotem na półkę tak zamasyście, jakby ładował kulę do armaty. - Wydaje ci się, że pan Sheridan choć trochę dba o ciebie? Jasne, że nie. Jesteś tak spragniona uczucia, że każdego, kto cię pogłaszcze po głowie, zaraz uważasz za przyjaciela. Ale wierz mi na słowo, że kto jedną ręką głaszcze, ten drugą bije. Trzeba się nauczyć troszczyć tylko o siebie.

- Tak jak ty.

- Tak jak ja.

- Kiedy ja naprawdę ufam swoim przyjaciołom. Panu Sheridanowi zawdzięczam wszystko.

- Tak czy owak to teraz nieważne - machnął ręką Pedro, rozglądając się po raz ostatni, czy wszystko w



gabinecie wróciło na miejsca. - Tu go nie ma. Trzy razy przeszukałem pokój i nic nie znalazłem.

- Trzy razy! - powtórzyłam ze zgrozą.

- Tak, w czasie kiedy ty lizłaś rany, rozpamiętując swoje minione przygody - powiedział z ironicznym uśmiechem - ja myślałem o przyszłości.

- Ale Pedro - rzekłam błagalnie - obiecuj mi, że więcej tak nie będziesz ryzykował! Gdyby cię złapali, nie minąłby cię stryczek.

- Obiecuję, że już tu nie wejdę, ale tylko dlatego, że to strata czasu. Musiał go schować gdzie indziej.

- Pedro! Bo będę musiała na ciebie donieść!

Chciałam nim wstrząsnąć i przywrócić go do rozsądku, bo był taki spokojny i pewny siebie.

- Przecież tego nie zrobisz.

Jego ciemne oczy patrzyły na mnie wyzywająco.

Miał rację. Moja lojalność wobec pana Sheridana nie sięgała tak daleko, by usprawiedliwić egzekucję małego chłopca. Musiałam więc polegać raczej na perswazji niż na pogrózkach.

- Proszę cię, Pedro.

- Spokojna głowa. Ty o niczym nie wiesz. A ja będę bardzo ostrożny. - Uśmiechnął się.

- Psiakość! - Nie mogłam już znieść spokoju malującego się na jego twarzy. Dlaczego nie chciał mnie słuchać? Czyżby naprawdę myślał, że tak zuchwała kradzież ujdzie mu na sucho? Złapałam go za poły żakietu. - Proszę... nie... rób... tego!

Przy każdym słowie uderzałam go pięściami, aż Pedro złapał mnie za nadgarstki. Wciąż uśmiechał się drwiąco, czym doprowadzał mnie do furii.

- Wybacz, Kiciu, ale to moja szansa na wyrwanie się stąd. Jeżeli ktoś mi pokaże inne wyjście, chętnie skorzystam. A ty, gdybyś wiedziała, co dla ciebie dobre, zrobiłabyś to samo. Pan Sheridan kiedyś w końcu znudzi się tobą jako maskotką i co wtedy poczniesz? Jeżeli jakiś porządny gość, w rodzaju Syda, nie ożeni się z tobą z litości, to dokąd pójdziesz za parę lat? Powiem ci dokąd: na ulicę.

Puściłam jego klapy i zatkałam uszy palcami, żeby już dłużej tego nie słuchać.

- Mówisz tak tylko po to, żeby usprawiedliwić swój postępek - rzekłam rozżalona. - Ale ja wiem, że to jest złe. I poradzę sobie inaczej. Znajdę jakiś sposób zarabiania na utrzymanie - uczciwy sposób.

- Aleś ty naiwna, Kiciu.

- Może i tak, ale w każdym razie nie jestem złodziejką.

- Ja też nie jestem złodziejem, chcę tylko odebrać należny mi dług.

- Złodziej!

- Tchórz!

- Złodziej!

- Hej tam, hej tam! - odezwał się męski głos. - A co to za hałasy? - Do gabinetu wszedł Janek. - Czemu się przezywacie? A w ogóle co tu robicie?

Spojrzałam na Pedra. Perłowy kolczyk w jego uchu błyskał zalotnie w blasku świecy, ale Pedro patrzył pod nogi, najwidoczniej niepewny, co teraz powiem.

- Nic właściwie - odrzekłam. - Posprzeczaaliśmy się o... o...

- O to, co się dzisiaj stało - dokończył szybko Pedro, zorientowawszy się, że go nie zdradzę. - Zdenerwowała nas ta heca po meczu.

Janek przyjrzał się badawczo nam obojgu.

- I postanowiliście odbyć kłótnię akurat w gabinecie pana Sheridana? - Schylił się i wziął do ręki przyniesioną przeze mnie włócznię. - Z użyciem włóczni? Widzę, że to poważniejsza sprawa.

Milczeliśmy oboje. Cóż mogliśmy na to rzec?

- No, tym razem nic nie powiem panu Sheridanowi, ale na przyszłość oczekuję od was lepszego zachowania - powiedział Janek, wypraszając nas gestem z gabinetu. - Zwłaszcza od panny Królewskiej. Za to wszystko, co dla panny uczynił pan Sheridan, nie powinna mu panna odpłacać samowolnym buszowaniem po jego pokoju. A może zrobił błąd, obdarzając pannę zaufaniem?

- Spokojna głowa - prychnął ze złością Pedro. - Panna Królewska jest wierną służką pana Sheridana, a może powinienem raczej powiedzieć: niewolnicą?

Odwrócił się od nas i czym prędzej czmychnął do wyjścia na ulicę.

- Janku, ja... ja... - dukałam, zastanawiając się, co powiedzieć, by nie pograć Pedra.

- Czy ty nie powinnaś już być w łóżku? - spytał surowo Janek, wcale nie ciekaw moich dalszych wyjaśnień. - Miałaś męczący dzień, chyba pora się przespać.

Kiwnęłam potulnie głową i poszłam do siebie, zrozpaczona, że zawiodłam Janka już po raz drugi tego dnia. Czy to znaczy, że nie będzie dłużej chciał się ze mną

przyjaźnić? Czułam, że odprowadza mnie wzrokiem, gdy pięłam się po chwiejnych schodach do Jaskółczego Gniazda. Lecz kiedy odwróciłam się na półpiętrze, żeby powiedzieć mu dobranoc, zmierzał już do swojego pokoju. Wtedy właśnie zauważyłam, że ma dwa pistolety wtknięte za pas. W odróżnieniu od mojej włóczni nie wyglądały na rekwizyty. Były prawdziwe.

Następnego dnia rano, zgnębiona tym, że Janek się na mnie gniewa, postanowiłam za wszelką cenę znaleźć jakąś przyjazną twarz. Skorzystałam z okazji, że wysłano mnie ze sprawą do teatru Covent Garden, i po drodze wpadłam do Syda. Przyszłam jednak w złym momencie - złym dla takich, co jak ja nie znoszą widoku krwi - bo Syd ćwiartował właśnie wielką świnię. Zwierzę było już zabite, ale pozostało jeszcze mnóstwo pracy z dzieleniem tuszy. Syd miał ręce po łokcie umazane we krwi.

- O, Kicia. - Uśmiechnął się znad świńskiego ryja, cały pokierszowany i posiniaczony po wczorajszym meczu. Świński ryj szczyrzył się dobrotliwie, jakby na trzeciego uczestniczył w spotkaniu. - Jak się masz? Jak twoja noga?

- Znacznie lepiej, dzięki, Syd - odpowiedziałam, zatrzymując się w drzwiach.

Wielką ulgę sprawiło mi to, że przynajmniej on nie wini mnie za to, co się stało.

Syd zamachnął się tasakiem, rąbnął i odrzucił świński łeb do kubła, chlapiąc wokoło krwią. Pospiesznie uniosłam skraj spódnicy.

- Och, przepraszam cię, Kiciu. Nie jestem przyzwyczajony do tego, by damy obserwowały mnie przy pracy.

Krwawa sceneria przypomniała mi o wczorajszym meczu.

- Nie ma prostszych sposobów zarabiania na życie? - spytałam smętnie, opierając się o framugę drzwi, żeby nieco ulżyć bolącej nodze.

Syd zrobił urażoną minę.

- A co jest złego w rzeźnictwie?

- Nic - odparłam szybko i z przekonaniem. Było to przecież uczciwe rzemiosło, którego nie należało się wstydzić. - Chodziło mi o mordobicie na ringu.

- Ach, o to. - Syd wprawnie odrąbał świni racice. - Nie sądzę, żeby dziewczyna była w stanie to zrozumieć, ale powiem ci, że to moja jedyna droga do sławy i

fortuny, Kiciu. Fach rzeźnicki jest w porządku, ale ja chcę czegoś więcej.

- Na przykład czego?

- Chcę zostać mistrzem, to oczywiste. A potem, kiedyś, założyć akademię bokserską, w której młodzi szlachcice, tacy jak twój panicz Franciszek, będą mi dobrze płacić za naukę boks. Wtedy będę mógł sobie pozwolić na porządny dom, założenie rodziny, posłanie synów do dobrych szkół. - Zerknął na mnie z ukosa. - Będę się piał coraz wyżej.

Dwoma krótkimi ciosami tasaka odrąbał zakręcony świński ogon i rzucił go na tacę, którą miał za plecami.

Poczułam się nieswojo, słuchając jego marzeń o przyszłości; bezpieczniej było powrócić do tego, co tu i teraz.

- Będziesz ostrożny, prawda, Syd? Będziesz uważał na to, z kim się zadajesz?

Roześmiał się.

- No jasne, Kiciu. Już ty sobie mną nie zaprzętaj swojej ślicznej główki. - Odłożył tasak i spojrzał na mnie z powagą. - Prawdę mówiąc, Kiciu, to ja się martwię o ciebie. Chodzą słuchy, że Pryszcz dybie na ciebie, bo

zalażał mu za skórę. Lepiej trzymaj się na razie z dala od targowiska. Dopóki nie zrobię z nim porządku.

Przełknęłam nerwowo ślinę.

- Porządku... z nim?

- Tak jest. Załatwimy sprawę dziś wieczór. Na rynku. Jego chłopaki przeciwko moim.

- Syd!

Uśmiechnął się i otarł ręce o fartuch, wyraźnie zadowolony, że się o niego troszcę.

- Nic się nie martw, Kiciu. Pryszczaty nie ma szans. A teraz odprowadzę cię do domu, żeby nic ci się nie stało.

Nie chciał słyszeć odmowy: eskortował mnie jak strażnik więźnia, przez całą ulicę Łuczną.

- Zaczekaj chwilkę - poprosiłam go, przystając pod magistratem.

Przy drzwiach sądu zawisło nowe ogłoszenie, pod którym zebrał się tłum rozdyskutowanych obywateli. Chciałam je koniecznie przeczytać.

Syd zatrzymał się uprzejmie. Ludzie z pierwszego szeregu rozstąpili się z szacunkiem, przepuszczając go na najlepsze miejsce.



- Co tam piszą, Kiciu? - zapytał.

Nigdy nie nauczył się czytać, zadowolając się tylko znajomością liczb i najprostszych rachunków, niezbędną w handlu.

- To jest obwieszczenie o nagrodzie - wyjaśniłam ponurym głosem. - Dają sto funtów za informację, która przyczyni się do ujęcia człowieka znanego jako Kapitan Iskra.

Syd klasnął w wielkie dłonie.

- Ranyjulek! Nielicha sumka!

- Święta racja, bracie - potwierdził stojący obok mężczyzna.

- Nie pogniewałbym się, gdyby mi ktoś dał sto funtów: mógłbym za nie założyć własny klub bokserski i raz na zawsze zapomnieć o mordobiciu. - Odciągnął mnie od ogłoszenia. - Zobaczysz, że niedługo ktoś go sypnie.

Kiwnęłam głową, modląc się w duchu, żeby nie miał racji. Jedna rzecz była pewna: po ostatniej nocy nie pisnę ani słówka o tym, czego się dowiedziałam o Janku, nikomusieńku, a zwłaszcza Pedrowi.

Wobec przynęty stu funtów, zdradzić to Pedrowi znaczyłoby posłać Janka na szubienicę.

## SCENA 2 - KOLONIA GAWRONÓW

Przez cały dzień nie spotkałam ani Pedra, ani Janka. Signor Angelini poinformował mnie, że Pedro wyszedł na całe popołudnie zabawiać księżęcego syna. Był chyba pewien, że chodziło o grę na skrzypcach, więc nie chciałam pozbawiać go złudzeń, chociaż podejrzewałam, że panicz Franciszek z Pedrem znów buszują po Londynie w przebraniu. Wcześniej miałam nadzieję, że jakoś pogodzę się z Pedrem i wyperswaduję mu udział w planowanej na wieczór wojnie gangów, ale skoro Syd kazał mi siedzieć w domu, doszłam do wniosku, że nie będzie roztropnie biec na poszukiwanie chłopców.

Janek był co prawda w teatrze, ale „zajęty”. Na drzwiach jego pokoiku zawisła kartka: „Nie przeszkadzać”, wykaligrafowana eleganckim, pełnym zawijasów charakterem pisma. Przytknęłam ucho do drzwi i usłyszałam, że faktycznie tam jest. Po skrobaniu pióra o papier poznałam, że rysuje, i domyśliłam się, dlaczego nie życzy sobie teraz żadnych wizyt: widok na wpół

ukończonej karykatury autorstwa Kapitana Iskry na jego biurku zdradziłby go niechybnie - równie dobrze mógł wyskoczyć na ulicę i przedstawić się całemu światu. Oczekałam chwilę, przysiadłszy na wielkiej drewnianej kotwicy używanej do scen marynistycznych w przedstawieniach, ale moje czatowanie na nic się nie zdało. Dałam więc spokój i powlokłam się z powrotem do Jaskółczego Gniazda, spytać panią Reid, czy nie ma dla mnie nic do roboty.

- Panie święty, dziewczyno, jaką ty masz minę! - wykrzyknęła na mój widok. - Nie oglądałam cię takiej smutnej, odkąd pan Salter wytargał cię za uszy! - Rzuciła mi naręcze rzeczy do cerowania. - Zrób z tym coś. Tylko żebyś mi cerowała gęsto, bez tych twoich siatek!

Wzięłam igłę i pośliniłam koniec szarej wełnianej nitki, żeby ją nawlec.

- Gdzie się podział pan Salter? - spytałam po chwili.  
- Strasznie dawno go nie widziałam.

- A, wyjechał - odrzekła pani Reid, marszcząc czoło. Serce podskoczyło mi w piersi - nareszcie jakaś dobra wiadomość! - Pan Sheridan był tak dobry, że wysłał go

do Bristolu na drugi dzień po klapie sztuki. Podobno miał tam coś załatwić dla pana Sheridana, ale minął już przeszło tydzień, a o nim ani widu, ani słychu. Myślałam, że zmiana powietrza dobrze mu zrobi, ale teraz zaczynam się o niego bardzo martwić.

Pani Reid, krótkowzroczna po latach ślęczenia nad igłą, zapatrzyła się w przestrzeń. Okulary zsunęły się z jej kościstego nosa i zawisły na podtrzymującej je wstążeczce w okolicy biustu. Wszyscy za kulisami wiedzieli, że będąc wdową, pani Reid robi sobie nadzieje w związku z panem Salterem, bo lepszego kawalera do wzięcia od lat w Drury Lane nie widziano. Mówiono też, że krawcowa ma okrągłą sumkę odłożoną na czarną godzinę i że z jej pieniędzmi oraz jego wielkopańskimi ambicjami byłby to ożenek korzystny dla obu stron. Ja osobiście jakoś sobie tego nie wyobrażałam. Trzeba by chyba upaść na głowę, żeby z własnej woli poślubić tego starego mizernego pismaka, nawet jeśli był dalekim kuzynem pana na Norwich.

- Może wcale nie wróci? - spytałam z nadzieją. -  
Może bogaty kuzyn zabronił mu rujnować reputację

rodziny kiepskimi sztukami i zatrudnił go do jakiejś sensownej pracy?

- Nie bądź głupia! - ofuknęła mnie pani Reid, otrząsając się z marzeń i wbijając energicznie szpilkę w aksamitną poduszeczkę. - Hrabia Ranworth ocenia to inaczej. Zresztą z tego, co mi mówił pan Salter, wnioskuję, że przyczyną bezsennych nocy pana hrabiego Ranwortha jest jego rodzony syn, a nie daleki kuzyn.

- Ach tak? - zdziwiłam się, zaintrygowana.

Zapowiadał się niezły materiał na opowiadanie: rozdźwięk w wyższych sferach, niesforny syn i zatroskany ojciec. W każdym razie z pewnością historia, przy której łatwiej zniosę nudę szycia.

Pani Reid pochlebiło moje zaciekawienie - umiałam skłonić ją do niedyskrecji. Uwielbiała plotkować, a z jej miny wywnioskowałam, że na ten akurat temat obiecała nie puścić pary z ust. Tym większa była, naturalnie, moja pokusa. Pani Reid pewnie usprawiedliwi się przed sobą tym, że ja przecież się nie liczę.

- Zdaje się - rzekła, ścisząc głos do konfidencjonalnego szeptu - że syn hrabiego Ranwortha uciekł z domu. Wdał się w jakieś kłopoty i czmychnął tak, jak stał,

w jednej koszuli. - Pani Reid włożyła z powrotem na nos okulary i sięgnęła po igłę. - Pokłócił się z ojcem o plany na swoją przyszłość, tak mówi pan Salter. I zostałby wydziedziczony, gdyby nie klauzula.

- Klauzula?

- Majątek Ranworthów zgodnie z klauzulą przechodzi prawnie zawsze na najstarszego męskiego potomka. Biedny pan hrabia Ranworth nie ma nad synem żadnej władzy.

Szczęśliwy syn - pomyślałam. Może sobie pozwolić na bunty.

- Nie powinnam ci tego mówić - ciągnęła pani Reid, chociaż widziałam po jej minie, że swobodna rozmowa ze mną sprawia jej wielką przyjemność - ale pan Sheridan jest wciągnięty w poszukiwania młodego człowieka. Dlatego też wysłał pana Saltera, który wie, jak młody Ranworth wygląda, bo to przecież krewny, żeby rozejrzał się za nim po dokach w Bristolu. Chodziły słuchy, że syn hrabiego chce stamtąd odpłynąć.

Stłumiłam uśmiezek, wyobrażając sobie, jak ten wymuskany pan Salter wtyka swój długi nochal w szemrane

zaułki doków Bristolu. Teraz już rozumiałam niepokój pani Reid: jeśli nie wcielią go tam przymusowo do marynarki i nie wrzucą na pokład któregoś z okrętów Jego Królewskiej Mości, to może paść ofiarą bandy podpitych marynarzy. Był łatwym celem dla każdego chuligana.

- Panu Salterowi na pewno nic się nie stanie - skłamałam, żeby pocieszyć panią Reid. - Niedługo wróci i przywiezie ze sobą młodego lorda, zadowolony z pysznej przygody. - I dodałam pod nosem: - No i może wreszcie będzie miał o czym pisać.

Pani Reid mruknęła coś przeciwko mojemu niewczesnemu optymizmowi i zabrałyśmy się z powrotem do cerowania. Ja, jak zwykle, knociłam pracę, może nawet bardziej niż zazwyczaj, z powodu rozdrażnienia. Starałam się ukryć najgorsze kawałki przed byстрыm w tych sprawach okiem pani Reid, zasłaniając je skrajem fartucha. Za dobrze znałam jej porywczy temperament, żeby nie wiedzieć, że rozżalona utratą lubego, może odegrać się na mnie za pomocą krawieckiej miary z brzozonej witki. A jeszcze nie znikły mi z rąk ślady razów po jej ostatnim gorszym dniu.

Nagle uprzytomniłam sobie, że odkąd pierwszy raz usłyszałam o diamencie, wszystko stało się jakieś dziwne. Jakby diament stanął pomiędzy mną a moim zwyczajnym życiem, rozszczepiając i deformując kształt rzeczy. Nie ja jedna chowałam to i owo pod fartuchem. Nikt już nie był tym, na kogo wyglądał.

Pan Sheridan, który skarżył się, że nie ma pieniędzy na zakup świec, ukrył gdzieś w teatrze cenny diament - może nawet całkiem niedaleko od miejsca, gdzie akurat siedziałam.

Następny - Janek. Na pierwszy rzut oka Bogu ducha winny młodzieniec wchodzący w samodzielne życie, a w rzeczywistości człowiek, który został okrzyknięty przez władze zdrajcą i musiał się ukrywać. A w dodatku, w tajemnicy przed nami, wciąż fabrykujący nowe karykatury.

Czy jednak martwiło mnie, że mamy w swoim gronie przestępcę? Muszę przyznać, że ani trochę. Byłam po prostu zdania, że władzom brakuje poczucia humoru, skoro obrażają się o rysunki. A to, co Janek mówił mi o pewnych sprawach, na przykład o równości mężczyzn i kobiet albo czarnych i białych, miało sporo sensu. Co zaś



do „śmietnika historii” - możesz się oburzać, Czytelniku, ale mało mnie obchodziło, co stanie się z naszą monarchią, skrytą gdzieś w pałacach z marmuru i złota. ~~Jeśli lud postanowi pozbyć się króla, to powodzenia\*~~ - mnie, osobie z nizin społecznych, jest to obojętne. Nie sądzę jednak, żeby coś takiego dokonało się za mojego życia, choćby dlatego, że Anglicy nie zniosą, aby Żabojady pomyślały, że ich kopiujemy.

\* Wykreślone przez cenzora.

No i wreszcie Pedro. Oszukiwał mnie. Gdy uratował mnie wtedy w balonie, uznałam go za przyjaciela i przedstawiłam swoim najbliższym, ale teraz zdawało mi się, że on od początku kręcił i mnie zwodził. Już pierwszego dnia wykorzystał moją niedyskrecję w sprawie diamentu i powziął zamiar, żeby ukraść klejnot mojemu opiekunowi. Myśl, że nie jest ze mną szczerzy, była bolesna. Bo widzisz, Czytelniku, ja polubiłam Pedra: był utalentowany i odważny, odznaczał się też godnością osobistą, o jakiej mogłam tylko marzyć - zachowywał się jak mały król. Nic dziwnego, że Syd i chłopaki nazywali go Księciem. Chciałam zostać przyjaciółką Pedra, sądziłam,

że i on mnie polubił, ale okazało się, że się myliłam. Byłam tylko szczeblem drabiny, po której piął się do bogactwa. Teraz już nie wiedziałam, komu mogę ufać.

Chyba tylko Sydowi. Tak, pomyślałam z uśmiechem, Syd jest szczery. Jak coś mu się nie podoba, mówi wprost i koniec, kropka. Z Sydem nie ma niespodzianek. Taką przynajmniej miałam nadzieję. Chociaż ostatnio zaczęłam się obawiać, że on... Nie, nie chcę dopuścić do siebie myśli o tym, że Syd może żywić wobec mnie jakieś uczucie. Takie myślenie niepotrzebnie wszystko wyolbrzymia i komplikuje. Syd to Syd. I na tym poprzestańmy.

Poniedziałek był w teatrze spokojnym dniem. Wiadownia po spektaklu rozeszła się szybko i już o wpół do jedenastej mogliśmy zamykać. Stałam przy drzwiach z Calebem, przyglądając się, jak pani Siddons, nasza główna aktorka, rozdaje wielbicielom autografy przed udaniem się do domu. Była to majestatyczna dama, z zawsze elegancko ułożoną, bujną fryzurą, ubrana w doskonałym guście. Podobnie jak jej brat, miała hipnotyzujące

czarne oczy - chwilowo zwrócone na jakiegoś młodego wielbiciela - a na scenie magnetyzowała widzów samą potęgą swojej obecności. Zniewoleni jej urokiem, jęczeli, gdy ona jęczała, i płakali, gdy ona płakała. W roli lady Makbet była istnym potworem.

- Wspaniała kobieta - westchnął z zachwytem Caleb.  
- Znana na cały kraj, a jednak zawsze pamięta, jak się nazywam, i nieraz daje mi pensia na kufelek.

Mruknięciem przyznałam mu rację i pomyślałam sobie, że ma duże szczęście. Pani Siddons obracała się w sferach znacznie przewyższających moje. Odzywała się do mnie rzadko - a jeśli już, to głównie aby mi podziękować za spełnione polecenie - ale ubóstwiałam ją. Była królową angielskiego teatru, a ja - jej najwierniejszą poddaną.

- Caleb, można cię prosić na słówko? - Pytanie zadał Janek. Odczekał, aż tłum wielbicieli pani Siddons się rozejdzie, i dopiero wtedy zagadnął portiera. - Nie znalazłbyś kogoś, kto to dla mnie doręczy?

Zerknęłam ciekawie na podłużny cienki pakiet opieczętowany czerwonym lakiem. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zgadnąć, że jest to karykatura, nad którą

Janek pracował całe popołudnie. Spozstrzegł, że przyglądam się pakunkowi, i zmarszczył brwi.

Zanim zdążyłam się zastanowić, co znaczy ta mina, na ciasne podwórko przed wyjściem dla aktorów wbiegł przerażony mały oberwaniec, kierując się wprost do mnie.

- Ty jesteś Kicia?

- Tak. A o co chodzi?

Chłopak nie tylko miał ubranie w strzępach, ale był tak oblepiony brudem, że nie umiałam go rozpoznać.

- Tu mi kazali ciebie szukać. Musisz ze mną iść. Ten afrykański chłopiec cię wzywa. Źle z nim.

- Kto? Pedro? Co mu się stało?

- Bił się. No i oberwał, chyba śmiertelnie.

Cała złość na Pedra przeszła mi, jak ręką odjął, gdy usłyszałam, że jego życie jest zagrożone. Skoro wzywał mnie w takiej chwili, to widocznie nie tak całkiem się myliłam: Pedro jednak czuje do mnie sympatię. Co znaczy drobna sprzeczka wobec faktu, że jutro rano mój przyjaciel może nie żyć?

- Gdzie on teraz jest? - spytałam, łapiąc chłopca za rękę.

- Leć za mną - zawołał, puszczając się biegiem przed siebie.

- Kiciu! Dokąd ty pędzisz? - usłyszałam, jak krzyknęła za mną Janek.

Nie miałam czasu na wyjaśnienia. Zresztą Janek na pewno próbowałby mnie zatrzymać, a liczyć się mogła każda sekunda. Nie darowałabym sobie nigdy, gdybym przybyła za późno. Za późno na co? - spytał jakiś głos w mojej głowie. Wolałam o tym nie myśleć. Pędziłam za chłopakiem, a sypiący śnieg szczypał mnie w policzki. Wbrew temu, czego się spodziewałam, obdartus nie pobiegł w stronę Covent Garden. Przeciął ulicę Długopolną i skierował się na północ, w wąskie uliczki dzielnicy Świętego Idziego - okolicę znaną również pod nazwą Kolonii Gawronów. Zawahałam się przez chwilę, ale nie chcąc stracić chłopaka z oczu, skoczyłam za nim w rozdeptaną śnieżną breję ciemnych zaułków. Za dobrze znałam Londyn, żeby bywać w dzielnicy Świętego Idziego z własnej woli. Zazwyczaj omijałam ją szerokim łukiem. Tamtejsi mieszkańcy, przeważnie włóczędzy, złodzieje i żebracy, oskubywali podobno do czysta każdego obcego, który był na tyle głupi, że wkroczył w ich rewir; nie darowali nawet włosów i zębów. Rządzili się swoim prawem,

tworząc dziką, groźną społeczność w samym sercu jednego z najbogatszych miast na świecie.

Zapuściwszy się w labirynt uliczek, z miejsca poczułam atmosferę zagrożenia: nawet domy stały tu koślawo, chyląc się jeden na drugi i całkiem przesłaniając niebo. Z pokracznych kominów snuł się wąty dym. Światła świeciły tylko w oknach sklepików z ginem i gospód cuchnących alkoholem, potem i wymiocinami.

Nawet padający równomiernie czysty, biały śnieg szarzał tutaj, zanim osiadł na powierzchni rynsztoka, który płynął przez te slumsy szeroką strugą.

- Zaczekaj! - krzyknęłam do chłopaka. - Dokąd ty mnie prowadzisz?

Obdartus przystanął, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Dogoniłam go. Widać było, że i on woli tu być w ruchu, niż stać w miejscu, narażając się na jakieś kłopoty.

- Już niedaleko - powiedział, wycierając zasmarkany nos wierzchem dłoni. Wyglądał, jakby miał gorączkę: policzki mu pałały, a oczy błyszczały niezdrowo. - Zanieśli go Pod Królewską Głowę.

Puścił się dalej pędem, skręcając nagle w boczną uliczkę i jeszcze ciemniejsze od niej podwórko.

Smród rynsztoka był tu nie do zniesienia; ledwo zmusiłam się do dalszego biegu za chłopakiem. Zadrżałam z obrzydzenia, omal nie rozdeptawszy zdechłego szczura, który leżał sztywny na drodze.

Wychudzony kocur z jednym okiem i połową ogona przemknął obok i znikł w szczelinie ściany zabitego deskami domu. Chłopak wbiegł raptem w niskie, uchylone drzwi pod skrzypiącym szyldem. Nieudolne malowidło przedstawiało króla Karola I, dzierżącego pod pachą swoją własną odciętą głowę, i bujało się nad wejściem, a śnieg oblepiał je jak żałobny wieniec. Wskoczyłam do środka. Spodziewałam się ujrzeć Pedra leżącego na sterwie zakrwawionych łachmanów, jednak gospoda była pusta. Tylko ogień dopalał się w kominku, stał stół i ława, i niepilnowana przez nikogo beczka z piwem.

Ledwo przestąpiłam próg, ogarnęło mnie bardzo złe przeczucie co do tego miejsca. Zasmarkany chłopak zniknął. Instynkt podpowiadał mi, że, Pedro nie Pedro, trzeba stąd wiać. Już się nawet odwróciłam, ale w tej samej chwili do gospody wkroczył klient, zatraskując

drzwi za sobą i otrzepując śnieg z czapki. Był to Billy Shepherd. Struchlałam. Z pomieszczenia w głębi wyłonił się Tchórzofretka, Ospowaty i Matt Befszytk, wszyscy bardzo z siebie zadowoleni.

- To wspaniale, że znalazłaś dla nas czas, Kiciu - odezwał się Billy ze zjadliwą uprzejmością, wskazując mi miejsce na ławie. Stałam dalej, a śnieg na moim szalu topniał i kapał na podłogę.

- Gdzie jest Pedro? - spytałam żałośnie. - Coście z nim zrobili?

- Pojęcia nie mam, gdzie ten Smoluch się podziewa, Kiciu - odparł ze śmiechem Billy. - Pewnie pęta się po Covent Garden i czeka na wojnę - bo przecież wszyscy spodziewali się wojny. Musiałem, widzisz, odciągnąć trochę ich uwagę, żeby wywabić cię z Drury Lane. Chytra sztuczka, no nie? Wszyscy żeście się nabrali jak ryby na wędkę.

Zrobiło mi się niedobrze. Wpadłam w pułapkę. Pedro wcale nie jest umierający, żadnej wojny na rynku nie będzie, a ja, głupia, wylądowałam w łapach wroga, i to w miejscu, gdzie wszystko może się zdarzyć. Naprawdę wszystko: mogli mnie tu zamordować, a nikt z dzielnicy Świętego Idziego nie kiwnąłby nawet palcem. Jeśli chcę



żyć, to nie mogę drażnić Billy'ego. Usiadłam.

- No i jak ci się podoba moje centrum operacyjne? - Szerokim gestem wskazał obskurną izbę gospody. - Planuję rozszerzenie działalności: wezmę też pod opiekę kawałek Kolonii Gawronów. Spotkał cię zaszczyt: jesteś pierwszą osobą z zewnątrz, która ogląda moją kwatere główną. Jak wrażenia?

- Bardzo... bardzo tu ładnie - powiedziałam lekko drżącym głosem.

W rzeczywistości była to zimna, wilgotna i cuchnąca nora. W sam raz dla takiego szczura jak Billy.

Uśmiechnął się do mnie, odsłaniając popsute zęby, które przypominały stele nagrobne na cmentarzu. Wyciągnął rękę, żeby strzepnąć mi śnieg z włosów. Zniosłam to, chociaż z trudem. Billy sprawdzał mnie, szukał pretekstu, żeby mnie uderzyć, na co, jak widziałam, miał wielką ochotę. Przeważałam go publicznie, upokorzyłam wobec gangu - dwukrotnie naruszyłam jego „honor” i teraz miałam za to zapłacić.

- Słuchaj no, Kiciu, wróćmy do naszej wczorajszej rozmowy. - Stał teraz za moimi plecami, ale po minie i uśmiešku Tchórzofretki widziałam, co się szykuje. - Nie

podobało mi się jej zakończenie. Ja wiem, że ty coś wiesz - coś, co ja też bardzo chciałbym wiedzieć.

Nie tego oczekiwałam.

- Naprawdę? - zdziwiłam się przesadnie. - A co takiego?

Może jakimś cudem wykupię się na wolność.

- Diament - odrzekł krótko Billy, kładąc dłonie na moich ramionach i jednym palcem łaskocząc mnie w kark. - Jak mi powiesz, gdzie mogę go znaleźć, to cię puszczę do domu. Albo jeszcze lepiej: pozwolę ci łaskawie ukraść go dla mnie, a za fatygę kupię ci nową sukienkę. - Tchórzofretka spojrział na moją poplamioną kciekę i skrzywił się z pogardą. - Przyznasz, że to wielka łaskawość z mojej strony!

- Ale diament? Jaki diament? - wyjąkałam.

Skąd on wiedział o diamencie?

- Nie zgrywaj się, Kiciu, nie ty jedna szpiegujesz przy wyjściu dla aktorów. Widziano cię tam. Wiemy, że ty wiesz.

- Wcale nie wiem!

Metal zazgrzytał o metal i poczułam na szyi zimne ostrze noża.

- Wiesz, jak moja rodzina zarabia na życie, Kiciu? - spytał od niechcienia Billy.

Tchórzofretka patrzył na nóż przytknięty do mojego gardła jak pies na kość.

- Nie - odparłam, starając się nie wykonywać żadnego ruchu.

- Jesteśmy fryzjerami. Mamy wprawę w obchodzeniu się z brzytwą. Pamiętaj o tym, przypominając sobie, gdzie pan S, wsadził ten swój diament.

Dygotałam ze strachu. Naprawdę nie wiedziałam, gdzie pan Sheridan ukrył diament, a zresztą nawet gdybym wiedziała i wyjawiała to Billy'emu, on pewnie i tak poderżnąłby mi gardło, żeby skończyć ze mną raz na zawsze.

- Billy, proszę cię!

- Jeszcze cię nie przekonałem, Kiciu? To jak cię mam ostrzyć? Na jeża? A może na Mohikanina? - Szarpnął mnie za włosy i jeden rudy lok opadł na stół. Billy zgarnął go lewą ręką i schował do kieszeni. - To na pamiętkę - powiedział spokojnie. - Będę sobie wspominał twoje piękne loczki. Jak uważasz, Matt? Perukarz powinien nam za to nieźle zapłacić, no nie? Szkoda tylko, że rude nie są w modzie.

Befsztyk zaśmiał się posłusznie, chociaż w przeciwieństwie do Tchorzofretki miał w sobie trochę przyzwoitości, bo wydawał się zażenowany.

- Proszę cię! - Rozplakałam się, łzy zalewały mi twarz, ale siedziałam sztywno, starając się nawet nie drgnąć, chociaż instynkt potężnie ciągnął mnie do drzwi.

- Ja naprawdę nie wiem, gdzie ten diament jest schowany. Ale poszukam go dla ciebie, obiecuję. Naprawdę.

Billy szarpnęła następny kosmyk moich włosów.

- Przykro mi, ale to za mało, Kiciu. Zawsze chwaliłaś się, że wiesz o wszystkim, co się dzieje w teatrze, więc na pewno wiesz, gdzie jest diament. Zresztą podoba mi się tak, jak teraz jest: mam cię tutaj samą, bez obstawy. Pomogę ci podjąć właściwą decyzję i odzyskać pamięć. Przecież jakbym cię puścił, to od razu poleciałabyś do swojego przyjaciela Syda donieść o naszej małej pogawędce, no nie?

Miał rację: właśnie tak planowałam. Ileż bym dała, żeby mieć przy sobie w tej chwili Syda!

- Nie. Muszę dostać odpowiedź, i to zaraz. A potem spacerujemy się razem do teatru i przyniesiesz mi diamencik. Zgoda?

Co mogłam zrobić? Zmyślić odpowiedź? Takie wyjście wydawało się najlepsze. Zyskam przynajmniej trochę czasu.

- Zgoda? - powtórzył Billy, pociągając mnie boleśnie za włosy.

- Ja... no... ja...

- Tak, słucham.

Drzwi za nami rozwarły się z rozmachem i Billy odkręcił się na pięcie. Ponieważ nie puścił przy tym moich włosów, pociągnął mnie za głowę i dzięki temu przez zażawione oczy dostrzegłam, że ktoś stoi w progu. Jego czarny płaszcz i kapelusz oproszone były śniegiem. W dłoniach trzymał dwa pistolety - jednym celował w Billy'ego, drugim w Befsztyka. Befsztyk zaskowytał i dał nura za beczkę z piwem.

- W takim razie posłuchaj mnie, i to dobrze. Odłóż natychmiast brzytwę i odsuń się od dziewczynka - polecił Janek.

Lufy pistoletów ani drgnęły w jego dłoniach, obie gotowe do strzału.

Billy złapał mnie jeszcze mocniej za włosy i ściągnął z ławy, rzucając przed sobą na kolana. Przytknął ostrze

brzytwy do mojej szyi. Czulałam, jak drażni moją skórę.

- Coś ty za jeden, do cholery? - warknęła Billy.

Janek przekręcił komorę pistoletu, gestem rozkazując Billy'emu, żeby się ode mnie odsunął. Patrzył mu prosto w oczy, morderczym wzrokiem.

- Cofnij się. Puść ją - rzekł z pogroźką w głosie.

- Bo co? - wyszczerzył się szyderczo Billy. - Daj jeszcze krok, a poderżnę jej gardło. Zdaje ci się, że możesz włączyć sobie bez pukania i przeszkadzać nam w prywatnej rozmowie? Nie życzymy tu sobie jego obecności, prawda, Kiciu?

Szarpiąc mnie za włosy, pokręcił przecząco moją głową, jak głową marionetki.

- Nie dowiesz się od niej niczego o diamencie - rzekł z zimnym spokojem Janek. - Ona nic nie wie.

Billy odciągnął w tył moją głowę, odsłaniając gardło pod ostrze brzytwy.

- No to może ty nam coś powiesz? Gadaj, bo inaczej zarżnę tego kociaka.

- Tego nie zrobisz - odparł Janek, nie patrząc nawet na mnie, tylko skupiając wzrok na Billym. Ospowaty tymczasem przycisnął się z tyłu, zamierzając skoczyć mu

na plecy. - Nie ruszać się! - rozkazał mu Janek.

Ospowaty zastygł w bezruchu, wpatrzony w lufę drugiego pistoletu, która teraz celowała w niego.

- Nie zrobię? - szydził Billy. - A niby czemu nie?

- Bo wcześniej cię zastrzelę.

- Wątpię, przecież możesz trafić dziewczynę - powiedział Billy, przyciskając ostrze do mojej szyi.

- Wierz mi na słowo, jestem bardzo dobrym strzelcem. Z całą pewnością nie chybię. No, i co teraz zrobisz?

Zapadła cisza. Po chwili rozległ się brzęk: to Billy rzucił brzytwę na podłogę przede mną.

- Bardzo rozsądnie z twojej strony - rzekł Janek. - A teraz ją puść.

Billy, wściekły, puścił moje włosy i kopniakiem odsunął mnie od siebie, tak że straciłam równowagę i upadłam, raniąc się brzytwą w ramię.

- Jeszcze jedna taka sztuczka i poślę cię do piekła - zagroził Janek. - Wstań, Kiciu, i podejdź tu do mnie.

Podzwignęłam się z podłogi, podtrzymując skaleczone ramię, i chwiejnym krokiem przeszłam obok Janka, za próg tego straszego miejsca.

- Zapamiętajcie sobie - mówił do bandziorów Janek.
- Teraz odprowadzę tę młodą damę do domu. Jeżeli zauważę, że któryś mnie śledzi, strzelę bez uprzedzenia.

Spojrzał po nich raz jeszcze, po czym wyszedł, schylając głowę pod niską framugą, i tak wściekle trzasnął drzwiami, że szyld zadyndał z rozpaczliwym skrzypieniem. Janek wetknął jeden pistolet za pas, wolną ręką złapał mnie za rozcięte ramię i rzuciliśmy się do ucieczki.

- Musimy się stąd jak najprędzej wydostać! - ponaślał mnie, narzucając ostre tempo.

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać: gnałam jak szalona, chociaż parę razy poślizgnęłam się na oblodzonym bruku i jedynie dzięki silnej ręce Janka, która ścisnęła moje ramię, nie wylądowałam na ziemi. Byłam tak zziębnięta, że nie czułam bólu. Z ciemnych bram wycierały tu i ówdzie blade twarze, jak duchy na cmentarzu. Przyglądały się nam w upiornym milczeniu, a śnieg padał i padał, niczym zamarzniete łzy. Nagle na ulicę wyskoczyła chuda kobieta i złapała mój szal. Zostawiłam go w jej ręku jak zszarganą, zdobyczną flagę.



Skręciliśmy za róg, wbiegając w ruchliwą uliczkę pełną zadymionych gospód i obskurnych kamienic. Z bocznej alejki wytoczył się, zagradzając nam drogę, pijany Irlandczyk.

- Daj no tę małą! - krzyknął do Janka, próbując mnie odciągnąć za rękę.

Nie wiem dokładnie, co zrobił Janek, ale mężczyzna skulił się, obejmując rękami brzuch, a my pobieглиśmy dalej, na główną ulicę dzielnicy Świętego Idziego.

- Nie mam czym oddychać! - wysapałam, bo chwyciła mnie kolka.

- To nie oddychaj, tylko biegnij - powiedział Janek, oglądając się na mnie z niepokojem.

Pociągnął mnie za sobą, z powrotem ulicami Długopolną i Łuczniczą. Skręcił w boczną uliczkę, żeby ominąć gmach magistratu, i nie zatrzymując się, pędził aż do wejścia dla aktorów. Caleb stał na straży: otworzył przed nami drzwi i wpadliśmy do środka, przystając bez tchu, ledwo znaleźliśmy się za progiem.

- A cóż to się panu stało? - spytał Caleb, patrząc z niepokojem na zakrwawioną rękę Janka, który zgiał się wpół, próbując złapać oddech.

Mój wybawiciel spojrział ze zdziwieniem na własną dłoń.

- Mnie nic - rzekł, odwracając się do mnie. Stałam na czworakach, dysząc i pochlipując z ulgi. - Tylko Kici. Obejrzyjmy to.

Podniosłam lewą rękę: z kilkucentymetrowej rany ciekła krew, wściekle czerwona na tle bladej skóry pod pachą.

Janek gwizdnał przeciągle.

- Paskudnie wygląda! Odrobinę niżej, a trafiłby w tętnicę. Chodź, Kiciu, ze mną do pokoju, opatrzę ci tę ranę.

Caleb zbladł jak chusta na widok krwi ściekającej mi z ręki.

- Nic jej nie będzie? - spytał z troską.

- Nie ma obawy - zapewnił go Janek. - Ale miej dzisiaj w nocy oko na wszystko, Caleb. Ci, którzy to zrobili, mogą nas tu szukać. Zarygluj drzwi i nie wpuszczaj nikogo nieznanego.

- Spokojna głowa. - Portier podniósł tęgą pałkę, którą trzymał ukrytą za kotarą drzwi. - Nie przejdą tak łatwo obok Caleba Braithwaite'a.

- Dzięki, przyjacielu - rzekł Janek.

Przyklęknął i podniósł mnie z podłogi. Byłam tak oszołomiona i wyczerpana przygodą, że nie obchodziło mnie, co się teraz ze mną stanie: chciałam się tylko sku-  
lić, zasnąć i zapomnieć o wszystkim. Ale Janek miał inne  
plany. Najpierw musiał się zająć moim skaleczeniem.  
Posadził mnie na krześle przy kominku w swoim pokoi-  
ku i nastawił wodę w czajniku. Podarł na pasy kawałek  
płótna i przystąpił do opatrywania rany.

- Przepraszam cię za to wszystko, Kiciu. Powinie-  
nem był zadziałać szybciej - powiedział, pochylając się  
nad moją ręką.

- Ty mnie przepraszasz? - zdziwiłam się. - Nie masz  
za co. To była tylko moja wina: nie powinnam była dać  
się wciągnąć w pułapkę.

- Więc zwabili cię w pułapkę, tak? - upewnił się Ja-  
nek, delikatnie osuszając ranę tamponem.

Kiwnęłam głową.

Janek ścisnął współczująco moją dłoń.

- Muszę wiedzieć, co oni słyszeli o diamencie. Po-  
wtórz dokładnie, co ci mówili.

A więc i on znał sekret pana Sheridana! Przyszło mi  
nagle do głowy, że mógł znaleźć się w teatrze specjalnie

do jego pilnowania. Spojrzałam mu w oczy, próbując wyczytać z nich prawdę. Nie napotkałam już zimnego spojrzenia - powróciło dawne, przyjacielskie, a jednak dostrzegłam w głębi tych oczu nieobecny wcześniej cień, jakby oznakę smutku.

- Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, dlaczego znalazłaś się w towarzystwie tych obwiesiów, Kiciu. - Odwrócił się po bulgoczący czajnik i nalał trochę wrzątku do miski. - To chyba nie ty wygadałaś im o diamencie, co? - spytał z przesadnym spokojem, wsypując do gorącej wody kilka łyżek soli.

- Skąd! - oburzyłam się. - Nigdy nikomu nie mówiłam o diamencie... tylko Pedrowi.

- Pedrowi? - powtórzył Janek tak ostrożnie, jakby stąpał po cienkim lodzie.

- Ale on także nie wygadał! - dodałam prędko. Przy najmniej miałam taką nadzieję. - Au! - Janek dotknął mojej rany solnym tamponem.

- Billy Prysycz mówił, że ktoś z jego gangu widział mnie przy drzwiach dla aktorów. Pewnie tej nocy, kiedy tu przyszedł pan Marchmont.

- Kto to jest Billy Prysycz?

Uśmiechnęłam się mimo bólu.

- Chciałam powiedzieć: Billy Shepherd. Tak go tylko przezywam, nie jesteśmy, jak sam widziałeś, przyjaciółmi. To ten z brzytwą - ten, któremu groziłeś pistoletem.

- Ach, ten! - skrzywił się pogardliwie Janek, wyjmując pistolety zza pasa i rzucając je na łóżko, wciąż odbezpieczone. Skuliłam głowę w obawie, że zaraz wypalą.

- Nie miałem czasu ich załadować. Gdybym to zrobił, całe spotkanie skończyłoby się znacznie wcześniej, możesz mi wierzyć. Byłem jednak zbyt ciekaw, po co wybiegasz nagle w ciemną noc, i dlatego postanowiłem cię śledzić.

- Posłaniec przyniósł mi wiadomość, że Pedro jest ranny.

- Ach tak. Teraz rozumiem.

I ja nagle coś zrozumiałam: dlaczego Janek ryzykował, zapuszczając się za mną w dzielnicę Świętego Idziego. Nie z rycerskiej potrzeby bronienia damy, jak dotąd przypuszczałam.

- Nie ufałeś mi, prawda? Pomyślałeś, że idę cię zdradzić?

Obandażował moje ramię, po czym wyprostował się, wciąż siedząc w kucki.

- Odpowiem szczerze, że przeszło mi to przez myśl. Zamierzałem dać drapaka, gdyby się okazało, że wchodzisz do magistratu donieść o mojej nowej karykaturze. Ale bez względu na powody, cieszę się, że za tobą pobiegłem. Strach pomyśleć, do czego mogło dojść, gdybym się tam nie znalazł.

- Ja byłabym teraz zimnym trupem, a moje włosy stałyby na wystawie Pollarda jako peruka. Tego możemy być pewni. - Parsknęłam śmiechem, który nagle zamienił się w dreszcz trwogi.

Janek znów uściśnął mi dłoń.

- Byłaby to ogromna strata dla Drury Lane. A teraz powiedz mi, co oni wiedzą o diamencie.

- Niewiele - odrzekłam, wzruszając ramionami. - Tylko tyle, że jest schowany gdzieś w teatrze. Myśleli, że go dla nich wykradnę.

Janek zagryzł dolną wargę i zapatrzył się w ogień. Wesole płomyki tańczyły po węglach, rzucając pomarańczowy blask na urodziwą twarz Janka. Coraz milej mi było widzieć tę twarz w naszym teatrze. Tylko Janek okazywał mi tutaj prawdziwą serdeczność i zadawał sobie trud, żeby mnie czegoś nauczyć.

- Wydaje mi się, że trzymanie diamentu tutaj staje się zbyt niebezpieczne - odezwał się. - Muszę powiedzieć Sheridanowi, że trzeba go przenieść.

- Dokąd? - spytałam z zaciekawieniem.

- Oj, oj, Kiciu. Chyba lepiej, żebyś tego nie wiedziała, prawda? - zaśmiał się. - Patrz, w jakie tarapaty wpędziła cię dzisiejszej nocy mała odrobina wiedzy.

- Wpadłam przez własną głupotę, a nie z powodu wiedzy - odparowałam.

- Czy to znaczy, że wydałabyś im diament, gdybyś wiedziała, gdzie się znajduje? - spytał z dziwnym uśmiechem.

- Oczywiście, że nie. Coś bym wymyśliła, zanimby do tego doszło.

- Szczerze wątpię. Shepherd nie wygląda mi na osobnika, który pozwala małym dziewczynkom pozbawiać się wielkiej zdobyczy. Ale tak czy owak nie musisz się tym martwić. Diament powinno się stąd wysłać jak najdalej. Na przykład do Ameryki.

- Do Ameryki? Tak daleko? - wykrzyknęłam. - Ale na co komu diamenty w Ameryce? Myślałam, że tam są tylko Indianie i buntownicy?

- I na tym zakończmy naszą rozmowę - zaśmiał się Janek. - A teraz marsz to łóżka!

Pomógł mi wstać.

- Dziękuję, Janku - rzekłam cicho.

Musiałam to powiedzieć przed odejściem.

- Za co?

- Za uratowanie mi życia.

Schylił się i pocałował mnie w czubek głowy, jak ojciec albo brat. Ten miły gest sprawił, że nagle poczułam się strasznie osamotniona. Zwykle trzymałam fason, nie myśląc za dużo o tym, czego nie mam, ale tej nocy, ni stąd ni zowąd, boleśnie zabrakło mi rodziny. Przy Janku zaczynałam rozumieć, czego zostałam pozbawiona.

- Zrobiłem najmniej, jak można było zrobić - powiedział Janek. - Szczególnie, że to właśnie diament wepchnął cię w kabałę.

Chciałam mu wytłumaczyć, że się myli, że przyczyną była wzajemna niechęć między mną a Billym, ale on już popychał mnie do drzwi.

- Dość na dzisiaj, Kiciu. Pogadamy rano.

Już miałam zamiar wyjść, gdy zatrzymała mnie nagła myśl.



- Janku, nie mów o tym nikomu, dobrze? - poprosiłam.

Wzruszył ramionami.

- Panu Sheridanowi muszę wspomnieć, ale nikomu innemu, obiecuję. A dlaczego?

- Jak Pedro się dowie, wygada wszystko Sydowi.

- Sydowi?

- No, Rzeźnikowi z Łuczniczej. A jak Syd usłyszy, co Billy mi zrobił, w Covent Garden rozpęta się wojna. Nie chcę, żeby przeze mnie ktoś ucierpiał.

- Rozumiem. - Janek zamilkł na chwilę. - Wiesz co, Kiciu? Jesteś mądrzejsza, niż na to wyglądasz. Dobranoc.

- Dobranoc, Kapitanie.

### SCENA 3 - ZA KULISAMI

- Wszystko w porządku, Kiciu?

Pedro znalazł mnie na widowni, przy wymienianiu świec w jednym z kandelabrow. Długi Tom opuścił kandelabr do mojej wysokości, abym mogła mu asystować w jego stałym obowiązku dbania o rzęsiste oświetlenie sali teatralnej.

- Dlaczego pytasz? - odburknęłam, nie patrząc na niego, tylko zdrapując paznokciem zaschnięty wosk ze szklanych reflektorów.

- Gniewasz się na mnie? Nie ciekawi cię, co się zdarzyło wczoraj w nocy?

Usiadł na ławie i zaczął masować sobie łydki, jak biegacz przed wyścigiem. Za pięć minut miał próbę na scenie.

Wiedziałam już oczywiście, że poprzedniej nocy na Covent Garden nie wydarzyło się nic, ale wolałam ukryć to przed Pedrem. Całkowity brak zainteresowania z mojej strony wyglądałby podejrzanie, więc spytałam grzecznościowo:

- No, co takiego się stało?
- Nic. Syd jest zdania, że Billy stchórzył.
- Ach tak.

Wetknęłam białą świecę na szpikulec w opróżnionym gniazdku.

- Myślałam, że się ucieszysz - rzekł Pedro z wyraźnym rozczarowaniem. - To przecież znaczy, że Billy oddał targowisko w ręce Syda, no nie? Będziesz teraz mogła swobodnie wychodzić. Billy nie ośmieli się ciebie tknąć.

Wystarczyło, że przymknęłam oczy, a znów poczułam na szyi ostrze brzytwy; mogłam też dotknąć wystrzyżonego miejsca na głowie, skąd Billy wyciął mi garść włosów. Optymistyczne słowa Pedra były wyjątkowo nie na miejscu. Zrobiło mi się dziwnie słabo, więc pospiesznie przysiadłam na ławie.

Pedro przestraszył się.

- Kiciu? Co z tobą? Nie wyglądasz za dobrze. - Wreszcie spostrzegł moją obandażowaną rękę. - Co sobie zrobiłaś?

- Nic - odparłam i wzięłam głęboki oddech, postanawiając w duchu, że na pewno nie zemdleję, żeby nie wiem co.

- A twoja ręka?
- To nic, skaleczyłam się.

Pedro spojrział na mnie z powątpiewaniem, ale nie drażył tematu.

- Mam wiadomość, która poprawi ci humor. Panicz Franciszek i panienska Elżbieta przychodzą dzisiaj na próbę.

Uniosłam pytająco brwi.

- Przebrani za kogo?
- Za siebie samych, oczywiście. Nabrali apetytu na teatr, więc pan Sheridan zaprosił ich tu wraz z gronem przyjaciół. Zaraz powinni się zjawić.

Rozejrzałam się pospiesznie, sprawdzając, czy Janek nie kręci się gdzieś na widoku - należało go ostrzec. Powinien skryć się przed taką inwazją, bo ktoś mógłby go rozpoznać.

- No jak, Kiciu? - nalegał Pedro. - Nie ucieszyłaś się, ani trochę?

- Przepraszam, Pedro - rzekłam, odwracając się do niego. - Jasne, że się cieszę.

Patrząc w jego szczere ciemne oczy, trudno było uwierzyć, że to jest chłopiec, który mnie oszukał. Naprawdę wydawał się zatroskany. Może próba kradzieży

diamentu należała już do zamkniętej przeszłości i pora zacząć znajomość na nowo?

- To dobrze, bo obiecałem Frankowi, że właśnie ty ich oprowadzisz po teatrze.

- Pedro!

Zerwał się na nogi i uraczył mnie promiennym uśmiechem.

- No przecież ja nie mogę, prawda? Muszę być na scenie.

Wyprężył się i pomknął jak gazela, przeskakując przez barierkę do dołka dla orkiestry, a stamtąd na proscenium.

Cały Pedro! Ledwo znów zaczynałam go lubić, zafundował mi następną niespodziankę: zabawianie jego gości. Gdyby nie to, że poczułam sympatię do panicza Franciszka, nie uszłoby mu to na sucho.

Janka zastałam za kulisami: wraz z panem Bishopem przeglądał tekst dzisiejszej sztuki. Zza pleców kierownika sceny zaczęłam dawać Jankowi znaki, chcąc przyciągnąć jego uwagę. Sprawa była pilna: goście mogli nadejść lada moment. Po dłuższej chwili Janek dostrzegł wreszcie moje rozpaczliwe wysiłki.

- Przepraszam pana kierownika - rzekł natychmiast. - Czy moglibyśmy dokończyć to później?

Pan Bishop był wyraźnie urażony. Miał chyba swój zły dzień, jednak nawet on nie umiał się oprzeć grzecznemu, a zarazem władcemu sposobowi bycia Janka.

- Skoro panu pilno - burknął zrzędliwie. Wcisnął głęboko w kieszeń swój egzemplarz sztuki, wymięty i z oślimi uszami. - Sprawdzę, jak idą prace nad laboratorium czarnoksięznika. Mamy tam problem z ukrytym schowkiem - ciągle się otwiera.

Oddalił się, szurając nogami i już z daleka krzycząc do stolarza, żeby się pospieszył. Wyglądało na to, że całą złość wyładowuje właśnie na Bogu ducha winnym stolarzu.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego, Kiciu - mruknął Janek, prowadząc mnie do pokoju suflera. - Muszę uważać z Bishopem. Zdaje się, że coś podejrzewa.

Nie zwlekając, powiadomiłam go o rychłej wizycie młodych dam i kawalerów. Janek przechadzał się w tę i z powrotem przed kominkiem, co chwila mimowolnie przeczesując palcami włosy.

- Jak myślisz, kto przyjdzie? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Kilka osób poznałam u nich na podwieczorku. Oprócz panicza Franciszka i panienci Elżbiety była tam niejaka panna Jane, kawaler imieniem Charlie, no i dzieci Marchmonta.

- Jaśnie wielmożny Charles Hengrave, to chyba on - domyślił się Janek. - Żadnej Jane nie znam: to pewnie jakaś uboga krewna ze wsi. Za to Marchmontów znam aż za dobrze: cała rodzina to straszni nudziarze, tylko ojciec ma jeszcze jakieś znośne poglądy polityczne, chociaż jako człowiek jest odpychający.

Zdumiała mnie tak szczegółowa znajomość kręgu towarzyskiego panicza Franciszka.

- Młody Marchmont wcale nie jest podobny do ojca - powiedziałam, na co Janek zrobił zdziwioną minę. - To znaczy jest tak samo nieznośny jak ojciec, ale ma całkiem inne poglądy polityczne. Panicz Franciszek mówi, że on popiera pana Pitta i jest zaciętym wrogiem reformatorów. Bardzo mu się nie podobało moje opowiadanie; orzekł, że to rewolucyjne brednie, niestosowne dla delikatnych uszu jego siostr - tylko dlatego, że temat był, w jego mniemaniu, „niski”.

- Hmm... - mruknął Janek, zwieszając smętnie głowę i bawiąc się stojącym na kominku kałamarzem. - Za kulisami Drury Lane nie jest jednak tak bezpiecznie, jak myślałem: za dużo tu publiczności. Szkoda. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz zobaczyć panienkę Elżbietę. - Odwrócił się do mnie. - Nadal jest taka ładna?

- A skąd ty znasz panienkę Elżbietę? - spytałam za-intrygowana.

- Bywało się tu i ówdzie - odrzekł nonszalancko Janek, zdmuchując kurz z mosiężnego lichtarza.

- Nie mówisz mi wszystkiego, prawda?

Zaczęło rodzić się we mnie podejrzenie, że mój przyjaciel nie jest tym, na kogo wygląda.

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się Janek z figlarnym błyskiem w oku. - Ale dzięki za ostrzeżenie, przychodząc tutaj, dopóki nie dostanę sygnału, że droga wolna. Powiesz mi, kiedy będę mógł wyjść, dobrze?

Kiwnęłam głową.

- Jasne. A ona - dodałam znacząco, zanim zamknęłam za sobą drzwi - jest wciąż naprawdę bardzo ładna.



Gości spotkałam przy głównym wejściu. Przybyli dwoma powozami i konno. Na przedzie jechał panicz Franciszek z przyjacielem, jaśnie wielmożnym Charlesem Hengrave'em: obaj dosiadali wspaniałych wierzchowców, a towarzyszył im lokaj.

- O, jest! - wykrzyknął na mój widok panicz Franciszek. Zeskoczył z konia, wbiegł na schody i energicznie potrząsnął moją ręką. - Żałuj, żeś jej nie widział w akcji, Charlie! Powaliła łobuza plackiem i ocaliła mi skórę. Fantastycznie się spisała jako chłopak!

Spiekłam raka, gdy Charlie z uśmiechem złożył przede mną głęboki ukłon. Wieść o naszej przygodzie zatonęła, jak widać, szerokie kręgi.

- Mam nadzieję, panno Królewska, że spiszecie dla nas swoje przygody - rzekł dwornie Charlie. - Chciałbym je poznać, kiedy wyjdą spod pani pióra.

Panicz Franciszek pacnął się dłonią w czoło.

- To mi przypomniało! - wykrzyknął. - Ojciec jest pod wrażeniem pani rękopisu. Kazał powiedzieć, że wesprze finansowo druk całości, gdy już będzie gotowa.

- W takim razie czas chwycić za pióro! - odezwał się Pedro, który wymknął się z próby, aby powitać przyjaciela.

Pośród jedwabnych kamizelek i aksamitnych surdu-tów młodych arystokratów jego marynarski kostium - granatowa bluza i białe spodnie - wyglądały całkiem nie na miejscu. Pedro miał tańczyć i grać na klawirze w muzycznym interludium wieczornego spektaklu.

Panienska Elżbieta nadeszła, trzymając pod rękę młodego Marchmonta. Po jej żalostnej minie widać było, że robi, co może, aby wprawić młodzieńca w dobry humor. Lecz próżne były jej wysiłki: Marchmont przybył z zamiarem okazania pogardy wszystkim i wszystkiemu. Skrzywił nos, patrząc na tandetne złozenia sali teatralnej. Teatr Drury Lane pilnie wymagał remontu i nie wyglądał najlepiej w dziennym świetle.

- Biedna Lizi - mruknął panicz Franciszek do Charlesa Hengravea. - Przez wzgląd na ojca stara się być miła dla Marcypana, jakby nie rozumiała jeszcze, że dla niego nie ma ratunku.

- Marcypana? - szepnęłam.

- Marcypan. Marcypan Marchmont. To przez te włosy - wyjaśnił mi cicho panicz Franciszek.

Wciąż nie rozumiałam.

- Wiesz chyba, jak wygląda marcepan, ta jasnożółta masa na ciastkach?

Może on to jadał ciastka, ale ja takie słodyczne znałam tylko z za szyby wystawy cukierni.

- Tak, oczywiście - potwierdziłam, udając wielką znawczynię sztuki cukierniczej.

Panicz Franciszek nie dał się oszukać.

- Przepraszam. Głupio się odezwałem. Obiecuję, że gdy następnym razem przyjdzie pani do nas na podwieczorek, panno Królewska, podane zostaną na stół wszystkie marcepany świata. Nasz francuski kucharz to mistrz.

Nagle dobiegł nas głos Marchmonta i panicz Franciszek się skrzywił.

- Nie umywa się do teatru Covent Garden - perorował głośno Marchmont. - Mój ojciec ma tam prywatną lożę.

Niech lepiej spuści z tonu - pomyślałam - bo ktoś z obsługi może go zrzucić ze schodów za takie gadanie.

- Zgodzi się pan jednak, panie Marchmont, że nie zewnętrzna pozłota jest ważna, ale zawartość. Żaden teatr nie ma lepszych aktorów, że wymienię tylko pana Kembble'a, panią Siddons i panią Jordan - rzekła panienka Elżbieta, zbliżając się do nas.

Podziękowałam jej w duchu za te słowa.

Marchmont fuknął, ale nic nie powiedział.

Pedro skłonił się damom. Ja dygnęłam.

- Właśnie mówiłem panie Królewskiej, jak papa podziwia jej rękopis - odezwał się głośno panicz Franciszek.

Pamiętał widocznie krytykę Marchmonta i teraz z wyraźną przyjemnością przeciwstawił jej pochwałę księcia.

Marchmont uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

- Twój ojciec ma szczególny gust, Franciszku. Zgodzę się, że ona pisze nieźle jak na osobę swego stanu, ale co do treści... - Zawiesił na moment ton pełen dezaprobaty. - Za to co do rysunków, zastanawiałem się potem nad nimi i uznałem, że są wielce intrygujące. To nie było pani dzieło, prawda, panno Królewska? Styl nader charakterystyczny. Niemal przysięgłbym, że wyglądały... znajomo.

Przygwoździł mnie spojrzeniem, a jego uśmiech był fałszywy niczym sceniczny wąsik. Czyżby odgadł za dużo?

Niestety Pedro zupełnie nie był świadom delikatności tematu.

- Nie, to nie ona rysowała - powiedział. - To Janek Smith, nasz sufler. Kicia przedstawi go państwu, jeśli mają państwo takie życzenie. Rysuje strasznie złośliwe podobizny, bardzo śmieszne.

Nie po raz pierwszy miałam ochotę kopnąć Pedra za nadgorliwość i popisywanie się przed naszymi potencjalnymi mecenasami. Janek z pewnością nie życzyłby sobie, żeby Pedro szukał mu możliwego patrona.

- Złośliwe podobizny? - powtórzył lodowatym tonem Marchmont. - W to nie wątpię.

- On jednak bardzo rzadko rysuje - wtrąciłam szybko, próbując jednocześnie ostrzec Pedra spojrzeniem. - Zanim zilustrował mój tekst, nie rysował właściwie nic. - Pedro zrobił zdziwioną minę i już chciał zaoponować, ale nie dopuściłam go do głosu. - A teraz tak się niefortunnie składa, że musiał nagle wyjechać, wezwano go do... do chorego wuja. Nie ma go w teatrze.

Marchmont patrzył na mnie badawczo spod ciężkich powiek i uśmiechał się ironicznie, wywijając górną wargę.

Oprowadzanie arystokratycznej młodzieży po Drury Lane okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Gdy wyciągałam z kosza balonu Charlesa Hengrave'a i panicza Franciszka, przypomniało mi się ulubione powiedzonko pani Reid: całkiem jakby pasać koty. Ledwo udało mi się odwieść jedną grupkę od niepożądanych działań w jednym miejscu, już gdzie indziej czyhał nowy kłopot. Najbardziej niesforny był Marchmont. Uparł się otwierać wszystkie drzwi, nawet od szafek. Przysięgłabym, że czegoś szuka, i nawet domyślałam się czego.

Przed nami był rejon najbardziej zagrożony: korytarz, przy którym mieścił się pokój suflera. Musiałam wymyślić coś naprędce, żeby Marchmont nie stanął oko w oko z Jankiem.

- Wielmożny panie! - krzyknęłam, gdy zbliżał się do drzwi. - Tam nie wolno wchodzić!

Marchmont obejrzał się na mnie z pogardliwym uśmieszkiem, czując zdobycz w zasięgu ręki.

- A czemuż to nie, panno Królewska? Pan Sheridan dał nam pełną swobodę zwiedzania. Pozwolił wchodzić wszędzie, gdzie nam się spodoba.

- Czyżby? - odezwała się, przeklinając w duchu niefrasobliwego dyrektora. - Jednak z pewnością nie dał pozwolenia na wizytę w damskiej toalecie.

Marchmont spłoszył i cofnął rękę od klamki jak oparzony.

- Tu nie ma żadnej tabliczki - burknął gniewnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Naturalnie, że nie. Osoby zainteresowane wiedzą, co się tam mieści. Jeżeli jaśnie pan czuje potrzebę, poproszę kogoś z obsługi, żeby zaprowadził jaśnie pana we właściwe miejsce.

Z satysfakcją obserwowałam, jak Marchmont purpurowieje jeszcze bardziej.

- Dziękuję, nie trzeba - bąknął, oddalając się krokiem ważniaka.

Już gratulowałam sobie w duchu chytrzego wybiegu, kiedy stało się nieszczęście. Panienska Elżbieta, odczekawszy, aż wszyscy paniczki ruszą przodem, szepnęła do mnie na boku:

- Ja wstąpię tu na chwilę i zaraz was dogonię.

- Nie! - zaprotestowałam, gwałtownie próbując ją powstrzymać.

Było już jednak za późno. Nacisnęła klamkę, weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą.

- Panno Królewska! - zawołał panicz Franciszek spomiędzy stłoczonych za kulisami fragmentów scenografii. - Panno Królewska, proszę nam objaśnić zasadę działania balonu!

Półżywa ze strachu wpatrywałam się w drzwi pokoju suflera, czekając, kiedy panienska Elżbieta wybiegnie stamtąd z dzikim piskiem.

Dłużej jednak nie dało się zwlekać. Nie mając nawet odwagi wyobrazić sobie, co się dzieje w pokoju suflera, pobiegłam do panicza Franciszka, panny Jane i panicza Charlesa, którzy zatrzymali się przy sflaczałym balonie. Nie wiem, ile zrozumieli z moich technicznych objaśnień: byłam tak zdenerwowana, że z pewnością wygadywałam brednie.

- Mam myśl, Charlie - zwrócił się panicz Franciszek do Charlesa Hengrave'a. - Wypróbujmy urządzenie na Marcypanie i zostawmy go w powietrzu, co ty na to? Oddamy światu nie lada przysługę.

Charles Hengrave roześmiał się.



- Pyszny pomysł. Nie odwdzieczyłeś mi się jeszcze za to, że doniósł twemu ojcu o twojej samowolnej eskapadzie powozem po placu.

- Racja! Jak mogłem zapomnieć?

- Kłopot z tobą, Franku, polega na tym, że masz za dobre serce, żeby chować urazę - powiedział do niego przyjaciel tonem pochwały.

- Lub też może zanadto jesteś roztargniony, żeby o czymkolwiek dłużej pamiętać - dodała panienka Jane z wyrozumiałym uśmiechem.

Za moimi plecami rozległy się lekkie kroki i po chwili tuż przy mnie stanęła panienka Elżbieta. Minę miała lekko oszołomioną, ale zdobyła się na dyskretny uśmiech.

- To bardzo niezwykła toaleta, panno Królewska - szepnęła. - Ponieważ nie udało mi się z niej skorzystać, czy zechciałaby mnie pani teraz zaprowadzić do właściwego pomieszczenia?

- Oczywiście, panienko Elżbieto - odrzekłam z wielką wdzięcznością.

Pozostawiając resztę towarzystwa w Jaskółczym Gnieździe, pod czujnym okiem Sary Bowers, zaprowadziłam panienkę Elżbietę do ubikacji.

Gdy stamtąd wyszła, wzięła mnie na stronę.

- Czy pani wie, kto to jest, panno Królewska?

Przypuszczam, że tak, skoro usiłowała pani zapobiec naszemu spotkaniu.

Kiwnęłam głową.

- Ale w jaki sposób lord Jonatan Fitzroy znalazł się tutaj? - szepnęła.

- A więc on jest lordem - rzekłam na wpół do siebie, gdyż jej pytanie potwierdziło mój domysł.

To, że Janek znał Avonów i ich przyjaciół, nasunęło mi podejrzenie, że obracał się zazwyczaj w wyższych kręgach niż te, w których przebywał obecnie. Aż dziwne, że nie skojarzyłam oczywistych faktów, gdy pani Reid opowiadała mi o hrabim Ranworthie i jego kłopotliwym synu. Rozdźwięk między ojcem a synem dawał się wyjaśnić upodobaniem tego ostatniego do rysowania wywrotowych karykatur. Bo po cóż by pan Sheridan wysyłał pana Saltera na drugi koniec kraju? Mój opiekun świetnie wiedział, co robi, delegując na przespługi takiego głupka jak Salter: w gruncie rzeczy chciał zyskać pewność, że nie natknie się on w teatrze na swojego kuzyna. Tak czy owak to, że Janek jest Kapitanem Iskrą,

należało utrzymać w sekrecie, nawet przed Avonami.

- Wydaje mi się, że pan Sheridan udzielił mu schronienia, dopóki nie pogodzi się z ojcem - odezwałam się. - Panienska nikomu tego nie zdradzi, prawda?

Pokręciła głową, a jej nienaganne loki otarły się o szyję jak jedwab.

- Nie, dałam mu słowo. Pozwolił, żebym, jeśli chcę, powiedziała bratu, ale nikomu innemu. Upewnił mnie też, że pani mogę ufać. - Zarumieniła się nagle. - Mówił, że pani przekaże mu list ode mnie, gdybym kiedyś chciała napisać, i dostarczy mi wiadomość od niego.

Jasne było, że historia lorda Jonatana i panienski Elżbiety jest bogatsza, niż mogłam sądzić. Jako przyjaciółka Janka czułam się zobowiązana do roli posłańca.

- Z miłą chęcią przysłużę się państwu, jak tylko potrafię, szczególnie że Janek wczoraj w nocy uratował mi życie.

- Naprawdę? - Jej oczy błysnęły dumą na wieść o bohaterstwie ukochanego.

- Tak, uchronił mnie od pewnej śmierci, uzbrojony tylko w dwa nienabite pistolety. Miałam, dosłownie, nóż na gardle.

Panienka Elżbieta zmarszczyła czoło i dłońmi w rękawiczkach ujęła mnie za skaleczoną rękę.

- Naprawdę? Mówi pani poważnie? Ktoś zrobił pani krzywdę?

Nie chciałam jej wprowadzać w szczegóły niemiłej sprawy. Wzruszyłam ramionami, lecz przerażenie, jakie dostrzegłam w oczach tej dziewczyny, nawykłej do bezpiecznego życia bogaczy, uświadomiło mi, o ile niżej od niej stoję. Moje życie było pasmem kuksańców i ciosów, jej życie - ciągiem proszonych herbatek i pięknych sukien. Zawstydziałam się. Jednak ku mojemu zdziwieniu panienka Elżbieta powiedziała:

- Jest pani najdzielniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałam, panno Królewska. Podziwiam pani odwagę.

Spojrzałam jej w oczy i przekonałam się, że nie patrzy na mnie jak na ubogą prostytutkę, lecz jak na bohaterkę mojej własnej opowieści. Jak na równą sobie.

- Proszę mi mówić po imieniu: Kiciu - powiedziałam. - Tak jak wszyscy moi przyjaciele.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo chętnie. A ty mów do mnie Lizi - tak papa i Franek nazywają mnie w domu.

Przypieczętowawszy w ten sposób naszą przyjaźń, powróciliśmy do Jaskólczego Gniazda, gdzie czekał nas widok wielmożnych gości poprzebieranych w najfantastyczniejsze szaty i korony.

Panicz Franciszek włożył na bakier turban Pedra i doprowadził Sarę Bowers do spazmów śmiechu, naśladując karkołomny taniec naszego genialnego skrzypka.

- O mój Boże - zaśmiewała się Sara. - Zrobiłby panicz furorę na scenie, jak słowo daję!

Panicz Franciszek przestał wirować i złożył przed nią chwiejny ukłon.

- Stokrotne dzięki szanownej pani za miłe słowa. Czuję, że życie aktora to coś dla mnie!

- Ilu znasz książąt, którzy łączą dworskie obowiązki z błaznowaniem przed pospólstwem? - spytał kąśliwie Marchmont, od niechcenia targając połataną opończę - kostium żebraka.

- Stanowczo za mało! - wykrzyknął panicz Franciszek, rozśmieszając tym Jane i Sarę.

- Chyba lepiej będzie, Kiciu, jeśli zabiorę stąd brata, zanim zrobi sobie jakąś krzywdę - rzekła panienska Elżbieta. - Serdecznie dziękujemy za poświęcony nam czas.

Reszta towarzystwa - wyłączając rzecz jasna Marchmonta - też pożegnała się z nami wylewnie. Niestety, zmuszona byłam zabrać strusie pióro, które młodsza panna Marchmont wsunęła ukradkiem do ażurowej torebki. Jej brat miał minę mocno zawiedzioną - ciekawe, czy sam go tam przypadkiem nie schował.

- Tak... - powiedziała Sara znad stosu rzeczy do cerowania, bujając się w fotelu. - Gdyby wszyscy lordowie byli tacy jak panicz Franciszek, Anglia stałaby się wspaniałym krajem.

Entuzjastycznie przyznałam jej rację. Lecz niestety, zbyt wielu było Marcypanów Marchmontów, aby ta piękna wizja miała się ziścić.

## SCENA 4 - ŚNIEŻKI

- A więc opowiesz mi o sobie i panience Elżbiecie? - zagadnęłam Janka, ślęcząc nad tabliczką z rachunkami, które mi zadał.

Było wczesne popołudnie i słońce wpadało ukośnie przez niedomyte okna pokoju, kładąc się na obliczu Janka jasnożółtą poświatą. Jaką piękną parę stanowiliby z panienką Elżbietą, gdyby los się do nich uśmiechnął! Janek, ponieważ już nie musiał kryć się przede mną ze swoją działalnością, wykańczał tuszem karykaturę dotyczącą zawiłych perypetii miłosnych jednego z książąt. Podniósł na mnie oczy i odgarnął z policzka ciemny kosmyk.

- To krótka historia, Kiciu. Nie zaspokoi twojego wielkiego apetytu na informacje. Poznaliśmy się jesienią na jej balu debiutanckim.

- Jej czym?

- Balu, na którym młoda panna zostaje wprowadzona w towarzystwo. Taki bal nazywają właśnie debiutanckim. Gdy poznasz nową pannę, musisz zadać sobie

pytanie: czy ona już weszła w świat, czy jeszcze nie?

- To brzmi jak jakaś gra - zauważyłam i mina mi zrzędała, bo przypomniałam sobie nudne popołudnie spędzone na meczu krykieta, kiedy to gang Syda grał przeciwko drużynie ze Smithfield.

Janek parsknął śmiechem.

- Niezupełnie. To raczej coś jak szyfr oznaczający: czy panna jest na wydaniu, czy nie?

- A ty stajesz w konkury? - spytałam zaczepnie.

- Mógłbym, gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. Bal odbył się, jeszcze zanim poróżniłem się z ojcem. Ojciec odkrył to. - Janek wskazał leżącą przed nim na stole karykaturę. - Nie spodobało mu się, bo jest zagorzałym rojalistą. Nie mieści mu się w głowie, że jego rodzony syn może mieć duszę republikanina.

Nietrudno zrozumieć hrabiego. Jak to bowiem możliwe - spytałam sama siebie - że hrabiowski syn odrzuca ustrój, który tak bardzo sprzyja jemu i innym z jego sfery, opowiadając się za nowinkami politycznymi z Francji czy Ameryki? Najprościej było spytać o to Janka.

- Dlaczego nim jesteś?



- Kim?
- Republikaninem.
- Cóż... - Janek odłożył piórko i wytarł szmatką poplamione tuszem palce. - To wszystko zasługa mojego starego nauczyciela, pana Shore'a. On mnie nauczył, że wszyscy ludzie są równi. Tytuły nic nie znaczą, gdy postawimy człowieka obok człowieka w pustym polu. Wówczas liczy się tylko charakter i inteligencja. Mój nauczyciel opowiedział mi też o wielu żyjących na świecie rasach zwanych dzikimi, które wiodą szlachetne życie, wolne od korupcji, chciwości i zawiści. Nie trzeba się oglądać na szlachecki tytuł, tylko na cechy męczyzny.
- Albo kobiety.
- Święta racja - potwierdził moje uzupełnienie z lekkim ukłonem. - Dlatego gardzę w równym stopniu Billy Shepherdem co premierem. Moja pogarda nie ma nic wspólnego z niskim pochodzeniem Shepherd'a - dotyczy tylko jego okrucieństwa i chciwości. Z podobnych pobudek podziwiam panienkę Elżbietę: jej ranga społeczna jest dla mnie niczym, za to jej umysł i serce - wszystkim. Ona jest całkowicie różna od wszystkich innych znanych

mi młodych dam. Kiedy się z nią rozmawia, ma się poczucie, że rozumie człowieka i nadaża za każdą jego myślą, za każdą fantazją.

Uśmiechnęłam się, bo pomyślałam, że panienska Elżbieta zapewne słuchała cierpliwie rewolucyjnych dywagacji Janka - wyobraziłam sobie, jak siedzą gdzieś w kąciuku podczas jej balu debiutanckiego, a Janek wygłasza swoje buntownicze poglądy. Miał jednak rację: panienska Elżbieta odznaczała się inteligencją i taktem. Nie wspominając o urodzie. Dlatego wcale mnie nie dziwiło, że Janek zakochał się w niej po uszy.

Zwinął teraz dokończoną karykaturę i przyjrzał mi się z namysłem, pukając końcem rulonu w podbródek.

- Kiciu, nie miałabyś ochoty wyskoczyć do miasta? Nie obawiasz się, że coś ci grozi?

- Teraz, skoro już jestem przygotowana, na pewno nie. Przynajmniej nie za dnia.

Nie mogłam przecież pozwolić na to, żeby taki gnojek jak Billy Pyszcz powstrzymał mnie przed zaczerpnięciem świeżego powietrza. Nie zrobi ze mnie więźnia w moim własnym domu.

- Może więc pobiegłabyś z tym do drukarni pana Humphreya przy ulicy Gerrarda?

- Jasne.

Zerwałam się ochoczo na nogi, tym chętniej, że Janek najwyraźniej zapomniał o nagryzmołonych na tabliczce słupkach, które miałam dodawać.

- Zuch dziewczyna. Za często już korzystałem z usług Caleba. Potrzebny mi zaufany posłaniec. - Wcisnął mi w dłoń sześciopensówkę. - Tylko bądź ostrożna, Kiciu. Trzymaj się głównych ulic.

- Tak jest, proszpana - uśmiechnęłam się do niego szeroko.

Sama wiedziałam, że mam uważać, ale miło było usłyszeć, że ktoś się o mnie troszczy.

- Aha! - dodał Janek, jakby nagle mu się coś przypomniało, chociaż poznałam, że od początku planował to powiedzieć. - Gdybyś wpadła na pana Sheridana, udawaj, że nic o tym nie wiesz.

Rozwinęłam rulon i przyjrzałam się rysunkowi.

- Chyba nie byłby zachwycony, że odmalowałeś jego najlepszego przyjaciela w samej bieliźnie.

- I ja tak sędzę - uśmiechnął się krzywo Janek. - Ale chociaż Sheridan jest moim przyjacielem i pomógł mi w

potrzebie, nie kupił przecież mojego sumienia. Nie służę nikomu, tylko prawdzie.

- A poza tym to dobry sposób na zmylenie tropów - zauważyłam. - Kto po wydrukowaniu czegoś takiego będzie szukał Kapitana Iskry pod opiekuńczymi skrzydłami pana Sheridana?

- Bystra z ciebie istotka, Kiciu. Na kogo ty wyrośniesz?

- Ale czy pan Sheridan nie wyrzuci cię z teatru za obrażanie jego przyjaciela? - zatroskałam się.

- Kto wie.- Janek wzruszył ramionami, eskortując mnie do drzwi. - To jest ryzyko, które świadomie podejmuję. A teraz pospiesz się. Termin już minął. Pan Humphrey trzyma rytowników w pogotowiu.

Tym razem opatulłam się ciepło. Kiedy wyszłam na ulicę Russella, zobaczyłam świat odmieniony. Padający nieprzerwanie śnieg okrył ulicę oczyszczającym całunem, skrywając błoto i brudy pod spodem. Londyn był wyciszony: zło i agresja przycichły na kilka krótkich godzin - zapanował podniosły nastrój oczekiwania na święto niewinności i piękna. Ale wiedziałam, że to przeobrażenie potrwa niedługo. Biały kobierzec zbrukają niebawem ślady ciężkich buciorów, końskich kopyt i kół.

Gdy zapadnie noc, dobrotliwie wyglądający śnieg stanie się zagrożeniem dla ludzi bez dachu nad głową i niejeden włóczęga szukający schronienia w bramie zamarznie na śmierć. Tymczasem jednak chciałam cieszyć się tym widokiem.

Przemknęłam chyłkiem na rynek i zastałam tam chłopców Syda toczących zaciekły bój na śnieżki. Był wśród nich Pedro. Ośnieżone domy przypominały lukrowane torty na wystawie cukierni - aż miało się ochotę skosztować gęsto pobielonych okapów i parapetów.

- Uwaga: łap! - krzyknął Nick, posyłając ku mnie wielką śnieżną kulę.

Machinalnie odbiłam ją trzymanym w ręku rulonem, ale zaraz zaklęłam pod nosem, przypomniawszy sobie, jaką wagę ma to, co rulon skrywa.

- To nie fair! - odkrzyknęłam. - Biegnę coś załatwić! Oddam ci, jak będę wracać!

Nick roześmiał się, a Pedro cisnął we mnie kolejną śnieżką. Tym razem nie uchyliłam się na czas i kula trafiła mnie w policzek, a za kołnierz spłynęła lodowata strużka.

- Poczekaj tylko! - wrzasnęłam, ale Pedro i Nick już umknęli w pogoni za nowymi ofiarami.

Poza rejonem Covent Garden mój odświętny nastrój przygasł. Dopadło mnie niemiłe uczucie: miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Mógł to być tylko cień wspomnienia tego, co wydarzyło się ubiegłej nocy, ale na wszelki wypadek kilka razy obejrzałam się za siebie. Wszyscy szli szczelnie okutani. Trudno byłoby wśród tych postaci rozpoznać tropiciela. Zdawało mi się co prawda, że pewien szary szalik widziałam dwa razy, ale kiedy odwróciłam się po raz trzeci, już go nie było. Afisze z obwieszczeniem o nagrodzie za informacje pomocne w ujęciu Kapitana Iskry powiewały na ceglanych narożnikach wielu ulic, jak gdyby specjalnie dla przyciągnięcia mojej uwagi. Jeden zauważyłam w rynsztoku, rozdarty na pół. Ktoś nagryzmolił na nim: „Precz z królami!” - widocznie rzucił go tam jakiś rozsierzdzony rojalista.

Czy Jankowi faktycznie groził stryczek i poćwiartowanie? Była to barbarzyńska kara, niestosowana już w naszych oświeconych czasach, a polegająca na tym, że

skazańca odcinano od stryczka, nim skonał, i na żywca wypruwano mu wnętrzności. Chyba teraz już czegoś takiego nie zrobią? Nie Jankowi! A jednak - przypomniałam sobie - wciąż jeszcze można oglądać głowy buntowników z tysiąc siedemset czterdziestego piątego roku, nadziane na pale przy wjeździe na most Londyński: sterczą tam, spuchnięte i poczerńiałe, jak żer dla kruków. Wkroczyliśmy w nową, przerażającą epokę: rewolucja we Francji napędziła bogaczom strachu o własną skórę. Wśród biedoty byli tacy, którzy domagali się praw przyznanych naszym francuskim kuzynom, ale byli i tacy, którzy nie życzyli sobie, żeby Żabojady dyktowały nam, jak żyć. Która racja zwycięży? Prawa człowieka czy brytyjska duma? Znajomość z Jankiem otworzyła mi oczy na to, że odpowiedź na to pytanie przesądzi i o mojej przyszłości.

Gnana ponurym wyobrażeniem Janka przemierzającego te same ulice w drodze na szafot, z ulgą wyszłam wreszcie na ulicę Gerrarda. Była to już zamożniejsza dzielnica, z dostatnimi kamienicami i sklepami, toteż szybko wyzbyłam się mrocznych fantazji. W takim właśnie otoczeniu chciałabym kiedyś mieszkać, gdybym

miała dość pieniędzy: tu nie musiałabym się obawiać ciemnych zaułków i łobuzów pokroju Billy'ego Shepherd, bo wszędzie wokół miałabym życzliwych sąsiadów i przyjaciół. Bez trudu znalazłam sklepik pana Humphreya: jego witrynę oblegała ciżba gapiów, ciekawych nowości świeżo zdjętych z prasy drukarskiej. Długonose damy przepychały się z pyzatymi jegomościami i każdy wyciągał szyję, chcąc być na bieżąco z najświeższymi politycznymi ploteczkami bez konieczności wydawania na ten cel pieniędzy. Między nogami zgromadzonych uwijał się mały obdartus: na pewno podbierał im z kieszeni monety, których pożalowali drukarzowi.

Kiedy otworzyłam drzwi, zadryndał nad nimi dzwonek.

- Czy jest pan Humphrey? - spytałam ładną rumianą kobietę za kontuarem.

- Brat niestety wyszedł, panienko. Czym mogę służyć?

Zawahałam się. Janek kazał mi przekazać rulon do rąk własnych panu Williamowi Humphreyowi.

- Długo go nie będzie?



Kobieta pokręciła głową i wskazała mi wysoki taboret przy końcu kontuaru.

- Nie. Jeśli chce panienka poczekać, to proszę usiąść.

Usiadłam więc w kąciку i przyglądałam się, jak panna Humphrey obsługuje stale napływających klientów. Okazało się, że nie jest zwykłą sprzedawczynią: doskonale znała tajniki fachu drukarskiego i wiedziała, co komu doradzić.

- Nie, te obrazki się panu nie spodobają - zwróciła się dyskretnie do starszego pana w kapeluszu pastora. - W każdym razie na pewno nie spodobają się pani Buchet. Może wzięłyby pan nowe ryciny pana Gillraya?

- Ach, panno Humphrey, mam czasem wrażenie, że czyta pani w moich myślach - odrzekł wdzięczny klient, wręczając jej należność w postaci kilku monet. - Powiem żonie, że kupiłem je z pani polecenia.

Dzwonek przy drzwiach zabrzączał, gdy starszy pan wychodził, wpuszczając jednocześnie nowego klienta.

- Czy mogę panu służyć? - spytała uprzejmie panna Humphrey.

- Zobaczymy, zobaczymy. Szukam najnowszej karykatury autorstwa Kapitana Iskry, tej z nocnikiem.

Co za pech! Był to Marcypan Marchmont we własnej osobie. Ten sam, który tak chętnie wściubiał nos w sprawę Janka. Ukryłam rulon w fałdach spódnicy i spuściłam głowę.

- Wiem, o co panu chodzi. Niestety, sprzedaliśmy już wszystkie egzemplarze i właśnie czekamy na dodruk. Brat powinien niebawem wrócić z nową partią. Czy pan szanowny zechce poczekać? Czekają tu już na niego ta młoda dama. Brat z całą pewnością wkrótce się zjawi.

Marchmont spojrział od niechcienia w moją stronę, ale poznawszy mnie, odwrócił się i uśmiechnął z hamowaną satysfakcją.

- Panna Królewska! Cóż za niespodziewana przyjemność! - Skłonił się lekko. - A to ci zbieg okoliczności!

Zsunęłam się z taboretu, aby dygnąć, i wtedy rulon spadł na podłogę. Schyliłam się po niego, ale Marchmont był szybszy.

- Pani pozwoli - rzekł z szyderczą galanterią, podnosząc karton. Wyciągnął go w moją stronę. - Ciekawe, czy

to pani własne dziełko, czy może przyjaciela?

Chwyciłam rulon i schowałam za plecami.

- To nic takiego - powiedziałam prędko.

- Trudno mi w to uwierzyć - odparł Marchmont, patrząc mi badawczo w oczy.

Poczułam się nieswojo: miałam wrażenie, że widzi mnie na wskroś i próbuje wyłuskać ze mnie prawdę, niczym chirurg wycinający migdałki. Zadrzałam.

- A cóż pana tutaj sprowadza? - spytałam, aby zmienić temat.

- Mieszkam nieopodal, parę domów stąd. - Natychmiast wyrzekłam się marzenia o zamieszkaniu na ulicy Gerrarda. - A panią co sprowadza?

Psiakość! Znów odwrócił kota ogonem.

- Przyszłam tu z polecenia pana Kemble'a.

Panna Humphrey przysłuchiwała się niewinnie naszej rozmowie.

- To panienka jest z Drury Lane? Nie sprawiłoby panience wielkiej fetygi dostarczyć tam coś ode mnie? Mam przesyłkę dla teatru.

Sięgnęła pod ladę i wyjęła pakiecik. Nawet do góry nogami przeczytałam, że adresatem jest Wielmożny Pan

Jonatan Smith. Szybko złapałam paczuszkę i schowałam ją w kieszeni fartucha, żeby Marchmont nie zdążył zauważyć nazwiska adresata.

- Ależ oczywiście, z chęcią wezmę - odrzekłam. - Właściwie powinnam już wracać. Czy zechce pani doręczyć to bratu do rąk własnych? - Podałam jej rulon.

Bezpieczniej było czmychnąć przed powrotem pana Humphreya, aby znów jakieś nieostrożne słowo nie padło w obecności Marchmonta.

- Naturalnie - powiedziała panna Humphrey, uśmiechając się do nas obojga. - Niech panienka uważa: robi się ciemno.

Oboje z Marchmontem spojrzeliśmy na ulicę: rzeczywiście zapadał już zmierzch i w niektórych oknach pojawiły się zapalone świece, potęgując wrażenie mroku na dworze.

- Panno Królewska, nie mogę dopuścić, aby szła pani sama o tej porze przez pół Londynu. Pozwoli pani, że ją odprowadzę. Mój lokaj, James, będzie nam towarzyszył. Czeka za drzwiami.

- Jak to ładnie ze strony panicza! - rozczuliła się panna Humphrey.

- Ależ doprawdy, panie Marchmont, nie ma potrzeby... - wyjąkałam.

- Kiedy ja nalegam! - Ujął mnie pod ramię i popchnął ku drzwiom. - Najwyższy czas, abyśmy zamienili parę słów na osobności - dodał ciszej.

James, krzepki lokaj uzbrojony w potężną pałkę, istotnie czekał na swojego pana pod drzwiami.

- Zmiana planu, James - zakomunikował mu Marchmont. - Odprowadzimy tę oto młodą damę do Drury Lane.

- Słucham jaśnie pana - rzekł lokaj, nie okazując zainteresowania ani mną, ani celem wędrówki; widocznie przywykł do kaprysów swojego pana.

- Wróćmy do tematu rysunków, panno Królewska - zaproponował Marchmont, gdy przecinaliśmy St. Martin's Lane. Cały czas mocno trzymał mnie pod rękę. - Pani wie oczywiście, że wyznaczono nagrodę za informacje pomocne w ujęciu Kapitana Iskry?

- Tak? - zdziwiłam się głośno, mając nadzieję, że brzmi to autentycznie.

- Śmiem zauważyć, że w pani sytuacji parę gwinei byłoby nie do pogardzenia.

Nic się na to nie odezwałam. Cóż on mógł wiedzieć o dziewczynach w mojej sytuacji.

- Moim zdaniem, informatora powinna skusić nie tyle nagroda, ile satysfakcja z ujawnienia jednego z najpodszybszych zdrajców, jakich zna historia naszego kraju.

- Pan się jednak do tego nie przyczyni, kupując jego karykatury - odparłam, przeskakując nad stertą końskiego nawozu, której Marchmont, ku mojej ucieście, nie zdołał ominąć.

- Do diaska! - zaklął, gdy było już za późno. - To miał być zakup badawczy. Mam pewną teorię, lecz aby jej dowieść, potrzebuję próbki prac tego człowieka. Inaczej nawet nie tknąłbym tych świństw, proszę mi wierzyć. Chętnie też rzucę jeszcze raz okiem na pani rękopis, jeśli pani tak łaskawa.

Wiedziałam, co podejrzewa, ale zdradził się właśnie, że nie ma dowodu. A ja ani myślałam mu go dostarczyć. Milczałam.

- Pani nie jest głupia, panno Królewska. Wie pani doskonale, dlaczego interesuję się osobami z jej kręgu. Jeśli ktoś z pani znajomych, jakiś domorosły artysta, uparł się obrażać w tak niegodny sposób lepszych od

siebie, to pani obowiązkiem jest ukrócić ten proceder. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Widzi pani, co się dzieje we Francji! - Marchmont, z ogniem w oczach, walnął pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki na podkreślenie wagi swoich słów. - Jeśli tak dalej pójdzie, głowy się potoczą!

- A gdzie prawo obywatela angielskiego do swobody wypowiedzi? - spytałam, coraz bardziej zatrwożona jego wielkopańskim tonem.

Kimże on był, żeby mówić w ten sposób o mnie i moich przyjaciółach? Tak się rozognił, że przerażała mnie jego zaciekłość. Całe szczęście, że obok był James, doskonale na wszystko obojętny.

- Swoboda wypowiedzi? Też coś! Anglik atakujący instytucje, które nam gwarantują nasze swobody, sam pozbawia się ich dobrodziejstwa.

- Pański ojciec jest innego zdania... tak przynajmniej mówi panicz Franciszek - pośpiesznie uzupełniłam swoją pochopną wypowiedź, bo przecież nie powinnam była przyznawać się do znajomości z Marchmontem ojcem.

- Mój ojciec! Gardzę nim! - Spostrzegł zapewne moje oburzenie: nigdy dotąd nie słyszałam, aby syn

wyrażał się w ten sposób o swoim ojcu. - Zapewniam panią, że to uczucie jest wzajemne. Mój ojciec dba tylko o własną karierę polityczną. Uważa, że Kapitan Iskra sprzyja jego celom.

- A pan? Jakie pan ma cele?

Zbliżaliśmy się do rynku, a tu czułam się już bardziej pewna siebie.

- Dziwi mnie, że w ogóle pani o to pyta, panno Królewska! Król i ojczyzna - to chyba oczywiste!

- I ani odrobinę nie chodzi o to, żeby zrobić na złość ojcu?

Nachylił się ku mnie.

- W dniu, w którym ktoś wskaże kryjówkę Kapitana Iskry - syknął - proszę spodziewać się odwiedzin z magistratu. Stamtąd już niedaleko do aresztu na Łuczniczej; dla niektórych jednak ten krótki spacer może okazać się ostatnim. A osoby chroniące przestępcę też poczują na sobie ciężką rękę sprawiedliwości.

Miał rację. Nie pomyślałam wcześniej o karze, jaka w razie złapania Janka grozi tym, którzy orientowali się w jego działalności. To oczywiście niczego nie zmieniło: wiedziałam, komu mam być wierna.



- Na pewno wezmę to pod uwagę - odrzekłam lekkim tonem.

Pac! Z mroku nadleciała śnieżna kula i ugodziła Marchmonta w policzek.

- Ki diabeł! - wrzasnął.

- A kuku, Kiciu! Tu jestem! - zawołał ze śmiechem Pedro.

Śnieżka już szybowiała w moją stronę, ale zrobiłam unik i rozprysnęła się na piersi Jamesa.

- Ty urwipolciu! - zaśmiał się James.

Przystanął i nabrał w garście śniegu, żeby zrewanżować się napastnikowi.

Kolejna kula ugodziła Marchmonta w sam środek twarzy: śnieg oblepił mu nos i wodniste oczka. Przetarł je i spojrzał na mnie wściekły, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

Wzruszyłam ramionami.

- Przyjaciele się bawią, jeśli łaskawy pan wie, co to jest zabawa.

Jednym susem skryłam się za Jamesa, którego dosięgły dwie następne pacyny. James śmiał się do rozpuku i z entuzjazmem odwzajemniał śnieżny atak. Ja wymierzyłam precyzyjnie w Pedra, który na moment wychylił

głowę zza kramu - i wcelowałam w niego za pierwszym razem. Jednocześnie dostrzegłam za plecami Pedra usmoloną sadzą postać, która jakby się uwzięła atakować tylko Marchmonta. Postać tę - czyli panicza Franciszka - dosięgła moja druga kula.

Marchmont tymczasem stał jakby sparaliżowany złością, nie reagując wcale na śnieżny ostrzał.

- James, zrób coś! - warknął wreszcie.

- Słucham jaśnie pana - powiedział posłusznie James, chociaż korzystając z chwili nieuwagi Marchmonta, rzucił jeszcze w Nicka za jego plecami.

Mrugnął do mnie łobuzersko, jednak gdy tylko Marchmont się odwrócił, przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Ja już panią pożegnam, panno Królewska - rzekł kąśliwie Marchmont. - Skoro znalazła się pani wśród przyjaciół, nie czuję się obowiązany dłużej dbać o pani bezpieczeństwo.

- Łaskawy pan jest bardzo uprzejmy - odezwałam się grzecznie, chociaż oboje wiedzieliśmy, że mam na myśli coś wprost przeciwnego.

Marchmont wcale nie był uprzejmy: był nieznośnie wścibski i dążył tylko do uczynienia bliźniemu krzywdy.

Dygnęłam zdawkowo i puściłam się biegiem w stronę bandy Syda, osłaniając się ramionami przed gradem śnieżnych kul, który poleciał na mnie, ledwie wychynęłam zza masywnych pleców Jamesa.

- Starczy! - krzyczałam. - Tak nie wolno!

Dopałam Pedra, zgarnęłam z chusty resztki tej ostatniej kuli, która mnie trafiła, i wcisnęłam mu śnieg za kołnierz. Pedro pisnął przeraźliwie.

- A tak to wolno? - oburzył się.

- Myślisz, że mnie rozpoznał? - spytał mnie panicz Franciszek, patrząc za drobną, sztywną sylwetką Marchmonta oddalającą się w kierunku zachodnim.

- Mowy nie ma! - zapewniłam go. - To były celne rzuty!

Rozpromienił się.

- Należało mu się, możesz mi wierzyć. Ale co ty robiłaś w jego towarzystwie? Nie sądziłem, że jesteście zaprzyjaźnieni?

- Bo nie jesteśmy - odparłam zwięźle.

Nie mogłam zebrać myśli. Zbyt wielu wrogów gromadziło się wokół Janka. Po pierwsze, jego ojciec, który go poszukuje; po drugie, władze tropiące Kapitana Iskry; po trzecie, Marchmont ścigający go z osobistej chęci

zrobienia na złość swemu ojcu. A do tego najnowsza karykatura autorstwa Janka dowodziła, że on sam sobie nie jest sprzymierzeńcem - najwyraźniej palił się do roli męczennika, skoro celowo grał na nosie coraz to nowym osobom, nie wyłączając swego obecnego protektora, tak jakby całkiem już przestało mu zależeć na bezpieczeństwie. Przypominał człowieka podpiłowującego gałąź, na której siedzi. Cóż, skoro Janek przestał dbać o własny los, to ja muszę mu pomóc - tyle że sama nie dam rady. Mogę być w miarę pewna pomocy panicza Franciszka i panienci Elżbiety. Lecz Pedro stanowi problem. Czy można mu zaufać, czy też pokusa nagrody jest dla niego zbyt silna? Najlepiej jednak wyłączyć z tego Pedra.

- Paniczu Franciszku... - odezwałam się.

- Franku. Mów mi Franek, Kiciu.

- Franku, czy ty i twoja siostra zechcielibyście poświęcić mi parę minut? Potrzebuję waszej pomocy w pewnej sprawie.

Panicz Franciszek zrobił zdziwioną minę.

- Mówiłem ci już przecież, że nasz ojciec z chęcią wesprze finansowo twoją twórczość.

- Nie o to chodzi - odparłam, czerwieniąc się na myśl, że posądził mnie o chęć wyłudzenia od niego pieniędzy. - Rzeczą dotyczy przyjaciela twojej siostry. To pilne. Grozi mu niebezpieczeństwo.

Poznałam, że panicz Franciszek zrozumiał. Za to Pedro był, rzecz jasna, zaintrygowany.

- Co się dzieje, Kiciu? O którym przyjacielu mowa?  
- dopytywał się, patrząc to na mnie, to na panicza Franciszka.

Panicz Franciszek nie udzielił mi wyjaśnień.

- W takim razie zapraszam cię do domu, Kiciu. Ojca nie ma, a matka jeszcze nie wróciła ze wsi. Przeszmugluję cię tak, że nikt nie zauważy.

- Dzięki. Pedro, czy mógłbyś przekazać Jankowi, że jego przesyłka została doręczona?

- To wykluczone. Idę z tobą. Nie możesz, Kiciu, chodzić sama ulicami po ciemku - odparł kategorycznie Pedro.

- Nie jestem sama, jestem z Frankiem.

- A jak go napadną? Przyda wam się ktoś, kto dobrze zna teren.

Pedro był na mnie zły, widziałam to po jego oczach. Wrogość, która zapanowała między nami podczas

spotkania w gabinecie pana Sheridana, znowu dawała o sobie znać.

- Nie, nie trzeba mi twojej pomocy, Pedro - powiedziałam.

- Ale Kiciu, Pedro ma rację: młoda dama nie powinna się wałęsać samotnie po ulicach, a przecież musisz jakoś wrócić do domu - wtrącił się panicz Franciszek, który nie wyczuł animozji między mną a Pedrem.

Wszystko szło nie po mojej myśli. Przecież Pedro żadną miarą nie powinien był dowiedzieć się, kim naprawdę jest Janek. Obaj z paniczem Franciszkiem nie byli lepsi od Marchmonta: zasłaniając się argumentem ochrony słabej płci, narzucali mi niechciane towarzystwo.

- Nie jestem przesyłką, którą macie dostarczyć pod wskazany adres! - oburzyłam się.

- Cała Kicia! Sama sobie szkodzi swoją dumą - rzekł Pedro, jakby wcale mnie tam nie było. - Naturalnie, że muszę z wami iść, i ona o tym wie.

- To dobrze - powiedział panicz Franciszek - bo drugi raz nie wymknąłbym się z domu, żeby ją odprowadzić.

- Przestańcie! - krzyknęłam, tupiąc ze złości. - Chodziłam sama po Londynie, kiedy ty - zwróciłam się do książęcego syna - nosiłeś jeszcze krótkie spodnie, a ty - spiorunowałam wzrokiem Pedra - prażyłeś się w afrykańskim słońcu. Świetnie umiem sobie poradzić.

Pedro i panicz Franciszek uśmiechnęli się do siebie wyrozumiale, wprawiając mnie tym w jeszcze większą złość.

- Przestańcie mnie traktować jak półgłówka! Sama wiem, co mam robić!

- Przyjmijmy więc, Kiciu, że zapraszam Pedra do siebie w gości. Jeśli nadal chcesz z nami pójść, musisz jakoś znieść jego towarzystwo - oświadczył panicz Franciszek, puszczając oko do Pedra.

Miałam ochotę zrezygnować z uciekania się do pomocy panicza Franciszka i panienki Elżbiety. Może lepiej byłoby wrócić jak najszybciej do teatru i ponaglić Janka do ucieczki? Tylko skąd on wtedy weźmie pieniądze na ucieczkę?

Rozważywszy wszystkie racje, doszłam do wniosku, że mniej ufam w samodzielność Janka, niż nie dowierzam Pedrowi.

- Dobrze, idę z wami - zgodziłam się nadąsana.
- Rozumiem zatem, że nie będziesz protestowała, gdy poproszę swojego przyjaciela, aby cię eskortował z powrotem do teatru?

Pokręciłam głową. Skoro już przegrałam ważniejszą batalię o wykluczenie Pedra z sekretu, nie zamierzałam kruszyć kopii o powrót do domu.

- Idziemy?

Jaśnie pan kominiarczyk podał mi ramię i ruszyliśmy na zachód, ku placowi Grosvenor.



BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



*Akt IV – w którym Pedro zgłębia tajniki  
i pokazuje, z kim naprawdę trzyma...*

## Akt IV

### SCENA 1 - PRZYJACIELE

**Z**aplecze londyńskiej rezydencji księcia Avona mocno zalatywało stajnię. Konie trzymano w pobliskich zabudowaniach i sądząc po rozdeptanych śladach na śniegu, korzystano z nich nader często.

- Zaczekajcie chwilkę - powiedział panicz Franciszek, zanim zniknął w końskim boksie. - Tylko się przebiorę.

Dygocąc z zimna, skuliliśmy się z Pedrem przy studni na podwórku, żeby nikt nas nie zobaczył. Śnieg wciąż sypał. Krótkie czarne włosy Pedra pokryły się zlodowaciałą białą skorupką. Teraz Pedro jeszcze bardziej przypominał egzotycznego ptaka, zabłąkanego w obcym świecie zimnego, wietrznego Londynu.

- Co się stało? - spytał. - Czemu mi się tak przyglądasz?

- Bo bardzo mnie dziwi, że tu jesteś.

- Nie mogłem przecież puścić cię samej.
- Nie chodzi mi o to, że tutaj, w tym miejscu, ale w ogóle w Londynie.

Wzruszył ramionami.

- To takie dziwne? Kręci się tutaj mnóstwo rozmaitych ludzi. Londyn nas wsysa i wypluwa na powierzchnię, żebyśmy sobie radzili, jak kto umie.

Moment był odpowiedni, aby sprawdzić Pedra, zanim powróci panicz Franciszek.

- Pamiętasz, co mówiliśmy o diamencie?

Natychmiast zrobił się jakiś nieswój. Odwrócił oczy i wbił wzrok w dźwignię studni.

- Co takiego?
- Rozumiem, że potrzebujesz pieniędzy, Pedro, ale przecież nie spróbujesz ich zdobyć za wszelką cenę, prawda? Są pewne rzeczy, których nigdy byś nie zrobił?
- No jasne! Za kogo ty mnie masz, Kiciu?
- Nie posłałbyś człowieka na śmierć, prawda?
- Chyba żeby zasłużył. Ale co to ma wspólnego z diamentem?
- Nic. Najwyżej tyle, że w Drury Lane jest w tej chwili ukryte jeszcze coś oprócz diamentu.

Panicz Franciszek wyszedł ze stajni w swoim zwykłym wytwornym stroju, chociaż twarz i dłonie miał wciąż, wcale nie po pańsku, umazane sadzą.

Wcisnął monetę w garść stajennego, który zdążył za nim z ubraniem kominiarza pod pachą.

- Schowaj je dla mnie, Jenkins - polecił.

- Jak jaśnie pan sobie życzy - odrzekł Jenkins, odsłaniając w uśmiechu wszystkie zęby.

- A teraz ostatni etap przeistoczenia! - Pomimo mrozu panicz Franciszek podstawił głowę pod kran studni, nacisnął dwa razy dźwignię i sprawił sobie szybki prysznic. Wynurzył się ociekający wodą, ale już w naturalnym kolorze. - Chodźmy do domu, zanim zaziębię się na śmierć - wysapał.

Przemknęliśmy się po kocich łbach bruku do tylnego wejścia. Na progu panicz Franciszek zatrzymał nas na chwilę.

- Uprzedzam: większości służby można ufać, ale strzeżcie się francuskiego kucharza i mojego preceptora. Jeden i drugi kazałby mi spuścić solidne manto za wycieczki bez pozwolenia. Zawsze muszę planować moje wyjścia z domu na czas, gdy akurat są zajęci czymś innym.

Pokiwaliśmy głowami i wemknęliśmy się za nim do środka. Z prawej strony, gdzie zapewne mieściła się kuchnia, niósł się brzęk garnków i czyjeś przekleństwa.

- *Mon dieu!* Ten sos się nie nadaje do *cochon*, do świni!

Plasnął policzek i rozległ się żaloszny krzyk zbesztanej podkuchennej.

- Dobra nasza! - szepnął panicz Franciszek. - Monsieur Lavoisière jest teraz zajęty kolacją, nie zauważy nas.

Ledwo zdążył wymówić te słowa, w drzwiach po prawej ukazała się zjawą w wysokiej białej czapie i fartuchu. Panicz Franciszek okazał szybki refleks: wciągnął Pedra i mnie do pomieszczenia po lewej stronie korytarza. Po rzędach miedzianych rondli wiszących na ścianach poznałam, że znaleźliśmy się w pomywalni.

Panicz Franciszek, po raz pierwszy odkąd go znałam, wyglądał na przestraszonego. Korytarzem zbliżały się ciężkie kroki. Skuliłam się za wielką kadzią, a Pedro z paniczem Franciszkiem skryli się za skrzydłem drzwi.

- Gdzie ta legumina? - pieklił się kucharz. - Jeszcze niegotowa? Poczekaj, Pierre, zrobię sobie podwiązki z twoich bebechów!

- Gotowa, mistrzu! Proszę! - odezwał się inny głos, z żołnierską powagą porucznika składającego raport dowódcy.

Pierre miał więcej szczęścia niż podkuchenna: przygotowany przezeń deser pomyślnie przeszedł inspekcję, a Monsieur Lavoisière, dla porządku zrzucając jeszcze pod nosem, zniknął z powrotem w czeluści swojej jaskini.

- Szybko! - zarządził panicz Franciszek. - Uciekajmy stąd.

Przemknęliśmy na palcach przez korytarz, pokonaliśmy kilka kamiennych schodów i przez obite zielonym sukniem drzwi wślizgnęliśmy się do głównego hallu. Stanąwszy na marmurowej posadzce, panicz Franciszek wydał westchnienie ulgi.

- Udało się! - wykrzyknął. - Teraz poszukajmy Lizi.

Pobiegnął na górę, przeskakując po kilka stopni i gromko nawołując siostrę. Na podeście zatrzymał go jednak lokaj, ten sam, który wpuszczał nas do domu przy naszej pierwszej wizycie.

- Sądzę, że znajdzie panicz panienkę Elżbietę w bibliotece - powiedział. - Pan Herbert prosił, abym przekazał paniczowi, że chce się z paniczem widzieć, gdy tylko panicz wróci.

Panicz Franciszek skrzywił się.

- Jeszcze nie wróciłem, Józefie.

- Istotnie, jeszcze nie, proszę panicza. Czy wolno mi jednak mieć nadzieję, że gdy panicz wróci, pozwoli bezwzględnie przekazać sobie wiadomość od pana Herberta?

- Jak tylko przestąpię próg - obiecał panicz Franciszek i mrugnął konspiracyjnie do lokaja.

- Dziękuję paniczowi.

Widać było, że lokaj darzy swojego młodego pana niezłomną lojalnością.

- Pan Herbert to twój preceptor? - spytałam.

Panicz Franciszek kiwnął głową.

- Odwlekam, na ile mogę, termin wyjazdu do szkoły z internatem. Mama jest całkowicie po mojej stronie, ale i tak mam wrażenie, że moje dni w domu są policzone. Szkoda, że akurat teraz, kiedy zacząłem się tak dobrze bawić! - Spojrzał z żalem na Pedra. Widocznie zasmakował we wspólnych eskapadach do miasta. - Postanowiłem

jednak najpierw pobrać parę lekcji u twojego przyjaciela Syda. To zapewni mi mocną pozycję w nowej szkole. Nikt nie odważy się ze mną zadzierać.

- To w szkołach dla bogaczy też są tacy, co szukają zaczepki? - spytałam.

Zawsze myślałam, że chuliganów spotyka się tylko w naszym świecie, na ulicy. Że dzieci bogaczy są za dobrze wychowane, żeby się bić. Że całymi dniami konwersują po łacinie i jedzą z chińskiej porcelany.

- Zdziwiłabyś się ilu! - odrzekł panicz Franciszek. - Szkoły to wylęgarnie zabijaków. Mógłbym ci opowiedzieć parę historyjek rodem z dawnej szkoły ojca, od których włos się skręca na głowie. Chociaż ty już i tak masz swoje loki - zażartował. - Ale Kiciu, cóż to się stało? - Zauważył wystrzyżone miejsce nad moim czołem.

- Nic, nic - zapewniłam go pospiesznie i znów zrobiło mi się niedobrze na samo wspomnienie zajścia z Bilym.

Odruchowo podniosłam rękę, żeby zasłonić czoło, ale w ten sposób wystawiłam na pokaz szramę na ramieniu.



Pedro też to zauważył.

- Ty nam czegoś nie mówisz, prawda, Kiciu? - spytał czujnie. - Jesteś dzisiaj jakaś dziwna. Jakby... wystraszo-  
na.

- To ty, Franku? - Panienska Elżbieta wyszła na po-  
dest z książką w dłoni, zakładając miejsce lektury pal-  
cem. - Zdawało mi się, że kogoś słyszę. - Na nasz widok  
uśmiechnęła się promiennie. - O, jak miło! Przyprowa-  
dziłeś mi gości! Szybko, wchodźcie tutaj! Pan Herbert  
wstąpił na wojenną ścieżkę, ale nigdy mu nie przyjdzie  
do głowy, by szukać mojego brata w bibliotece.

- Jasne, że nie! Cóż ja miałbym tam robić? Tylko ta-  
kie uczone głowy jak ty uważają, że to najlepsze miejsce  
na odpoczynek przed kolacją - rzekł panicz Franciszek.

Panienska Elżbieta wprowadziła nas do najpiękniejszego  
pomieszczenia, jakie widziałam w swoim życiu. Dwa  
wysokie okna w jednej ścianie wychodziły na ciemnieją-  
cy plac. Na kilku stolikach rozstawionych między fote-  
lami i sofami migotały świece w lichtarzach. Po drugiej  
stronie kominka kusiło duże biurko ze srebrnym kałama-  
rzem, bibularzem, zapasem czystego papieru i laku. Jaką

miałam ochotę zasiąść przy nim i pisać! Jednak największe wrażenie robiły liczne półki pełne książek, schludnie poustawianych i bogato oprawionych. Można by się tu zaszyć i nie wychodzić stąd latami, mając pod ręką tyle fascynującej lektury. Pozazdrościłam paniczowi Franciszkowi i panience Elżbiecie tego przywileju, który przewyższał wszystkie inne, jakie były ich udziałem.

- A teraz mówcie: co się dzieje? - zapytała panienka Elżbieta, wskazując mi miejsce na obitej jedwabiem sofie.

Zawahałam się, czy nie pobrudzę drogiego mebla ubłoconą spódnicą, i na wszelki wypadek przysiadłam na drewnianej drabince do zdejmowania książek z górnych półek.

- Sam za bardzo nie wiem - przyznał się panicz Franciszek, raz jeszcze wychylając się na korytarz i nadstawiając ucha, zanim zamknął drzwi. - Kicia musi nam wszystko wyjaśnić. Chodzi o lorda Jonatana Fitzroya.

Panienka Elżbieta poczerwieniała.

- O lorda Jonatana Fitzroya? - zdziwił się Pedro.

- To Janek - wyjaśniłam niechętnie. - Jest kimś innym, niż nam się zdaje.

- Ach tak - rzekł Pedro, powoli przetykając informację. - Lord? To najbardziej niezwykły lord, oprócz być może Franka, jakiego w życiu spotkałem.

- Nie znasz nawet połowy prawdy - powiedziałam. - Ale najpierw obiecajcie mi wszyscy, że nawet jeśli nie zdecydujecie się pomóc Jankowi i mnie... to znaczy chciałam powiedzieć: lordowi Jonatanowi i mnie... to, co wam teraz powiem, zostanie tylko między nami. Musicie obiecać, że go nie zdradzicie, nawet gdyby trzeba było zrezygnować z szansy zdobycia wielkich pieniędzy.

Popatrzyłam przy tym wprost na Pedra, do którego powoli docierała moja wcześniejsza aluzja.

- Jasne, że nie zdradzę - oburzył się.

Wciąż nie mając pewności, czy mogę wierzyć mu na słowo, musiałam brnąć dalej, gdyż była to jedyna droga do uzyskania tak potrzebnej nam pomocy.

- Janek ma jeszcze inne nazwisko, nazwisko na pewno wam znane. To Kapitan Iskra.

Bacnie obserwowałam Pedra: wydawało mi się, że widzę dziwny błysk w jego oku. To mnie zaniepokoiło:

co sobie myśli Pedro? Wie już teraz, że Janek należy do klasy uprzywilejowanej - może nawet pochodzi z jednej z licznych rodzin, które wzbogaciły się na handlu cukrem i tytoniem, kosztem tysięcy niewolników wiodących nędzny żywot na Karaibach. Czy ta wiadomość nie osłabi lojalności Pedra wobec Janka? Czy pokusa wydania go za pieniądze nie okaże się zbyt silna? Nikt w końcu nie dbał o uczucia Pedra i jego bliskich, gdy ich sprzedawano. Dlaczego więc on miałby troszczyć się o Janka?

Łatwiej było zrozumieć reakcje książęcych dzieci. Po niewzruszonej minie panienci Elżbiety poznałam, że ujawnienie tożsamości Janka nie zaskoczyło jej; co do panicza Franciszka - wiadomość wręcz go ucieszyła.

- Coś podobnego! - wykrzyknął. - A więc lord Jonathan Fitzroy jest tym słynnym Kapitanem! Nie przypuszczałem, że jest taki zdolny, że to ktoś więcej niż wystrojony manekin, jak większość konkurentów Lizi.

- Cicho bądź! - skarciła go panienka Elżbieta, zauważwszy, że Pedro zerka na nią z nowym zainteresowaniem.

Truchlałam z niepokoju, jaki plan układa sobie w głowie na podstawie tych strzępów poufnych informacji.

- Wydaje mi się jednak, że wasz znajomy, Marchmont, coś podejrzewa - ciągnęłam dalej, próbując nie dać się zbić Pedrowi z pantałyku. - Nie wie, rzecz jasna, o lordzie Jonatanie, ale przypuszcza, że Kapitan Iskra ukrywa się w Drury Lane. Robi się niebezpiecznie. Janek musi poszukać nowej kryjówki.

- Potrzebujesz więc naszej pomocy w znalezieniu mu nowego miejsca? A co sądzi sam lord Jonatan? - spytała panienka Elżbieta.

Spuściłam głowę i przyjrzałam się swoim brudnym rękóm.

- Powiem prawdę: on nie ma pojęcia, że zwróciłam się do was o pomoc. O Marchmoncie wiem dopiero od niedawna.

- Będzie na ciebie zły - rzekła panienka Elżbieta. - Jest bardzo dumny.

- Ale sam sobie z tym wszystkim nie poradzi - odparłam. - Za wiele naraz ryzykuje. Nie dostrzega niebezpieczeństwa... albo gwizdże na nie. A przecież chodzi nie tylko o niego - także o diament.

- Diament? Więc naprawdę jest jakiś diament? Nie zmyśliłaś go? - zapalił się panicz Franciszek.

Pokiwałam głową, znów patrząc na Pedra, który siedział podejrzanie cicho.

- Bardzo możliwe, że gang Shepherd'a będzie chciał wykraść diament, a to stwarza dla Janka jeszcze większe zagrożenie.

- A co ma Janek wspólnego z Billym Pryszzem? - wtrącił czujnie Pedro.

Wyraźnie zaciekawiała go informacja, że Billy wie coś o diamencie.

Starałam się wymyślić naprędce jakąś odpowiedź, która by pomijała zdarzenia ubiegłej nocy, ale panienska Elżbieta okazała się szybsza ode mnie.

- Lord Jonatan ocalił Kicię przed bandytami - wyjaśniła, pamiętając widocznie, jak chwaliłam jej kawalera.

- Co takiego? - wykrzyknął panicz Franciszek. - Ta historia robi się coraz ciekawsza!

Nie było rady: musiałam opowiedzieć całe zajście, lecz na wstępie znów zażądałam od słuchaczy, by przysięgli zachować dyskrecję. Po mojej krótkiej, lecz dobitnej relacji zapanowała pełna osłupienia cisza.

- A więc nie tylko Janek jest w niebezpieczeństwie. Ty również - odezwał się panicz Franciszek, spoglądając na mnie z troską.

- Możliwe - przyznałam lekkim tonem. - Ale Billy'emu nie chodzi o mnie, tylko o diament, którego Janek pilnuje z polecenia pana Sheridana - być może w zamian za kryjówkę w teatrze. Tego nie jestem pewna.

- Hmm - zamyśliła się panienska Elżbieta. - Coś tu jednak nie jest do końca jasne. Bo skąd pan Sheridan mógłby wziąć diament i po co miałby go ukrywać?

- Druga część pytania jest łatwa: ukrywa go zapewne przed wierzycielami - wtrącił panicz Franciszek. - Wiadomo przecież, że nie wsadzili go dotąd do więzienia za długi tylko dlatego, że jest członkiem parlamentu. Gdyby jego wierzyciele zwęszyli, że raz wreszcie ma jakiś majątek, opadliby go jak stado głodnych kruków.

- A poza tym przyjaźni się przecież z księciem Wali, prawda? - spytał Pedro. - Jeżeli ktoś w tym kraju sybie diamentami, to tylko rodzina królewska. Może to był prezent od księcia.

- Może - rzekła sceptycznie panienska Elżbieta. - Nadal jednak nie jest to dla mnie jasne.

- W każdym razie Janek jest w niebezpieczeństwie - powiedziałam. - Musi wynieść się z teatru, i to jak najprędzej. W tym celu będzie potrzebował pomocy. Będzie potrzebował was i... - urwałam zażenowana - ...waszych pieniędzy.

Janek powinien był wyjechać z Londynu - być może nawet za granicę - a ja nie miałam złota, żeby mu kupić bilet na podróż. Jeżeli ojciec go wydziedziczył, to pomoc mogli tylko bogaci przyjaciele - tacy przyjaciele jak dzieci księcia, a nie taka nędzarka jak ja.

- To się rozumie samo przez się - odezwał się panicz Franciszek. - Ale nie będzie to łatwe, nawet dla nas, Kiciu. Z mojego kieszonkowego nie starczy na przeprawę do bezpiecznego kraju.

- Mogłabym oddać w zastaw kilka klejnotów - zaproponowała panienska Elżbieta. - Tylko ktoś musiałby je zanieść do lombardu. Papa wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, że poszłam tam sama.

- Jesteś aniołem, siostrzyczko - rzekł panicz Franciszek. - Ja je zaniosę.



Pedro z niesmakiem skrzywił nos.

- To marny pomysł: każdy szanujący się właściciel lombardu oskubie cię na połowę wartości klejnotów. Lepiej mnie powierzyć to zadanie.

- Nie, ja je zaniosę. Wiem, dokąd pójść - wtrąciłam pospiesznie.

Kto wie, gdzie znalazłby się Pedro następnego dnia o tej porze, gdyby mu powierzyć małą fortunę w klejnotach?

Pedro zmarszczył brwi, ale nie zaprotestował.

- Jeżeli Kicia zdobędzie pieniądze, ja dowiem się o bezpieczną możliwość wyjazdu z kraju - obiecał panicz Franciszek.

- Dobry pomysł. Janek musi wyjechać jak najprędzej - powiedziałam. - W każdej chwili gotowi zacząć go szukać. Może też zostać rozpoznany, kiedy będzie wyjeżdżał, dlatego trzeba mu przygotować przebranie.

- Tę sprawę pozostawcie mnie - zaoferowała się pаниenka Elżbieta. - Wymyślę coś takiego, że nawet własna matka go nie rozpozna.

Zegar na kominku zaczął melodyjnie wydzwaniać godzinę szóstą. Z otwartych drzwiczek nad tarczą wyłoniły

się dwie mechaniczne baletnice, stanęły obok siebie i zaczęły kręcić piruety. Zachwycalam się nimi właśnie, gdy coś mi się nagle przypomniało.

- Pedro, czy ty dzisiaj nie występujesz w tańcu marynarskim?

W Pedra jakby grom strzelił. Nigdy przecież nie zapominał o obowiązkach zawodowych.

- Racja! Musimy lecieć!

- Poczekajcie, przyniosę klejnoty - powiedziała pannenka Elżbieta. Pobiegła na górę i po kilku chwilach wróciła z małym węzełkiem z jedwabnej chusteczki, który wcisnęła mi w rękę. - Pilnuj ich dobrze, Kiciu. Chciałabym je kiedyś odzyskać. Niektóre są dla mnie szczególnie cenne.

Do Drury Lane dotarliśmy o wpół do siódmej. Przedstawienie już trwało, ale Pedro zdążył w samą porę na swój przerywnik muzyczny. Ledwo przebrał się z liberii w kostium, już zaczęto go wołać na scenę. Zauważyłam, że Janek przyjął jego powrót z wyraźną ulgą.

- Zdołałaś doręczyć bezpiecznie? - spytał mnie po cichu.

Kiwnęłam głową, nie odrywając wzroku od wygibasów Pedra w blasku rampy.

Nagle jednak dotarło do mnie, że owszem, karykatura Janka została bez szwanku doręczona do drukarni, za to Pedro nie został bez szwanku doręczony na scenę!

- Skrzypce! - szepnęłam do Janka. - Pedro zapomniał skrzypiec!

A po pierwszym tańcu miał powtórzyć numer, przygrywając sobie na instrumencie.

- To leć po nie! - ponaglił mnie Janek. - Ja tymczasem coś wymyślę.

Popędziłam do Sali Zielonej i znalazłam skrzypce. Chwyciłam je i wróciłam biegiem na zaplecze sceny, przeciskając się przez tłum czekających na wyjście aktorów, następując niechętny na nogę pannie Stageldoir i obrywając za to w ucho.

Janek, jak się okazało, zdążył już coś wymyślić, ale gdy zdradził mi owo „coś”, serce podeszło mi do gardła.

- Szybko! Włóż to! - zakomenderował, rzucając mi stary kostium arlekina w kolorowe romby.

- Nie, lepiej ty! - szepnęłam przerażona.

- Nie wygłupiaj się! Zapomniałaś, że się ukrywam? To przecież nic strasznego: wbiegniesz na scenę, zakręcisz pirueta albo zrobisz inną sztuczkę i podasz mu skrzypce. Widownia pomyśli, że to część przedstawienia. Ludzie kochają błazenadę.

- Żartujesz chyba - burknęłam, wciągając jednak kostium przez głowę.

- Jestem śmiertelnie poważny. No, śmiało! Twoje wejście!

Janek nałożył mi jeszcze na twarz czarną dziobatą maskę i klepnął mnie mocno po plecach, wypychając na scenę. Pedro zakończył właśnie brawurowy taniec marynarski i kłaniał się publiczności.

Jeszcze nie zorientował się, że zapomniał o jakże ważnym rekwizycie do dalszej części występu. Z kilku łóż dobiegły chichoty: niektórzy już spostrzegli skonfundowanego arlekina, kulącego się z boku sceny. Nie miałam wyboru: trzeba było coś zrobić, a nie stać tam jak głupek. Ścisnąwszy skrzypce i smyczek pod pachą, podbiegłam kawałek i wykonałam moją popisową gwiazdę na jednej ręce. Nigdy jeszcze nie robiłam tego przed publicznością, więc tym milej mi było usłyszeć oklaski. Wylądowałam na nogach tuż obok Pedra i

uroczyście wręczyłam mu skrzypce. Pedro zmartwił na moment, ale zaraz się opanował. Odegrał pantomimę, z której wynikało, że stawiam oto przed nim śmiałe wyzwanie powtórzenia tańca z przygrywką. Potwierdziłam to, kiwając energicznie głową.

- Dalej no, Książę! - krzyknął ktoś z widowni.
- Przecież potrafisz! - dołączył drugi głos.

Pedro pokłonił mi się nisko na znak, że przyjmuje wyzwanie. Już miałam zbiec za kulisy, kiedy skinął mi, abym usiadła na dekorującej scenę kotwicy.

Zdziwiło mnie to: myślałam, że Pedro Hawkins woli mieć całą scenę tylko dla siebie. Ponieważ wyglądałoby dziwnie, gdybym odmówiła, przycupnęłam na kotwicy. Przez tyle lat życia w teatrze nigdy jeszcze nie znalazłam się na deskach wobec wypełnionej widowni. W głowie mi się kręciło z przejęcia.

Pedro ustawił się do gry. Signor Angelini uniósł dyrygencką pałeczkę i dał protegowanemu znak do rozpoczęcia. Pedro puścił się w taniec, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Przytupując jak w irlandzkim tańcu jig, z nieruchomą górną połową ciała, zaczął grać skoczną melodię. Siedząc tak blisko, widziałam, że pot

kapie mu z czoła, chociaż po jego minie wcale nie było znać wysiłku. Z widowni musiało to wyglądać na beztrudne podskoki. Publiczność zaczęła klaskać w rytm melodii. Pedro grał coraz szybciej. Zdawało mi się niemożliwe, że w tym tempie nie pomyli kroku ani nie zgubi żadnej nuty - a jednak. Jakby odnalazł wolność w tańcu i lada chwila miał ulecieć w przestworza. Wyobrażałam to sobie: wyfrunie ponad teatr, ponad zadymiony Londyn, w błękitne niebo, do domu, do swojej ojczyzny pod gorącym słońcem, do kraju przyjaciół. Zanim jednak wyrosły mu skrzydła, zakończył grę efektownym pasażem.

Zerwała się burza oklasków. Nadsięgnęła od widowni, ogarniając scenę. Pedro uklonił się trzy razy, a pot kapał mu z końca nosa na deski. Potem odwrócił się do mnie.

- No to jak, Kiciu? Zrobimy podwójną gwiazdę przez całą scenę?

Poddaje mnie próbie - pomyślałam - odplaca mi za to, że w niego zwątpiłam, i sprawdza, czy jestem gotowa powtórzyć swój numer. Kiwnęłam głową, przyjmując wyzwanie.

Wziął mnie za rękę.

- Start!

Równym biegiem ruszyliśmy w stronę kulis.

- Teraz! - krzyknął Pedro, puszczać moją rękę.

W idealnej harmonii wykonaliśmy serię gwiazd, lądując w końcu tuż przed krzesłem Janka.

- No, no, no! - zaśmiał się z podziwem Janek, ściągając mi maskę z twarzy. - Kto by pomyślał, że jesteś taka zdolna. Uważaj, bo pan Kemble gotów cię obsadzić w jakiejś roli. Klaun Kicia. Nawet nieźle brzmi, nie sądzisz?

Pedro klepnął mnie po plecach.

- Uratowałaś mi dzisiaj skórę, Kiciu. Jestem ci winien to samo.

- Spokojna głowa, na pewno o tym nie zapomnę - powiedziałam z cierpkim uśmiechem.

## SCENA 2 - LOMBARD

Następnego dnia z samego rana wymknęłam się z teatru i pobiegłam na ulicę Strand, do lombardu, z którego usług korzystało wielu aktorów i muzyków. Byłam tam już raz, z polecenia Piotra Dodsleya, pierwszego skrzypka. Zabrakło mu kiedyś grosza i w sobotę zastawił zegarek, który odebrał w poniedziałek, po wypłacie. Wytłumaczył mi, że ponieważ niedzielę prawie całą spędza w łóżku, nie obchodzi go, która jest akurat godzina, za to trudno mu się obejść bez kilku drobnych luksusów, takich jak butelka dobrego francuskiego wina. Zawsze uważałam, że to marny sposób gospodarowania pieniędzmi, ale Piotr Dodsley nie był u nas jedynym korzystającym z usług lombardu.

Obejrzałam się przed wejściem do kantorka i ujrzałam tuż za sobą Jonasza Millera, fanfaroniastego urzędnika, który tak często rozrabiał u nas na widowni.

- Z drogi, mała! - warknął, brutalnie odsuwając mnie na bok.



Strasznie mu się, widać, spieszyło do lombardu. Zainteresowało mnie dlaczego i pewnie wszłabym tam za nim, nawet gdybym nie miała własnego interesu.

Wkroczyłam do półmrocznego pomieszczenia. Panowała w nim poufna atmosfera katolickiego konfesjonału: klientów przyjmowano w oddzielnych boksach, aby mogli dyskretnie rozwiązywać swoje problemy pieniężne. Spoza żeliwnej kraty słuchali ich biadoleń pan Vaughan i jego asystenci, proponując tymczasowe lekarstwo na kłopoty. To, co zostało zastawione, eksponowano następnie w zamykanych gablotach, aby porozumiewawczymi błyskami kusilo właścicieli do odzyskania własnych dóbr - o ile zbiorą na to dość pieniędzy, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Pośród tabakierek i pierścionków z niesmakiem spostrzegłam zastawione przez kogoś porcelanowe sztuczne zęby - ich właściciel musiał być nieźle zdesperowany, skoro posunął się aż do tak drastycznego kroku. Zęby szczyrzyły się do mnie z aksamitnej czerwonej poduszeczki grymasem kościotrupa.

- O, pan Miller! Pański srebrny kałamarz czeka! - odezwał się głośno pan Vaughan. Chyba nie zauważył,

że wszedł ktoś jeszcze, bo mówił z większą niż zwykle swobodą. - Przyniósł pan pieniądze?

- Mam tylko tyle - powiedział Jonasz, wsuwając pod kratę sakiewkę z pieniędzmi.

Pan Vaughan rozsupłał ją i starannie przeliczył srebrne monety oraz miedziaki.

- Hmm... Nie dość, mój panie, nie dość... - odparł, kręcąc smętnie głową.

Jonasz z rozpaczą przeczesał palcami tłuste włosy.

- Proszę posłuchać: ja go muszę mieć z powrotem. Jeśli nie odzyskam kałamarza, będzie piekło. On... jest nie do końca mój.

Pan Vaughan zmarszczył brwi.

- Nie zajmuję się kradzionymi dobrami - rzekł srogo, kładąc już dłoń na dzwonku, żeby przywołać asystenta.

- Nie, nie, pan mnie źle zrozumiał - tłumaczył się Jonasz. - Pożyczyłem... od przyjaciela.

Od przyjaciela? Akurat! Było to jawne łgarstwo. Poznałam ów kałamarz: stał zawsze na biurku Jonasza w biurze adwokackim, gdzie ten pracował. Widywałam go setki razy, mijając ich okno. Jonasz obracał nerwowo w palcach zegarek z dewizką.

- Może dojdziemy jakoś do porozumienia, panie Vaughan - rzekł błagalnie, kładąc zegarek na kontuarze.

Finału tej transakcji nie widziałam, bo z zaplecza wyłonił się asystent pana Vaughana, bladolicy młodzieniec z czołem wysokim jak kupała katedry Świętego Pawła.

- Czym mogę służyć panience? - zagadnął mnie, widząc, że czekam z tyłu na twardej ławie.

Jonasz obrócił się i ze zdziwienia zrobił wielkie oczy. Najwyraźniej obecność kogoś znajomego była mu nie w smak. Ja też w jego sytuacji wolałabym jej uniknąć. Przeszłam szybko do wolnego boksu i wepchnęłam pod kratę zawiniątko z klejnotami.

- Ile mogę za to dostać? - spytałam cicho.

Asystent ze znudzoną miną rozwiązał chusteczkę.

Nuda natychmiast ulotniła się z jego oblicza: na ladę posypały się połyskliwe drogie kamienie i złote łańcuszki. Asystentowi oko błysnęło.

- To wszystko prawdziwe, panienko?

- Naturalnie.

Zerknął na mnie podejrzliwie i założył na oko lupę, aby zbadać starannie każdy klejnot. Odkładał je na bok

jeden po drugim, z namaszczeniem kiwając głową. Wreszcie odłożył i lupę, po czym spojrział na mnie wnikliwie, jakby czekał na wyjaśnienie, skąd mam tak wielkie kosztowności.

- Panie Vaughan! - zawołał do chlebobdawcy. - Panie Vaughan! Potrzebuję tu pańskiej rady!

Pan Vaughan wciąż targował się z Jonaszem Millerem.

- Jedną chwileczkę, łaskawco - powiedział i przeszedł za kratą do naszego stanowiska.

- Prawdziwe? - spytał asystenta.

- Autentyczne, co do jednego, proszę pana.

Pan Vaughan z lubością gładził klejnoty. Widać było, jak bardzo pragnąłby mieć je na własność, choćby przez krótki czas - niepokoiło go jednak, skąd ja je wzięłam.

- Przychodzę z polecenia pewnej damy - wyjaśniłam, widząc jego pytający wzrok. - Jestem w tej transakcji osobą zaufaną.

- Hmm... Mogę za to wszystko dać pięć funtów - powiedział pan Vaughan.

Była to śmieszna suma na początek licytacji. Wiedzieliśmy o tym oboje.

- Pięćdziesiąt - rzekłam stanowczo.

Pan Vaughan uśmiechnął się.

- Za kogo mnie panienka bierze? Zakład dobroczynny?

- W takim razie zaniosę te kosztowności do kogoś innego.

- Trzydzieści - warknął.

- Czterdzieści pięć.

- Czterdzieści.

- Zgoda.

Czterdzieści to nie była zła suma. Większość moich znajomych nie zarabiała tyle w rok. Nie była to jednak suma odpowiadająca rzeczywistej wartości klejnotów: gdyby panienka Elżbieta ich nie odebrała, pan Vaughan ubiłby na tych skarbach niezły interes.

Otworzył teraz kasę i odliczył do woreczka sporą garść złotych gwinei, po czym przesunął do mnie pod kratą kwit.

- Powiedz, panna, swojej „damie”, że ma sześć miesięcy na wykupienie klejnotów. Po upływie tego czasu będzie mi wolno to wszystko sprzedać.

- Rozumiem.

Schowałam sakiewkę złota oraz kwit do kieszeni i skierowałam się do wyjścia. Jonasz Miller czekał na mnie przy drzwiach.

- Słuchaj no, Kiciu, nie pożyczylabyś mi paru gwi- nei? - zagadnął, siląc się na miły uśmiech. - Jak mi nie pomożesz, to koniec ze mną.

- Przykro mi - pokręciłam głową - ale to nie moje pieniądze. Nie mogę nic pożyczyć.

Jego uśmiech natychmiast zniknął.

- Klejnoty też nie były twoje, no nie, Kiciu? Czyżbyś miała coś na sumieniu? - Zbliżył się do mnie o krok. - Na pewno nie chcesz, żebym o tym doniósł sędziom z Łucz- niczej?

- Nie pański interes - odparłam ze złością. - To, że pan okrada swojego pracodawcę, nie znaczy jeszcze, że wszyscy tak robią.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i co sił w nogach pogna- łam do teatru. Nie bałam się pogrózek Jonasza - wiedzia- łam, że to lizus i oszust. Gdyby rozpuścił plotkę, panien- ka Elżbieta zawsze stanie w mojej obronie; gorzej, jeśli doniesie do magistratu - w tej sytuacji jeszcze ważniejsze było, aby Janek jak najprędzej opuścił Drury Lane.

- Coś ty zrobiła?

Janek chodził w tę i z powrotem po dywaniku przed kominkiem, a na rozdzielającym nas stole lśniły monety w otwartej sakiewce.

Jak się sam pewnie domyślasz, Czytelniku, sprawa wyglądała kiepsko.

- Już powiedziałam. Przypadkiem napomknęłam panience Elżbiecie, że potrzebujesz pomocy, a ona...

- Nie rozumiesz, co narobiłaś? - przerwał mi gniewnie Janek. - Upokorzyłaś mnie, Kiciu. Ty i twoi przyjaciele chcieliście mnie uchronić od deszczu, a wepchnęliście pod rynnę! Nie przyszło ci do głowy, że sam umiem o sobie zadbać? Straciłem wszystko, obierając niezależną drogę życia: rodzinę, pozycję, nawet ukochaną kobietę - ale, jak dotąd, zachowałem szacunek do siebie!

Nie dałam się nabrać na te płomienne mowy; Janek naprawdę potrzebował naszej pomocy.

- A więc przyznaj się, jaki miałeś plan działania? - spytałam z chłodnym opanowaniem.

- Wyjechać do Ameryki - odrzekł, opierając się ciężko o gzyms kominka.

- Z diamentem?

Uśmiechnął się z goryczą.

- Taki właśnie był mój plan.

- A skąd zamierzałeś wziąć pieniądze na podróż?

O ile pan Sheridan nie spienięży diamentu, a wątpię, aby zrobił to nawet dla ciebie, będą ci potrzebne pieniądze na bilet. Pan Sheridan, jak wiadomo, nie śmierdzi groszem.

- To prawda - zgodził się Janek. - Sheridan nie ma dość gotówki.

- A ty masz?

- Zaledwie głupie kilkaset tysięcy funtów... tyle że wszystko, niestety, w kieszeni ojca. - Westchnął. - Liczyłem po cichu na Marchmonta.

- W takim razie grubo się myliłeś, Janku: Marchmont ci nie pomoże. Znam takich jak on, dusigroszów i samolubów, którzy nawet własnej babce nie pomogliby przejść przez ulicę. Patrzą jedynie własnej korzyści.

- Może i masz rację, Kiciu.

Janek skapitulował pod ciężarem niepokoju, który narastał w nim od chwili pierwszego oskarżenia o zdradę stanu. Właśnie poznawał sytuację dla nas powszednią: co to znaczy nie mieć pieniędzy.



- W takim razie - rzekłam, wskazując przyniesione z lombardu gwinee - czemu nie skorzystasz z tego?

- Odpowiedź jest oczywista: bo to jej pieniądze! - Musiałam zrobić głupią minę, bo dodał: - Za młoda jesteś, Kiciu, żeby znać się na... na miłości. Jak mógłbym spojrzeć jej w oczy, wykorzystawszy ją w ten sposób?

Nie wierzyłam własnym uszom: Janek okazał się skończonym głupkiem, przesadnie skrupulatnym, na własną zgubę.

- Wierz mi, że ona na pewno wolałaby spojrzeć ci w oczy, gdy będziesz nam machał na pożegnanie z pokładu statku, trzymając w ręku bilet kupiony za jej pieniądze, niż patrzeć, jak siniejesz na zaciśniętym stryczku. Jeżeli umrzesz na konopną gorączkę, nie będzie dla niej żadną pociechą to, że nic jej nie byłeś winien.

Wciąż kręcił głową, nieprzekonany. Chociaż był sporo starszy ode mnie, zachowywał się jak małe dziecko nieświadome grozy sytuacji. Czułam się w tej chwili znacznie starsza i mądrzejsza od niego. Dość tych romantycznych kazań o honorze i dumie. Jeśli ich nie

poniecha, grozi mu śmierć. Spróbowałam innej metody.

- A mnie się zdaje, Janku, że to ty nie rozumiesz się na miłości. Bo cechą miłości nie może być przymus; opada ona jak deszcz ciepły z niebios...

- ...Na miejsce w dole; a przynosi z sobą błogosławieństwa dwa, gdyż błogosławi tych, którzy dają, i tych, którzy biorą\* - dokończył Janek. - Znam to, znam.

\* William Szekspir, *Kupiec wenecki*, IV, 1, tłum. M. Słomczyński (parafraza).

- Więc czemu nie chcesz przyjąć daru, który ona ci ofiarowuje? Odrzucając go, jednocześnie odmawiasz jej prawa do okazania miłości czynem.

- Ależ...

- Jestem pewna, że sam oddałbyś wszystko, aby pomóc komuś, kogo kochasz. W takim razie nie traktujesz jej jak równej sobie, skoro odrzucasz jej pomoc.

Nareszcie utrafiłam w czuły punkt.

- Jak równej sobie? - powtórzył.

- Tak, właśnie. Nie traktuj jej, jakby była porcelanową lalką, którą się zachwycasz, ale boisz się

zdząć ją z półki. To rozsądna osoba: wie, co robi. Zresztą i tak już za późno. Ja zastawiłam klejnoty, a panicz Franciszek załatwia ci miejsce na statku. Zostałeś w tej sprawie przegłosowany stosunkiem cztery do jednego.

Janek roześmiał się.

- Zaczynam chyba żałować, że nauczyłem cię, co to jest demokracja, Kiciu. Teraz będziesz mnie szantażowała.

- Przystaniesz żałować, kiedy znajdziesz się w Nowym Jorku. A tak nawiasem mówiąc, zastanawiałaś się, co tam będziesz robić?

Janek usiadł obok mnie, dając tym do zrozumienia, że poddał się konieczności i zgadza się przyjąć pomoc przyjaciół.

- Może założę wspólnotę, w której mężczyźni i kobiety będą żyć razem, dzieląc swój czas między uczciwą pracę fizyczną a zajęcia intelektualne - taką idealną republikę.

- Dla mnie to wyssane z palca. Co ty wiesz o ciężkiej pracy fizycznej? Wiesz, ile się trzeba namęczyć, żeby wyszorować podłogę albo uprać koszulę, nie mówiąc już o oraniu pola?

Janek zrobił dziwną minę: wiedział, że wszedł na grząski grunt, mówiąc - on, szlachcic, do mnie, plebejuszki - o prostym życiu.

- Nie wiem, ale przecież wolno mi marzyć.

- No to marz sobie dalej - ucięłam. Doprawdy, ktoś musiał się nim zająć, bo biedak brnął prostą drogą do zguby. - Tymczasem jednak może zaplanowałbyś sobie coś bardziej konkretnego? Pomyśl o tym, co umiesz robić dobrze: na przykład o rysowaniu. Z pewnością nawet w tak mało cywilizowanym kraju jak Ameryka są jakieś możliwości zarobkowe dla artystów.

- Owszem, wiem o kimś, kto wydaje gazetę w Filadelfii. - Zaśmiał się. - Ładne rzeczy, Kiciu. Pobieram rady w sprawie kariery u... zaraz, ile ty właściwie masz lat?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem.

- A zatem u młodej damy - dokończył Janek i mru-gnął do mnie, chowając gwineę do kieszeni.

Po południu pani Reid kazała mi pościerać kurze w gabinetach. Właśnie skończyłam sprzątać u pana Kemble'a

i wzięłam się do pokoju pana Sheridana, gdy on sam wkroczył z jakimś dżentelmenem, którego nie znałam. Nie zauważyli mnie, bo byłam przycupnięta za biurkiem - przyznam się, że szukałam tam sławetnego diamentu, aby rzucić na niego okiem, zanim odjedzie do Ameryki wraz z Jankiem. Po tonie pana Sheridana poznałam, że próbuje jak najszybciej pozbyć się z teatru swego towarzysza.

- Słuchaj no, Ranworth, może poszlibyśmy do klubu obgadać sprawę?

Ranworth? Wyrzałam ostrożnie ponad blatem i zobaczyłam stojącego tyłem siwego, postawnego jegomościa w bordowym surducie i błyszczących czarnych butach z cholewami. Musiał to być ojciec Janka. Bogu dzięki, że Janek zaszył się u siebie na całe popołudnie, aby dokonać korekty najnowszej karykatury. Lepiej, żeby się stamtąd na krok nie ruszał.

Trzeba go było ostrzec. Jednak panowie stali akurat na drodze do drzwi.

- Naprawdę nie ma żadnych wieści o moim synu? - spytał hrabia Ranworth, głuchy na propozycję zmiany miejsca rozmowy. Odniosłam wrażenie, że pan Sheridan już od jakiegoś czasu unika odpowiedzi na to pytanie i

dlatego hrabia przyszedł za nim aż do teatru. - Wstydzę się za smarkacza, przyznaję to szczerze, ale mam przecież ojcowskie uczucia. Chciałbym wiedzieć, czy jest zdrów i cały. Krew ścina mi się w żyłach, jak wszędzie widzę te afisze: „Poszukiwany”! Wyobrażasz sobie, jaki wybuchłby skandal, gdyby się wydało, kim naprawdę jest Kapitan Iskra?

- Niemały - przyznał pan Sheridan, klepiąc starszego pana po ramieniu. - Ale nie wyda się, bądź spokojny. Kto mógłby podejrzewać prawdę? Jestem przekonany, że łobuziakowi nic złego się nie stało.

- A Salter, powiadasz, nie natrafił na żaden ślad w Bristolu?

- Nic a nic. Kazałem mu jeszcze wypytać w Plymouth i Portsmouth. Wkrótce spodziewam się wieści.

A więc pan Salter nie groził nam na razie, bo wciąż był zajęty skazanym na fiasko tropieniem.

Hrabia Ranworth wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. Ciężkim krokiem człowieka wyczerpanego troską podszedł do biurka i opadł na stojący przed nim fotel. Widząc, że nie pozbędzie się gościa, pan Sheridan obszedł biurko, by zająć miejsce po przeciwnej stronie.

Staął jak wryty, ujrzawszy mnie koło swoich nóg.

- Kicia! A co ty tutaj robisz?

Hrabia zerwał się jako oparzony, z wielce zmieszaną miną.

- Ścieram kurz, proszę pana - wyjaśniłam, na dowód podnosząc ściereczkę.

- Aha - rzekł z przekąsem pan Sheridan. - Ciągle jakoś przypadkiem znajdujesz się w niewłaściwych miejscach, nieprawdaż?

Ktoś energicznie zastukał w nieodkryte drzwi. Obejrzeliśmy się wszyscy troje. Na progu stał mężczyzna w niebieskim surducie z mosiężnymi guzikami, w skórzanym kapeluszu, uzbrojony w szablę, pistolet i pałkę - bez wątpienia policmajster z magistratu.

- Pan wybaczy, że przeszkadzam - zwrócił się z szacunkiem do pana Sheridana - ale doszły nas słuchy, że w budynku może się znajdować osoba poszukiwana.

Hrabia Ranworth drgnął i zerknął zdumiony na dyrektora teatru. Nie był głupcem. Natychmiast domyślił się, że coś tu jest na rzeczy. Pan Sheridan posłał mu uspokajające spojrzenie.

- Czyżby, konstablu? - zdziwił się niewinnie.

- Konstabl Lennox - przedstawił się służbiście funkcjonariusz.

- A zatem: konstablu Lennox. Cóż ja mam z tym wspólnego?

- To, proszę łaskawego pana - płatał się konstabl - że ten stary dziadyga przy drzwiach kazał mi iść do pana po pozwolenie na rewizję.

- A więc nie ma pan nakazu rewizji z magistratu?

- Nie. - Funkcjonariusz kaszlnął nerwowo. - Pomyślałem sobie, że to doniesienie, anonimowy list, to zbyt błaha poszlaka, żeby zawracać głowę panu sędziemu.

Byłam pewna, że list wyszedł spod brudnej łapy Marchmonta! W duchu skłęłam go, na czym świat stoi.

Pan Sheridan przeszedł się parę razy po pokoju.

- Ale ta błaha poszlaka wystarczy, żeby poprzewracać wszystko do góry nogami w moim teatrze?

- Nie miałem wcale takiego zamiaru, proszę łaskawego pana. Ja tylko...

- Pan tylko przeszkadza w pracy mojej służącej. Biegnij, Kiciu. Na pewno masz jakąś bardzo ważną robotę.



Pan Sheridan wypchnął mnie za drzwi. Słusznie się domyślił: pognałam prosto do pokoiku Janka.

Lekceważąc wywieszkę na drzwiach, wpadłam jak burza, aż Janek z zaskoczenia rozlał atrament na rysunek, nad którym właśnie pracował.

- Na litość boską, Kiciu! Patrz, co zrobiłaś! - zdenierwował się.

- Mniejsza o to! - wysapałam. Wcisnęłam mu na głowę czapkę i pociągnęłam go do drzwi. - Konstabl tutaj jest! I twój ojciec też!

- Mój ojciec przyszedł po mnie z konstablem? - zdumiał się Janek, zrozumiałwszy wszystko całkiem opacznie.

- Nie, głupku, przyszli oddzielnie. Ale lepiej stąd zmykaj.

Janek sięgnął po przybory do rysowania.

- Zostaw, zostaw, ja się tym zajmę. Tylko tego brakuje, żeby złapali cię z narzędziem zbrodni!

- Dokąd mam uciekać? - spytał oszołomiony, naciągając surdut.

- Biegnij do rzeźnika na ulicę Łuczniczą. Spytaj o Syda. Powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem. Przyślę ci wiadomość, gdy droga będzie wolna.

- Na Łuczniczą? To przecież rejon najbardziej zagrożony!

- Właśnie! Ostatnie miejsce, gdzie będą cię szukać.  
A teraz spiesz się!

Wypchnęłam Janka na korytarz i patrzyłam, jak pędzi na oślep, zderzając się po drodze z panem Bishopem.

- Co go napadło? - zagadnął mnie zdziwiony pan Bishop.

- Dostał nagłe wezwanie. Od umierającego wuja - zmyśliłam naprędce.

Pan Bishop pokiwał smutno głową.

- Przypomina mi się nieboszczka żona. Nie dotarłem do niej na czas, przed śmiercią, ale ponoć pytała o mnie, jak już urodziła. Dziecka nawet nie zdążyła zobaczyć...

- Współczuję panu - przerwałam. Nie było czasu na rodzinne sentymenty. - Muszę teraz posprzątać w pokoju Janka.

- Racja, racja, Kiciu, zadbaj o to, żeby mu tu było dobrze.

To rzekłszy, pan Bishop poczłapał w swoją stronę, bardziej na szczęście zaprzątnięty wspomnieniem zmarłej

przed wielu laty żony niż dziwnym zachowaniem suflera.

Zamknęłam drzwi i zaczęłam usuwać dowody sekretnej działalności Janka. Po podłodze walało się mnóstwo próbných szkiców, które, nie oglądając się na nic, wrzuciłam szybko do kominka. W korytarzu za drzwiami słychać już było jakieś głosy.

- Dlaczego najpierw tutaj, konstablu? Co ma z tą sprawą wspólnego mój sufler?

- Mam nadzieję, że nic, łaskawy panie. Mój informator radził tylko, bym zaczął od pana Smitha, który zapewne będzie u siebie.

Stali już pod drzwiami. Zgarnęłam z biurka szkic, nad którym Janek przed chwilą pracował, i wsunęłam go za gorset. Drzwi się otworzyły.

- Co tu robisz, dziewczynko? - spytał podejrzliwie funkcjonariusz, widząc mnie klęczącą obok buzującego kominka.

Wstałam.

- Dokładam tylko do ognia, proszę pana. - Dygnęłam grzecznie.

- Mówiłem już panu, że mój personel ma pełne ręce roboty - burknął pan Sheridan.

Konstabl był jednak nie w ciemną bity. Podeszedł wprost do kominka i wyciągnął z ognia nadpalony karton, na którym widać było zamazany fragment karykatury z bulwiastym nosem.

- A to co? - spytał mnie surowo. - Dlaczego wrzuciłaś to do ognia, dziewczynko? Czyżby ktoś tutaj rysował?

- Tak, proszę pana - potwierdziłam nerwowo, mnąc skraj fartuszka. Widziałam, że pan Sheridan daje mi zza pleców konstabla rozpaczliwe znaki, żeby nie mówiła nic więcej, ale ja przecież wiedziałam, co robię. - Ja, proszę pana. Pobieram lekcje rysunku, tylko że jeszcze nie za dobrze mi wychodzi i...

Przerwał moje dukiwanie gniewnym machnięciem kartką.

- Lekcje rysunku? Kto to widział, żeby służąca pobierała lekcje rysunku? - wykrzyknął.

Spojrzałam na pana Sheridana. Musiałam teraz wspiąć się na wyżyny aktorstwa równe kunsztowi pani Siddons i wiarygodnie odegrać skruchę.

- Bardzo przepraszam pana dyrektora - chlipnęłam, ocierając oko rąbkiem fartuszka. - Rysowałam tu sobie dla wprawy. - Na dowód wyciągnęłam portret Juliusza

Cezara, który wraz z innymi swoimi próbkami trzymałam w pudle pod łóżkiem Janka. - Pan Smith niedowidzi, więc nie był świadom tego, co robię w jego pokoju. Błagam, niech pan potrąci mi z pensji za zużyty papier, ale niech mnie pan nie wyrzuca z teatru, proszę, proszę!

Z pensji? O pensji mogłam tutaj tylko pomarzyć. Musiałam się zadowolić dachem nad głową i utrzymaniem. Pan Sheridan spojrział na mnie badawczo.

Dostrzegłam iskierki śmiechu w jego oczach, chociaż starał się przybrać bardzo srogą minę.

- A cóż to ma być, moja panno? - huknął tubalnym głosem.

- Portret Juliusza Cezara, proszę pana. - Znów otarłam oczy fartuszkciem. - Co prawda nos zupełnie mi się nie udał.

- No widzicie, konstablu Lennox: ani śladu satyry politycznej - rzekł jowialnie pan Sheridan, biorąc funkcjonariusza pod ramię. - Niech pan lepiej poszuka kogoś, kto tworzy podobizny postaci bardziej nam współczesnych, a nie sprzed tysiąca ośmiuset lat!

To powiedziawszy, zwinął mój rysunek i wcisnął go w kieszeń.

- Co racja, to racja - przyznał potulnie konstabl. Spróbował jeszcze ratować resztki godności, wyzywając się na jedynej obecnej w pokoju ofercie. - A co do ciebie, pannico, to nie tykaj mi więcej własności swojego pana, bo pogadamy w magistracie!

Zwiesiłam głowę, udając bardzo zastraszoną.

- Dosyć tego, mój dobry człowieku. Z własną służbą rozprawię się sam - oznajmił stanowczo pan Sheridan.

Wyprowadził konstabla z pokoju, lecz hrabia Ranworth jakoś się za nimi nie spieszył. Stał i przyglądał się notatkom poczynionym pismem Janka - nie zdążyłam ich spalić. Hrabia końcami palców pogładził biurko, po czym podszedł do mnie.

- Dziękuję ci, moje dziecko - przemówił głosem schrypniętym z emocji. - Dobrze się spisałaś. - Wcisnął mi w garść suwerena. - A jak spotkasz mojego syna, powiedz mu... powiedz mu, że staruszek bardzo za nim tęskni, zrobisz to?

### SCENA 3 - NAPAD

Janek wrócił chyłkiem po zmroku i schował się w swoim pokoju. Zastałam go tam siedzącego na łóżku, ze spakowanym tobołkiem u stóp. Wszystkie ślady pracy zdążył już usunąć.

- Proszę, to jedno udało mi się ocalić - powiedziałam, wręczając mu wyciągnięty zza gorsetu szkie.

Nawet na niego nie spojrział, tylko wstał i wrzucił kartkę do ognia. Papier zajął się natychmiast, zwijając się po brzegach i miotając niczym dusza na mękach wśród żarłocznych płomieni.

- Dość tego - oświadczył ponuro Janek. - Kapitan Iskra zakończył żywot. A Jonatan Smith udaje się na nowe pastwiska.

- Naprawdę wyjeżdżasz? - spytałam, siadając na opuszczonym przez niego miejscu. Spojrzałam na lichy tobołek: niewiele tego było jak na hrabiowskiego syna. - A ja myślałam, że... zdawało mi się, że twój ojciec jest gotów przyjąć cię z powrotem do domu. Był smutny. Tęskni za tobą.

Janek westchnął.

- A ja za nim. Zgodził się jednak z Sheridanem, że najlepiej teraz będzie dla mnie wyjechać na parę lat, aż ucichnie szum wokół Kapitana Iskry. Ma też nadzieję, że czas złagodzi moje buntownicze poglądy. - Zaśmiał się wyzywająco. - I że dojrzeję wreszcie do podjęcia swoich właściwych zadań i obowiązków.

- Chcesz więc natychmiast jechać do Ameryki?

- Jeśli tylko zdołam załatwić sobie bezpieczną przeprawę.

- Może panicz Franciszek znajdzie coś odpowiedniego - rzekłam z nikłą nadzieją, że Janek odroczy swój nagły zamiar i zmieni zdanie.

Miałam wrażenie, że da się jeszcze przekonać. Mimo że popierałam jego poglądy, szaleństwem wydawało mi się to, że Janek odrzuca życie w luksusie, jakie czekałoby go, gdyby pozostał tu na miejscu i skorzystał z prawa dziedziczenia. Ja w jego sytuacji nie byłabym chyba taka nieugięta.

- A co tutaj może pomóc panicz Franciszek? - mruknął Janek.

Najwyraźniej miał tego wieczoru skłonność do pesymistycznych myśli.



- Zdziwiłbyś się, bo panicz Franciszek wie o Londynie znacznie więcej, niż sądzisz, dzięki dość szczególnej edukacji, którą ostatnio pobiera.

Janek uśmiechnął się półgębkiem.

- Tak też myślałem, Kiciu. Sprowadzasz książęcego syna na manowce. Wątpię, czy jego ojciec by to pochwalił, ale moim zdaniem robisz bardzo dobrze. - Sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął przyniesione przeze mnie pieniądze z lombardu. - Weź je z powrotem. Ja ich nie potrzebuję. Powiedz jej, że stokrotnie dziękuję, ale mój wyjazd z kraju finansuje rodzina Ranworthów.

Wzięłam pieniądze.

- Tylko tyle?

Wydawało mi się, że to mało jak na pożegnanie zakochanych przed wieloletnią rozłąką. W każdym razie nie tak wyglądały rozstania na scenie. Jankowi przydałoby się parę lekcji w szkole romansów.

- A co więcej jest do powiedzenia?

- Nie poprosisz jej chociaż, żeby na ciebie czekała? Nie obiecasz, że każdego dnia o stałej godzinie będziesz wpatrywał się w jej konterfekt, aby ona mogła wówczas tak samo wpatrywać się w twój? Nie prześlesz jej jakiejś

pamiętki, pukla włosów na przykład, który mogłaby nosić w medalionie na piersi? Nie przysięgniesz, że twoja miłość przetrwa wieki?

Pokręcił smutno głową.

- Jedną z rzeczy, których się nauczysz, kiedy dorosisz, Kiciu, jest to, że wszyscy się zmieniamy. Nie śmiałbym prosić szesnastoletniej panny, aby na mnie czekała - to byłoby nie fair. Kto wie, jakie będą nasze myśli i uczucia za kilka lat? Jakież ja dom mogę jej zaoferować?

Był wyjątkowo niepojętym uczniem Kupidyna. Przygnębienie nie pozwalało mu stanąć na wysokości zadania. Nie była to jego wina: opuszczał przecież wszystkich, których kochał, wyruszał do życia wśród obcych, porzucając to, co dotąd było pewne w jego życiu. Na dodatek miał po raz pierwszy znaleźć się na własnym utrzymaniu. Mimo radykalnych poglądów o równości i braterstwie musiało to stanowić dość przerażającą perspektywę dla młodzieńca wyrosłego w świecie przywilejów. Co innego głosić poglądy, a co innego je praktykować. Chociaż zdolności gwarantowały mu lepszy start niż komukolwiek z nas, o czym sam chyba nie wiedział.

- Nie zamartwiaj się tak strasznie, Janku. Poradzisz sobie świetnie, musisz tylko zacząć. Masz nadzwyczajny talent. Jestem pewna, że stworzysz panience Elżbiecie wspaniały dom, gdy zdobędziesz sławę za oceanem. - Sądząc, że przyda mu się jeszcze jedna praktyczna rada, zniżyłam głos: - A gdy zabraknie ci pieniędzy, możesz zawsze oddać w zastaw diament. Pan Sheridan nawet się o tym nie dowie. Rozkręcisz własny interes, zarobisz na nim i wykupisz diament z powrotem.

- To będzie trudniejsze, niż przypuszczasz - odpowiedział.

Podszedł do biurka, wyjął z szuflady dwa pistolety i dorzucił do tobołka.

- Dlaczego? Gdyby pan Sheridan zażądał diamentu z powrotem, samo jego żądanie będzie wędrowało do Ameryki parę miesięcy. Masz więc mnóstwo czasu. To przecież nie kradzież.

- Nie to miałem na myśli - roześmiał się. - Ten diament nie nadaje się do zastawienia.

Wziął z biurka garść piór i po sprawdzeniu stalówek schował je do kieszeni surduta.

- Jak to nie?

- Bo widzisz, to właściwie nie jest diament.

Nic nie rozumiałam. Po minie Janka poznałam tylko, że coś przede mną ukrywa. Spojrzałam nagle na pióro, które trzymał w ręce: stalówka błyszczała niczym szczerzy klejnot... I wtedy pojęłam. Oczywiście! Janek był Kapitanem Iskrą! To on był ukrytym klejnotem!

- Ty sam jesteś diamentem, tak, Janku? Nigdy nie było tutaj żadnego klejnotu, a pan Sheridan rozmawiał z Marchmontem o tobie, wtedy wieczorem, kiedy do nas przyszedłeś?

Pokręciłam głową, zdziwiona, że tak późno zrozumiałam to, co teraz wydawało mi się oczywiste. Diament powstał w mojej fantazji, a pan Sheridan podtrzymywał tę fantazję, aby odciągnąć moją uwagę od rzeczywistego skarbu.

Janek przysiadł obok mnie na łóżku i wziął mnie za rękę.

- Ciekaw byłem, kiedy na to wpadniesz, Kiciu. Wiele razy sam chciałem ci powiedzieć. Uważałem, że powinnaś znać prawdę w razie kłopotów z bandą Shepherdą. Ale trudno rozwiązać iluzję, w którą ktoś wierzy tak mocno, jak ty wierzyłaś w diament.

- Co za ślepotą z mojej strony.
  - Nie miej do siebie pretensji. Podsycaliśmy twoją iluzję, Sheridan i ja. Z początku dlatego, że nie byliśmy pewni, czy można ci ufać. Ceną za naszą nieufność okazało się twoje skaleczone ramię i straszna noc w Kolonii Gawronów. Tyle przynajmniej dobrego z mojego wyjazdu, że moi wrogowie przestaną cię nękać.
  - Ale ja nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Janku - zapewniłam go żarliwie. - Wolę całe życie spędzić na bronieniu cię przed napastnikami, niż nigdy więcej cię nie widzieć! Zostań, proszę. Będę się tobą opiekować.
- Zmierzwiał z czułością moje włosy.
- Sama w głębi duszy wiesz, że to przekracza twoje możliwości, Kiciu. Nie obronisz mnie nawet tu, w Drury Lane. A poza tym jestem pewien, że kiedyś znów się spotkamy, tutaj albo w Ameryce. Minie może parę lat, ale tak będzie. Może zostaniesz do tego czasu słynną pisarką i wyruszysz z cyklem spotkań autorskich do byłych angielskich kolonii, a ja ustawię się w kolejce po twój autograf? Zobaczysz przed sobą obdartego starszaka, ściskającego w dłoniach twój bestseller, i wyda ci się on dziwnie znajomy...

Niezbyt mi się podobała ta wizja.

- Nie, widzę to zupełnie inaczej. Raczej ja przyjadę do Filadelfii, a tam będzie się właśnie odbywała twoja wystawa, pod hasłem: oto człowiek, który zmienił bieg historii i rzucił na kolana koronowane głowy Europy! Przejdziesz obok mnie w powozie zaprzężonym w cztery konie, a tłum będzie wiwatował na twoją cześć. A potem zostaniesz wybrany na prezydenta!

Chciałam go rozweselić, a tymczasem słowa moje odniosły całkiem przeciwny skutek.

- Szczerze wątpię, aby lord renegat trafił w gust Amerykanów. Oni wolą bohaterów własnego chowu. - Westchnął i spojrzał na splamione atramentem palce. - Dla mnie nigdzie nie ma miejsca, Kiciu. Ani w domu ojca, ani tutaj, ani w Ameryce.

Jego melancholia była zaraźliwa: dość przygnębiona powróciłam do Jaskółczego Gniazda, gdzie natychmiast ukryłam pieniądze pod poduszką. Nie od razu rozebrałam się do spania. Siadłam przy oknie i zapatrzyłam się w gwiazdy, rozmyślając o tym, co powiedział Janek: że

wszyscy zmieniamy się z czasem. Nie musiałam wcale czekać, aż dorosnę - już teraz wiedziałam, że w życiu jest niewiele trwałych rzeczy. Żadna z osób, które się o mnie troszczyły, nie była ze mną długo: ani matka, ani ojciec, ani stary sufler, który tak wiele mnie nauczył - a teraz odejdzie także Janek. Nawet tego schronienia na poddaszu teatru nie otrzymałam na zawsze. Każdy musi się kiedyś w końcu wyprowadzić.

Rumor na schodach sprawił, że podskoczyłam jak oparzona.

- Cicho bądź, Befszytk! - syknął ktoś. - Jeszcze cię usłyszysz!

Banda Billy'ego włamała się do teatru. Szli po mnie! Błyskawicznie otworzyłam okno, klnąc pod nosem na trzask jego skrzydła o framugę, i wygramoliłam się na dach. Była to ostatnia droga ucieczki, z której korzystałam, gdy pani Reid ścigała mnie za jakieś przewinienie - jednak nigdy jeszcze nie robiłam tego w nocy, zwłaszcza przy oblodzonym dachu.

Drzwi Jaskółczego Gniazda rozwarły się z hukiem i, przyczajona pod parapetem, usłyszałam dudniące kroki na podłodze.

- Nie ma jej - odezwał się Befszytk, który sprawdził moje legowisko na starej kozetce.

- Za to jest tu coś innego! - obwieścił radośnie Ospowaty, gdy na podłogę potoczyły się z brzękiem monety, całe czterdzieści gwinei. Zakląłam pod nosem, słysząc, że bandyci rzucili się je zbierać. - Nie wiedziałem, że kocica jest taka nadziana!

- Ha, ha, ha! No i już nie jest! - zarechotał głupkowo to Befszytk.

Odgłosy przesuwanych drzwi od szafy i przewracanych wieszaków na kostiumy świadczyły o tym, że nadal mnie szukają.

- Hej tam, kici-kici! - nawoływał mnie Ospowaty.

- Chodź no tu do wujaszka. Ktoś bardzo niecierpliwie na ciebie czeka!

Skuliłam się, dygocąc z zimna i modląc się, żeby żadnemu nie przyszło na myśl wyrzeć przez okno.

- Na nic. Nie ma jej tutaj - oznajmił w końcu Befszytk.

- Dobrze, że chociaż pan Pif-Paf się nie wywinął - powiedział Ospowaty. - Billy nie będzie się przejmował płotką, jak ma w garści grubą rybę. Lećmy tam, zanim zaczniesz się zabawa.



Kroki oddaliły się w dół po schodach. Nie ruszałam się jeszcze, wstrzymując oddech. Cisza. Wyprostowałam się powoli, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć. Przyszli tutaj po diament. Dopadli Janka i teraz będą chcieli od niego wyciągnąć, gdzie jest schowany nieistniejący klejnot. Co robić? Biec po pomoc? Do kogo? Do pana Sheridana? Mieszkał za daleko. Na posterunek? Przecież prędzej zaaresztują Janka, niż mu pomogą. A więc do Syda? Tak, Syd był moją jedyną nadzieją.

Wdrapałam się z powrotem do pokoju. Wyglądał, jakby przeszedł po nim huragan. Pani Reid nie będzie tym zachwycona. Na palcach podeszłam do drzwi i nadstawiłam ucha. Cisza. W samych pończochach zesłam na dół po drewnianych schodach, pamiętając, żeby przeskoczyć przedostatni stopień, który głośno skrzypiał. Słyszałam łomotanie własnego serca i świst oddechu - a po chwili dobiegły mnie z głębi domu czyjeś głosy. Dochodziły chyba z pokoju Janka. I tak musiałam minąć jego klitkę, aby przedostać się do tylnego wyjścia z teatru. Trzymając się w cieniu, minęłam Salę Zieloną. Zbliżałam się do odgłosów kłótni. Widziałam już, że u

wejścia do pokoju Janka tłoczy się kilka osób. Jedna z nich odwróciła się - Ospowaty! - lecz zdążyłam przykucnąć za opartą o ścianę korytarza kotwicą. Stojący w drzwiach zajęci byli zresztą tylko tym, co działo się w pokoju. Przemykając się dalej, pożałowałam, że mam na sobie spódnicę, która szeleściła przy każdym kroku. Znalazłam się tuż za plecami Befszyka - czułam nawet smród jego potu. Nachylił się, żeby powiedzieć coś Ospowatemu, i wtedy ujrzałam Janka: związany, leżał na wznak na łóżku. Na biurku siedział Billy, kręcąc na palcach pistolety. Tchórzofretka przeczesywał szuflady i szarki. Nawet tobolek Janka został rozwiązany, a zawartość rozsypana po podłodze.

- Nienabite? - spytał spokojnie Billy, przyglądając się z lubością pistoletom. - A więc mogłem obedrzeć kocięcę ze skóry? Na szczęście nigdy nie jest na to za późno. Przyjdzie i na nią czas.

- Czujesz się wielki i silny, no nie, Shepherd, napadając na małą dziewczynkę? - rzekł do niego z pogardą Janek.

Gdybym tylko mogła, poradziłabym mu, żeby nie drażnił Billy'ego. Skutek był natychmiastowy. Billy rąbnął

swojego więźnia w twarz kolbą pistoletu. Po czym zwrócił się do Befszyka:

- Weźcie go na scenę. Zaraz rozegra się przedstawienie mojego życia: wytłukę z niego prawdę o tym, gdzie trzyma diament. Tutaj za ciasno: kota za ogon by nie obrócił - chociaż może spróbujemy tego później, jak zjawi się ta mała, co, chłopaki? - zarechotał, ubawiony własnym dowcipem.

Banda odpowiedziała lizusowskim śmiechem, a ja za drżałam.

Wychodzili już z pokoju. Musiałam się schować. Ale co z biednym Jankiem? Przecież nie mogę go tak zostawić! Po kolei: najpierw sama muszę zniknąć z widoku. Nie przysłużę się Jankowi, jeżeli dam Billy'emu okazję do zrealizowania pogroźek pod moim adresem.

Jak najciszej pobiegłam korytarzem do składu scenografii za kulisami. Pod ścianą stało laboratorium czarnoksiężnika, naprawiane ostatnio przez stolarza od pana Bishopa. Wdrapałam się na tę drewnianą konstrukcję i wymacałam po ciemku guzik otwierający sekretną komorę. Jest! W sztucznym kominku, po lewej stronie od kociołka, ukazała się ciasna nisza, nie większa od szafki krawieckiej pani Reid. Wcisnęłam się tam,

zasuwając za sobą drzwiczki, lecz w tym samym momencie z półki laboratorium spadła butelka, rozbijając się z brzękiem o podłogę.

- Słyszeliście? - zaniepokoił się Tchórzofretka, wbiegając na scenę.

- To gdzieś tam - wskazał ręką Billy. - Sprawdźcie.

- A może to ten stary, co pilnuje drzwi? - odezwał się Ospowaty.

- Ten już ani zipnie. Związałem go - powiedział Tchórzofretka.

Latarnie rozświetliły mrok za kulisami: Ospowaty z Tchórzofretką przyszli szukać źródła hałasu. Coś zaszurało ciężko po podłodze: przez szparę dojrzałam Befsztyka wlokącego na scenę Janka. Billy stał pośrodku sceny, z wzniesioną wysoko pochodnią, i spoglądał na pustą widownię. Nad jego głową bujał, kołyszany przeciągiem, balon z wieczornej farsy.

Billy westchnął z głęboką satysfakcją.

- Wiecie, chłopaki, zawsze chciałem wystąpić na scenie - i wreszcie mam szansę.

Do mojej kryjówki zbliżały się czyjeś kroki: całe laboratorium czarnoksiężnika zaklekotało, gdy wskoczył na nie Ospowaty.

- Billy, to tu! - wrzasnął, stojąc parę kroków od mojej kryjówki. - Pełno rozbitego szkła!

- To pewnie wiatr - podsunął niezbyt pewnie Tchórzofretka.

- Jaki wiatr, zakuta pało? - zgasił go Billy. - Nie... czuję raczej szczura... a może kota? Szukajcie jej!

Ospowaty rzucił się między elementy scenografii pod ścianą. Tchórzofretka, okazując nagle inteligencję, o jaką go nie posądzałam, zaczął opukiwać puste ściany tekturowych wież i budynków. Modliłam się po cichu, żeby okazało się, że stolarz zdążył już naprawić przycisk mojego schowka - tego tylko brakowało, żeby się znieacka samoczynnie otworzył!

Puk, puk, puk! Tchórzofretka był tuż obok. Łup, łup, łup! Butelki, jedna za drugą, spadały z półek, rozpryskując się na podłodze. Robiły taki rumor, że Tchórzofretka nie dostyszał dziwnego echa, jakie dobyło się ze schowka, gdy załomotał w przesłonę.

- Nikogo tu nie ma, Billy - krzyknął Tchórzofretka do swojego wodza. - Nawet jak przedtem była, to uciekła.

- Dobra, to dajcie już sobie spokój. Zaczynamy przedstawienie.

Tchórzofretka i Ospowaty wyszli na proscenium, zabierając latarnie. Pojawiła się dla mnie szansa ucieczki.

- No i co, panie Pif-Paf? - zagadnął szyderczo Billy, chwytając Janka za włosy. - Czy będę miał przyjemność spuścić ci długie i bolesne lanie, czy też powiesz mi, gdzie jest schowany diament?

- Diament? Jaki znów diament? - parsknął z furją Janek. - Nie ma żadnego diamentu.

Billy puścił jego włosy. Cofnął się o krok, zaplótł dłonie i wygiął je, aż kostki strzeliły niczym pistolety.

- No dobra. Liczyłem na taką odpowiedź.

Odwrociłam oczy, ale po wstrętnym odgłosie ciosów gołą pięścią poznałam, że bicie się rozpoczęło.

Nie było czasu do stracenia. Musiałam sprowadzić pomoc. Wymknęłam się ze schowka i przebiegłam na palcach do wyjścia dla aktorów, nie zwracając na siebie uwagi nikogo z bandy. W progu, z pałą w garści, leżał Caleb. Przyklęłam tuż obok niego i sprawdziłam, czy żyje. Oddychał, chociaż był cały zimny.

Nagle usłyszałam szmer od strony ulicy. Czyjaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. Obróciłam głowę i

ugryzłam tę dłoń z całej siły, na co rozległ się cichy okrzyk.

- Do diaska, Kiciu! - Pedro machał obolałą ręką. - Dlaczego to zrobiłaś? Co tu się dzieje? Czemu Caleb leży na ziemi?

Mogłam go zdrowo zwymyślać za to, że napędził mi strachu, ale doszłam do wniosku, że ugryzienie to wystarczająca kara.

- Banda Pryszcza jest w teatrze. Mają Janka. Próbują go zmusić do mówienia - do ujawnienia, gdzie jest ukryty diament.

Nie zdążyłam wyjaśnić, że diament istniał tylko w mojej fantazji, bo nagle uderzyła mnie pewna myśl. Spojrzałam w głąb korytarza nad ramieniem Pedra. Co on właściwie tutaj robił? Nie był chyba w zмовie z gangiem Billy'ego? Odsunęłam się.

- Skąd się tu wzięłaś? Jest z tobą Syd albo któryś z jego chłopaków? - spytałam podejrzliwie.

- Nie, wracam od Franka. Załatwił podróż dla Janka... o ile uda nam się go stąd wydostać.

Moje podejrzenia nieco przycichły, jednak pozostała niemiła prawda, że jest nas tylko dwoje przeciwko czterem.

- Biegniemy po Syda? - spytałam.

Pedro z wahaniem przestępował z nogi na nogę. Od strony sceny dobiegł nas okrzyk bólu i coś głośno chrupnęło - miałam tylko nadzieję, że to nie noga Janka.

- Nie ma czasu - odparł Pedro. Ręka, którą mi podał, pomagając wstać, lekko drżała. Pedro wyglądał na równie przerażonego jak ja. - Masz jakiś inny pomysł?

Zastanowiłam się.

Czy Pedro aby nie zastawia na mnie pułapki? Znow wrzask bólu ze sceny. Nie mogłam sobie pozwolić na dalsze rozterki. Musiałam jak najprędzej pomóc Jankowi, a do tego potrzebny mi był Pedro - trzeba mu zaufać. Przecież u siebie w domu powinnam jakoś dać radę tym zbójcom o kurzych mózdkach. Przynajmniej z pomocą Pedra.

- Mam, ale to jest większa sztuka - odrzekłam i przedstawiłam mu swój pomysł.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami w ciemnej twarzy.

- Genialne: wprowadź mnie tylko w tajniki urzędowania.



Po krótkim instruktażu zarządzania maszyną sceny Pedro oświadczył, że jest gotów.

- Tylko pamiętaj, nie za wcześnie, dopiero jak zobaczysz ich na miejscu. Biały krzyżyk, nie zapomnij! - ostrzegłam go szeptem.

Pedro już przemykał się ostrożnie pod ścianą za kulisy.

- Nie zawiedziesz mnie, prawda?

- Jasne, że nie. Powodzenia! - szepnął przez ramię i ścisnął mnie za rękę.

Wzięłam głęboki oddech, niczym stremowana debiutantka, i wkroczyłam na scenę. Moje życie zależało teraz od chłopca, którego przez ostatnich parę dni podejrzewałam o zdradę.

- Hej, Billy! Szukałam cię! - zawołałam śmiało.

Moje nagłe zjawienie się tak zdumiało wszystkich pięciu, że zamarli w bezruchu - Janek, naturalnie, nie miał innego wyjścia, gdyż był związany. Krew ciekła mu z nosa, a lewe oko było podbite i już opuchnięte. Wydawał się ledwo żywy. Billy stał nad nim z uniesioną pięścią. Obok sterczeli trzej członkowie bandy: Befsztyk z założonymi rękami, Tchórzofretka z wyciągniętą szyją, żeby lepiej widzieć, i Ospowaty bawiący się nożem, z

wyraźną nadzieją, że będzie miał okazję go użyć przeciwko ofercie. Billy opuścił pięść.

- Kicia! - jęknął rozpaczliwie Janek.

Pocieszał się widocznie tylko myślą, że zdołałam uciec.

- Ależ to moje małe kociątko! - ucieszył się Billy, podwijając rękawy na szczupłych, muskularnych rękach.

- Ja też ciebie szukałem. Byłem pewien, że gdzieś tutaj się kręcisz.

Dał znak Befszytkowi, który natychmiast ruszył ku mnie, żeby mnie złapać.

Wyciągnęłam ręce w obronnym geście.

- Hola, hola! Nie ma chyba takiej potrzeby między przyjaciółmi? - spytałam, siląc się na beztroski ton, który zamaskowałby mój strach. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że zrobiłam to, o co mnie prosiłeś. Mam dla ciebie diament.

Billy powstrzymał gestem Befszytka i pokiwał na mnie palcem.

- No to bądź grzeczną dziewczynką i go tu przynieś - odezwał się, szczerząc popsute zęby.

- Nie jestem taka głupia, Billy. Małe dziewczynki nie ufają takim dużym chłopcom jak ty - odparłam,

ujmując się pod boki i wciąż zachowując dystans. - Skąd miałam wiedzieć, czy ty dotrzymasz umowy ze swojej strony? Nie zdziwi cię chyba to, że na wszelki wypadek odłożyłam diament w bezpieczne miejsce.

Billy nie był w nastroju do żartów. Podszedł do mnie i złapał mnie mocno za łokieć. Siłąc się na jak największą naturalność, pociągnęłam go za sobą w głąb sceny, ku wymalowanemu na deskach białemu krzyżykowi. Kumple Billy'ego postępowali za nami zwartym szykiem i też zatrzymali się na właściwym polu. Dlaczego więc Pedro nie robi tego, co powinien teraz zrobić?

- Jakiej umowy? - spytał Billy z groźną nutką w głosie. - Zaraz się przekonasz, że między tobą a mną nie ma żadnych umów!

- A moja sukienka? - spytałam, strojąc kapryśne minki i zerkając ukradkiem za kulisy, gdzie powinien być stać Pedro. - Obiecałeś mi sukienkę! Nie pozwolisz chyba, żeby twoja dziewczyna chodziła po ulicy ubrana jak strach na wróble?

Billy pojął, o czym mówię. Uśmiechnął się dwuznacznie i puścił mój łokieć. Dla odmiany objął mnie

ramieniem, co było gorsze niż poprzednie, wrogie gesty.

- Moja dziewczyna, hę? A więc w końcu przejrzałaś na oczy, Kiciu? - Przycisnął mnie do siebie. - No, jak mi przyniesiesz diament, to przyjmę cię do gangu i kupię ci sukienkę - jedwabną. Chcesz coś jeszcze?

Zerknęłam na Janka, który obserwował mnie z rosnącą zgrozą. Domyślił się na pewno, że to jakiś podstęp, ale był pewien, że źle skalkulowałam swoje szanse. Miałam nadzieję, że jednak się myli. Tylko co Pedro robił tak długo?

- A nie martwisz się o swojego przyjaciela? - zagadnęła Billy.

Sprawdzał mnie, to było jasne.

- Och, on wcale nie jest moim przyjacielem - odparłam, wzruszając ramionami. - Chciał mnie rzucić i uciec do Ameryki! Ładny mi przyjaciel!

- Zuch dziewczyna! - pochwalił mnie Billy. - Dobrze, że tak mówisz, bo nie można go teraz puścić wolno, skoro wie, że mamy kamyk. No to sprawa jasna, dawaj go.

- Nie mogę, jeszcze nie teraz - wymawiałam się pośpiesznie. - Ja go oddałam w zastaw.

Pogrzebałam w kieszeni i wyciągnęłam kwit od pana Vaughana.

Billy rzucił okiem.

- Tu stoi: klejnoty, złoto i takie tam. O żadnym diamentcie ani słowa.

- Bo zaniiosłam go razem z innymi rzeczami, które zwędziłam - skłamałam naprędce. - Żeby nie rzucał się zanadto w oczy. Dogadałam się z panem Vaughanem.

- Zdumiewasz mnie, Kiciu! O Vaughanie już słyszałam, że to swój chłop. No więc na co czekamy? Chodźmy odebrać skarby. Vaughan na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby otworzyć lombard dla tak specjalnej klienteli.

- Może i nie - przyznałam, wzruszając lekko ramionami. - Ale najpierw muszę dostać z powrotem swoje czterdzieści funtów.

Schowałam kwit do kieszeni.

- Czterdzieści funtów? Jakie czterdzieści funtów?

Billy znowu wpadł w złość. Ścisnął mnie tak mocno, że aż zabołało.

- Zapytaj Befsztyka i Ospowatego - odrzekłam spokojnie.

Billy odwrócił się do swoich chłopaków.

- To prawda? Macie forszę?

- No bo, Billy, my... tego... widzisz... - plątał się Ospowaty, grzebiąc w kieszeni. - Chcieliśmy ci powie-  
dzieć później, no nie, Befszytk?

- Że co? - spytał Befszytk z tępą miną.

- Oddawajcie! - warknął Billy, wrywając im pie-  
niądze z garści. - Potem się z wami rozprawię.

Zaczął liczyć złote monety.

- Pomogę ci, Billy - zaproponowałam z wymuszo-  
nym przymilnym uśmiechem.

Uniosłam w górę latarnię i udając, że jest dla mnie za  
ciężka, zatoczyłam się parę kroków na bok.

Billy uśmiechnął się wyrozumiale, widząc moją rze-  
komą słabowitość, ale podszedł bliżej do światła: obiema  
stopami stał teraz dokładnie na białym kredowym krzy-  
żu.

Ledwie się tam zatrzymał, Pedro uwolnił balon i po-  
ciągnął za dźwignię zapadni umieszczonej pośrodku sce-  
ny. Ziemia rozstąpiła się pod Billym. Zaklął szpetnie i  
uchwycił się tego, co miał najbliżej w zasięgu ręki - czyli  
mojej spódnicy, pociągając mnie za sobą w otchłań. Zdą-  
żyłam jednak odrzucić latarnię i złapać się krawędzi

zapadni. Spódnica nie wytrzymała i rozdarła się, a Billy runął na dno czarnej dziury, porywając w zaciśniętej garści znaczny kawał mojej garderoby. Zapadnia, która na spektaklach służyła zwykle do strącania Szatana do piekła, porwała oto nowego diabła do krainy podziemi.

Równocześnie na scenę opadł z hukiem balon, przygniatając Befsztyka, Ospowatego i Tchórzofretkę, którzy legli plackiem pod koszem, niczym żuki pod butem olbrzyma.

Pedro podbiegł i wyciągnął mnie z zapadni. Z dołu dobiegały przekleństwa Billy'ego - a więc nie skrzył sobie karku. Szkoda.

- Prędko, musimy się spieszyć - powiedział Pedro, rozsypując więzy Janka. Uwolniony z pęt Janek zwiotczał jak szmaciana lalka - nie był zdolny wstać o własnych siłach.

Przygniecenii koszem balonu bandyci próbowali się wydostać. Befsztyk już zdołał uwolnić stopę. Podparłam Janka z jednej strony, Pedro z drugiej.

- Już się bałam, że nigdy nie pociągniesz tej cholernej dźwigni! - wyrzucałam Pedrowi, gdy stawialiśmy Janka na nogi.

- Przecież kazałaś mi czekać, aż ustawią się wszyscy razem! - obruszył się Pedro.

- Wystarczyło załatwić tych trzech. Wyglądało mi na to, że Billy nigdy nie stanie na krzyżu, a zabrakło mi już pomysłów na zagadywanie go.

- Tobie? Zabrakło pomysłów? Nigdy w to nie uwierzę! - uśmiechnął się Pedro.

Odpowiedziałam mu uśmiechem.

- A teraz dokąd? - wysapałam, gdy dociągnęliśmy Janka do drzwi.

Był dla nas za ciężki - nie dalibyśmy rady holować go dużo dalej.

- Masz może przy sobie jakieś pieniądze? - spytał Pedro.

- Tak - sapnęłam.

W kieszeni miałam przecież suwerena od hrabiego Ranwortha.

- Weźmiemy dorożkę i zawieziemy go na plac Grosvenor. To najbezpieczniejsze miejsce.

Zostałam z Jankiem na rogu ulicy Russella, a Pedro pognął łapać dorożkę. Zrobiło się już późno i ulica była wymarła. Tylko w bramie naprzeciwko stał jakiś człowiek. Coś mi się w nim nie podobało. Jednak, szybciej



niz się spodziewałam, zatętniły końskie kopyta i nadjechała dorożka.

- Pokaż najpierw pieniądze, panienko - zażądał siedzący na koźle woźnica, który wyraźnie nie dowierzał, że Pedra lub mnie stać na luksusową jazdę powozem przez całe miasto. Wyciągnęłam suwerena. Dorożkarz przyjrzał mi się badawczo. - W porządku - rzekł wreszcie. - Wsiadajcie.

Oboje wpełchnęliśmy Janka do powozu.

- A temu co jest? - roześmiał się dorożkarz. - Za dużo wypił?

Na wszelki wypadek nic na to nie odpowiedziałam.

- Zapłacę podwójnie, jak dowieziecie nas na plac Grosvenor w dziesięć minut. Nie zatrzymujcie się nigdzie i dla nikogo - zawołałam tylko.

- Zrobi się, panienko! - odkrzyknął dorożkarz i strzelił z bata. - Mój gniady zaraz pokaże, co to znaczy „szybko”!

Powóz ruszył, kopyta zadzwięczały o bruk. W tej samej chwili z tyłu dobiegł dziki wrzask.

- Stać! - darł się Billy. - Zatrzymać tę dorożkę!

Ale woźnica znał swoje zadanie i smagnięciem bata tylko przynaglił konia do szybszego biegu. Odwróciłam

się, żeby sprawdzić przez tylne okienko, czy Billy nas nie dogania, ale nie miał szans: dokuśtykał tylko do rogu Russella i musiał skapitulować.

Pomachałam mu wesoło.

- Jeszcze cię dorwę, kocico! - wrzeszczał. - Zginiesz marnie!

- Zapomniałeś, Billy, że kot żyje dziewięć razy! - odkrzyknęłam.

Odwrociłam się z promiennym uśmiechem do towarzyszy, ale oni patrzyli na mnie ponuro.

- O co chodzi? - spytałam.

- Dziewięć razy? - wystękał Janek, trzymając się za żebra. - Ty coś za szybko wykorzystujesz swoją normę.

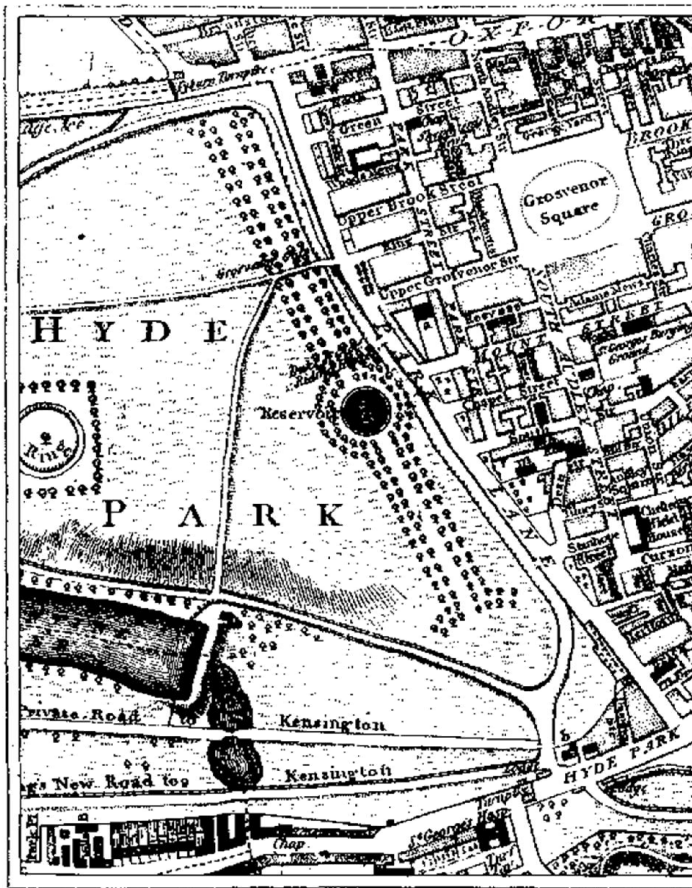
- On ma rację, Kiciu - powiedział Pedro. - Niepotrzebnie drażnisz Billy'ego Shepherd'a.

- Tak jakbym miała jakiś wybór! - oburzyłam się. - Myślicie, że to mi sprawia przyjemność?

- A nie sprawia? - spytał z uśmiechem Janek i zaraz skrzywił się boleśnie, bo powóz trafił jednym kołem w dziurę na jezdni. - Nie było ci przyjemnie zagrać mu na nosie?

- No, może troszkę, odrobinę - przyznałam, nie mogąc powstrzymać triumfalnego uśmiechu.

BOWLES'S NEW PLAN OF LONDON 1790



*Akt V – w którym nasza bohaterka  
przeżywa zaskakujące doświadczenie...*

## Akt V

### SCENA 1 - SUKNIE

**J**anek zdołał już bez pomocy wysiąść z dorożki i przejść do stajni na tyłach rezydencji przy placu Grosvenor. Wpuściliśmy go do otwartego boksu, którego panicz Franciszek używał jako przebieralni, i pomogliśmy mu ułożyć się na słomie. W sąsiednim boksie tupał niespokojnie koń. Z pomieszczeń nad nami dobiegały donośne rozmowy stajennych przerywane odgłosami gry w klipę.

- Co teraz? - spytał Pedro, spoglądając przez zakratowane okienko na dom. We wszystkich oknach płonęły światła - znak, że rodzina księcia jeszcze nie śpi. - Któryś z nas musi tam pójść i znaleźć Franka albo panienkę Elżbietę.

Wymieniliśmy z Pedrem spłoszone spojrzenia, przypomniawszy sobie krewkiego kucharza Francuza i armię lokajów napotkanych tutaj przy okazji naszej ostatniej wizyty.

Byłby to istny cud, gdyby teraz któremuś z nas udało się tam wejść niepostrzeżenie.

Ktoś zaciągał zasłonę w oknie na trzecim piętrze - zauważyłam dziewczęcą rękę.

- Myślisz, że to jej pokój? - spytałam Pedra, trącając go łokciem w bok.

Pokiwał głową.

- Na to wygląda.

- No to ja pójdę - zaoferowałam się.

- Nie, lepiej ja - rzekł Pedro.

- Wykluczone. Muszę pójść ja. Pomyśl tylko, co by to było, gdyby złapali cię przy drzwiach pokoju panienki o tak późnej porze! Zostań tutaj i zajmij się Jankiem.

Pedro uległ, uznając moje racje. Gdyby go przyłapano, ryzykował życie, a w najlepszym razie zesłanie na plantacje na Karaibach. Mnie groziła najwyżej chłosta.

Przebiegłam pędem przez brukowany dziedziniec i wślizgnęłam się tylnymi drzwiami, od kuchni. Życie toczyło się tam w najlepsze: po szczęku naczyń i chlupocie wody poznałam, że trwa akurat zmywanie po kolacji państwa. A więc tym razem nie można było ukryć się

w kuchni. Podkraǳłam się aż pod otwarte drzwi i zapuściłam żurawia do środka. Szef kuchni siedział z nogami założonymi na stół, bełtał czerwone wino w kieliszku i nucił coś pod nosem.

Przemknęłam bezszelestnie na drugą stronę i cichutęńko wspięłam się po schodach aż do obitych zielonym pluszem drzwi, przez które przeprowadził nas niedawno panicz Franciszek.

Przystanąłam. Słysząc było gwar licznych głosów i hałaśliwą krzątanię. Przybyłam akurat w chwili, gdy gościom księcia zachciało się iść do domu. Uchyliłam leciutko drzwi i przez wąską szczelinę ujrzałam sporą grupę dżentelmenów, odbierających płaszcze od dwóch dyżurnych lokajów. Był wśród nich pan Sheridan sięgający właśnie po płaszcz i laseczkę, a także Marchmont senior w towarzystwie hrabiego Ranwortha. Gdyby tak pan Sheridan zechciał spojrzeć teraz w moją stronę! Jakże potrzebowałam jego pomocy! Bardzo pragnęłam mu powiedzieć, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się jego „diament”. Nie mogłam jednak wyjść z ukrycia i ujawnić swojej nieproszonej obecności, gdyż naraziłoby mnie to na zbyt wiele pytań ze strony gospodarza.

Zrozpaczona patrzyłam, jak pan Sheridan odwraca się w przeciwną stronę, żegna księcia i wychodzi.

Nie było mowy o wejściu na piętro, dopóki książę stał na drodze. Zeszłam z powrotem do korytarza na parterze i przystanęłam, żaby pomyśleć, co dalej. Gdzie znajdowały się tylne schody? Musiały przecież takie być, aby służba mogła poruszać się po domu, nie wchodząc państwu w paradę. Jakby w odpowiedzi na moje pytanie, z pomywalni wyszła służąca z dzbankiem parującej wody. Schowałam się za fartuchy wiszące rzędem na haczykach wzdłuż ściany. Służąca minęła mnie i skręciła w lewą odnogę korytarza. Skradałam się za nią. Nagle skręciła ostro w prawo i zniknęła. Poszłam jej śladem - i okazało się, że doprowadziła mnie do poszukiwanych schodów. Tu musiałam się spieszyć: na wąskich schodach nie było żadnej możliwości, by się ukryć. Miałam teraz za zadanie wbiec na nie i schować się, zanim służąca będzie wracała do kuchni.

Wdrapała się ze swoim dzbankiem na trzecie piętro, zatrzymując się tylko raz na podeście, aby poprawić czepeczek, zastukała w drzwi najbliższe schodów i weszła do środka.

- Postaw dzbanek tam, Mary.

Był to głos panienki Elżbiety. Odczułam wielką ulgę, ale nie zapomniałam w samą porę dać nura za bielizniarkę.

Kroki Mary oddalały się coraz bardziej w dół po schodach. Zerknęłam w lewo, potem w prawo - droga wolna!

Puk, puk! Zastukałam cicho do drzwi panienki Elżbiety.

- Proszę! - zawołała.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam jej odbicie w lustrze nad toaletką. Wyglądała przepięknie - jak syrena wynurzająca się ze srebrzystej sadzawki: włosy miała gęsto przybrane perłami, a jej jedwabna suknia była koloru leśnych dzwonek.

- Kicia! - Ze zdumienia upuściła z brzękiem szczotkę do włosów na toaletkę. - Co ci się stało?

Zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. Byłam niemiłosiernie potargana i miałam tylko połowę spódnicy, spod której wystawały przybrudzone białe halki.

- Och! - Wskazałam z żalem na swój niekompletny strój. - Miałam wesołe spotkanie z moim serdecznym przyjacielem Billym Pryszczem.



Panienka Elżbieta wstała od toaletki, podeszła do mnie szybko po dywanie różanej barwy i wciągnęła mnie do pokoju. Wyrzała jeszcze na pusty korytarz, zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

- Ale nic złego ci się nie stało, Kiciu? - spytała z troską. - Usiądź, proszę, i opowiedz mi wszystko po kolei.

- Nie teraz, panienko Elżbieto...

Położyła mi palec na ustach.

- Lizi, Kiciu! Nie pamiętasz?

- Dobrze, Lizi. Przyszedłam ci tylko powiedzieć, Lizi, że Janek jest tutaj. Nie wyszedł bez szwanku ze spotkania ze wspomnianym już przyjacielem, więc przywieźliśmy go do was. Został w stajni, z Pedrem.

Panienka Elżbieta podbiegła do okna i wyrzała na dziedziniec.

- Czy jest zdrow i cały? - spytała z niepokojem.

Pokiwałam głową.

- Na razie będzie tam bezpieczny - rzekła panienska Elżbieta. - Nikogo już nie ma. Całe szczęście, że nie zjawiliście się pół godziny wcześniej, gdy na dziedzińcu stało pełno karet. Dopiero niedawno odjechały sprzed domu.

- Pomożesz nam? - spytałam gorączkowo.
- Oczywiście. Ty się stąd nie ruszaj. Nie otwieraj nikomu drzwi, dopóki nie usłyszysz pukania cztery razy. Pobiegnę po Franka. - Wzięła z toaletki lichtarz z palącą się świecą. - Ojciec posłał go do łóżka już godzinę temu, ale znam dobrze mojego brata: na pewno podgląda odjeżdżających gości, oceniając ich powozy w skali od jednego do dziesięciu, to jego hobby.

Wymknęła się z pokoju, zamykając drzwi za sobą. Fatalnie byłoby, gdyby pokojówka mnie u niej zastała. Usiadłam przy toalecie i przyjrzałam się swojemu odbiciu. W domu nie miałam takiego luksusu jak własne lustro, chociaż w garderobach aktorów zwierciadeł było pełno. Z lustra panienci Elżbiety spojrzała na mnie poważna twarz. Moje rude loki były całe pozlepiane. Piegowaty nos usmarowany. Gorset rozdarty w miejscu, gdzie oderwana została spódnica. Dłonie poczerwieniałe od ciężkiej pracy i częstych razów trzcinką. W porównaniu z piękną o jasnej cerze i kasztanowych lokach, która tu przed chwilą siedziała, wyglądałam jak troll. Zasmuciło mnie to porównanie.

Ktoś zapukał cztery razy. Otworzyłam pospiesznie i omal nie przewrócił mnie wbiegający z impetem panicz Franciszek.

- Kicia! - wykrzyknął i uściskał mnie serdecznie, po czym przypomniał sobie o dobrych manierach i skłonił się z uszanowaniem, robiąc krok w tył. - Lizi mi wszystko powiedziała. Tak się cieszę, że widzę cię całą i zdrową. Niech się tylko nasz gang dowie o napadzie, a Shepherd pożałuje, że w ogóle się urodził.

Nasz gang? Od kiedy to panicz Franciszek należał do bandy Syda? No tak, zapomniałam: przecież jest chłopakiem. Sydowi to wystarczyło, żeby go przyjąć.

- Siedź tu sobie wygodnie, Lizi zaraz się tobą zajmie. A ja lecę po Janka i Pedra - oświadczył, przejmując kontrolę nad sytuacją.

Przyznam szczerze, że z ulgą pozbyłam się na chwilę odpowiedzialności za bezpieczeństwo Janka. Panicz Franciszek był tu u siebie w domu - bardzo słusznie, że osobiście zajął się ryzykownym przedsięwzięciem przemycenia do środka człowieka ściganego przez prawo. Odprowadził mnie z powrotem do toaletki, poklepał po ramieniu i wyszedł.

Po paru minutach wróciła panienska Elżbieta. Nalała gorącej wody do porcelanowej miski w różyczki i postawiła przede mną na toalecie.

- Proszę, tym możesz się umyć - powiedziała, podając mi lnianą ściereczkę.

Peszyło mnie, że ona stoi obok i patrzy. Poczzerwieniałam ze wstydu, bo poczułam się pospolita i brudna. Pomyslałam, że takie brzydactwo jak ja nie powinno brukać komnaty pięknej panny swoją obecnością. A już dobiło mnie to, że łza kapnęła nagle z kącika mojego oka wprost do wody w misce.

- Co ci się stało, Kiciu? - zatroskała się panienska Elżbieta.

Podeszła i przyklękła obok mnie.

- Nie jestem godna być tutaj - rzekłam z rozpaczą, wrzucając lnianą szmatkę do wody, która po moim myciu zrobiła się już szara. - Lepiej sobie pójdę.

- Nonsens! - obruszyła się panienska Elżbieta.

Wstała i podeszła do szafy w głębi pokoju.

- Przestanieś się tak czuć, gdy ubierzesz się jutro w to, co ci dam. Wyrosłam już z tej sukni, ale na ciebie powinna być w sam raz. - Rozłożyła na łóżku najpiękniejszą szmaragdową suknię, jaką w życiu widziałam. -

Nigdy nie było mi za dobrze w zielonym, ale do ciebie pasuje.

- Nie mogę jej przyjąć! - zachnęłam się.

- Oczywiście, że możesz - uśmiechnęła się. - Ale teraz szybko marsz do łóżka. Na pewno padasz ze zmęczenia.

- Do łóżka?

Rozejrzałam się po pokoju. Jedynym łóżkiem było tutaj panieńskie łoże z baldachimem i muślinową zasłonką, zaścielone białą satynową kapą.

- Mojego, oczywiście - wyjaśniła panienska Elżbieta.

- Starczy w nim miejsca dla nas dwóch. Kładź się zaraz, a ja jeszcze pójde do chłopców sprawdzić, jak sobie radzą.

Wyszła, cicho zamykając drzwi. Wahałam się jeszcze przez chwilę, stojąc pośrodku pokoju, ale w końcu podjęłam decyzję. Przywykłam do spania na twardej, niewygodnej, starej kozetce w Jaskółczym Gnieździe - nie dla mnie luksusy, jakie proponuje mi w swojej łaskawości panienska Elżbieta.

W skrzyni pod oknem znalazłam zapasowy koc, zwinęłam się w kłębek na dywanie przed kominkiem i - pomimo postanowienia, że nie zasnę, dopóki nie usłyszę

wieści od panienki Elżbiety - sama nie wiem, kiedy zapadłam w sen.

Obudziły mnie rano przyciszone głosy dobiegające z za drzwi.

- Nie, dziękuję, Mary. Naprawdę nie potrzebuję dzisiaj twojej pomocy przy ubieraniu, za to prosiłabym cię, żebyś przygotowała mi kąpiel w pokoju obok.

Drzwi zamknęły się i kroki bosych stóp skierowały się do kominka.

- Przepraszam, że cię obudziłyśmy, Kiciu. Musiałam odprawić pokojówkę, żeby cię tu nie znalazła. Dobrze spałaś?

Pokiwałam głową i dopiero wtedy zauważyłam, że opieram policzek na puchowej poduszce. Usiadłam i przeciągnęłam się.

- Myślałam, że cię nie ma, kiedy wróciłam do pokoju - roześmiała się panienka Elżbieta. - Ale mi napędziłaś strachu!

- Czy Janek i Pedro są bezpieczni? - spytałam, nagle zupełnie już przytomnie, odrzucając koc.

- Całkowicie. Pedro zaraz po przeszmygowaniu Janka do pokoju Franciszka wrócił do domu swojego

pana. Ciekaw był, jak się skończyła wczorajsza awantura w teatrze. Obiecał, że przyjdzie tu rano i wszystko nam opowie.

Ucieszyło mnie to. W teatrze na pewno zawrzało, gdy znaleziono półżywego Caleba i odkryto nieobecność Janka i moją.

Miałam nadzieję, że staruszek odzyskał przytomność, ale bałam się myśleć, co moi opiekunowie sądzą o całym zajściu. Martwią się o mnie czy uważają, że to wszystko moja wina? Pewnie to drugie, jeżeli głos ma pani Reid.

- Nie masz ochoty się wykąpać? - spytała taktownie panienka Elżbieta. - Kazałam przygotować kąpiel w garderobie sąsiadującej z naszym pokojem. Zrobiłam to z myślą o Jonatanie, ale panie mają pierwszeństwo.

Kąpiel? Co za luksus! Nie pamiętałam nawet, kiedy ostatni raz brałam kąpiel - normalnie musiała mi wystarczyć miska ciepłej wody raz na dzień.

- Z największą przyjemnością.

- Dobrze. W takim razie bądź tak miła i pomóż mi się ubrać, a pójdę zakomunikować Franciszkowi, jaki mam plan.

Ubieranie damy okazało się znacznie bardziej skomplikowane, niż przypuszczałam. Niewprawnie odgrywałam rolę pokojówki, polegającą na zapinaniu mnóstwa guzików i wiązaniu sznurówek. Nie zdziwiłam się więc, że panienska Elżbieta zrezygnowała z mojej pomocy przy układaniu fryzury i uczesała się sama. Na koniec przejrzała się w lustrze i wygładziła suknię.

- Trudno, niech będzie - westchnęła. - Kiedy się przygotujesz, przejdź do sąsiedniego pokoju bocznymi drzwiami. Kąpiel powinna już być gotowa. Przypilnuję, żeby Mary nie kręciła się w pobliżu, ale na wszelki wypadek zamknij drzwi na klucz.

Dałam jej parę minut, by załatwiła sprawę z pokojówką, a potem cicho otworzyłam drzwi do garderoby. Okno było zasłonięte cienką firanką, przez którą przeświecało poranne słońce. Pośrodku pokoju stała ta sama kadź, którą parę dni wcześniej widziałam w pomywalni. Teraz była po brzegi wypełniona parującą wodą. Na hebanowej półce czekał stos lnianych ręczników. Dla mnie, nienawykłej do przesadnych wygód, było to jak wstąpienie do świątyni czystości: para unosiła się znad wanny niczym



dym kadzidła palonego na cześć bóstw mydła i wody. Zamknęłam na klucz oboje drzwi, jak mi kazała panienska Elżbieta, i rozebrałam się do naga. Wiedziałam, że to nieskromnie kąpać się bez bielizny, ale nie miałam kompletu na zmianę - zresztą kto mógłby mnie tam podejrzeć? Wreszcie weszłam do wanny i zanurzyłam się po szyję w wodzie.

Posiedziałam tak w rozleniwieniu dobry kwadrans, po czym wyszłam i szybko wytarłam ciało ręcznikiem. Woda w wannie wyglądała teraz znacznie mniej zachęcająco: pływały w niej szare mydliny - ale trudno, Janek będzie musiał to jakoś znieść. Przypuszczałam, że jako hrabia często korzysta z dobrodziejstw wanny, więc dzisiaj miał po prostu pecha, że ja siedziałam w niej pierwsza.

Panienska Elżbieta czekała już na mnie w pokoju, gdy wróciłam owinięta w wielki biały ręcznik, ściskając w rękę nędzny tobolek swoich ubrań.

- Pójdę powiedzieć lordowi Jonatanowi, że już może się kąpać. Za parawanem zostawiłam ci coś do ubrania - dodała.

Okazało się, że naszykowała mi kompletny strój: śnieżnobiałą koszulkę, kilka halek i szmaragdową

suknię, którą wzdragałam się przymierzyć minionego wieczoru. Dzisiaj moje skrupuły ulotniły się jak mgła poranna przed wstającym słońcem: dla uczczenia czystości bez wahania uległam pokusie i z rewerencją włożyłam na siebie wszystko po kolei. Najbardziej zaskoczyły mnie jedwabne pończochy: przylegały do nóg tak ciasno, jakby wcale ich nie było - co za odmiana po drapiących wełnianych pończochach, jakie nosiłam zazwyczaj.

- Pomóc ci zapiąć suknię na plecach? - spytała panienka Elżbieta, wchodząc z powrotem do pokoju.

- Tak, proszę.

Wysłałam zza parawanu i stanęłam z rozłożonymi rękami, prezentując się jej w całej nowej krasie.

- A nie mówiłam, że będzie ci w niej do twarzy? - rzekła panienka Elżbieta i pociągnęła mnie przed lustro toaletki. - Skoro z samego rana zmusiłam cię, żebyś była moją pokojówką, muszę teraz odegrać tę samą rolę wobec ciebie.

Spisała się znacznie lepiej niż ja. Na koniec uczesała i ułożyła mi wilgotne włosy w fryzurę jak z żurnala. Jeszcze nigdy nie widziałam siebie tak szykownej. Wyglądałam prawie jak dama ze szlacheckiego rodu.

- A teraz musisz mi pomóc z lordem Jonatanem - powiedziała, podkręcając ostatni lok na mojej głowie. - On zaraz tutaj przyjdzie.

- Pomóc? W jaki sposób?

Zabawa się skończyła i znów trzeba było działać: przypomniałam sobie, że wcale nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Przebijając go. - Panienska Elżbieta podeszła do szafy w głębi pokoju i wyjęła z niej przygotowaną wcześniej stertę ubrań. - Franek załatwił dla lorda Jonatana koję na statku, który płynie do Ameryki. Czekają tylko na pomyślny wiatr. Mój brat niebawem sprowadzi powóz, którym zawieziemy lorda Jonatana do portu. Będzie się musiał ukryć pod pokładem do czasu odpłynięcia. Musimy zadbać o to, żeby po drodze nie został rozpoznany.

Rzuciła ubrania na łóżko. Zobaczyłam obszerną czerwoną aksamitną suknię, gorset, koszulę i inne części damskiej garderoby. Czarna peruka sterczała pośród nich jak kocur zwinięty przed kominkiem.

- Chcesz go przebrać za kobietę? - spytałam, niepewna, czy wolno mi się roześmiać.

- Oczywiście - potwierdziła z uśmiechem panienka Elżbieta. - Czy można wymyślić lepsze przebranie? Obiecałam przebrać go tak, że nawet własna matka go nie rozpozna. Najwyżej moja mogłaby coś podejrzewać, bo to jej suknia.

- A Janek już wie?

Pokręciła głową.

W tej samej chwili ktoś zabębnił palcami w drzwi pokoju.

- Proszę! - zawołała panienka Elżbieta.

Wszedł Janek, w szlafroku - wyglądał znacznie lepiej niż wieczorem, ale pomyślałam, że podbite oko i rozciętą wargę trudno będzie zamaskować.

- Z czego się śmiejecie? - spytał, patrząc na nas.

- Z niczego - odparła beztroskim tonem panienka Elżbieta. - Wejdz, proszę, za parawan i włóż na siebie to, co ci podam.

Janek usłuchał. Nigdy dotąd nie słyszałam przekleństwa w jego ustach, ale na widok tego, co panienka Elżbieta podała mu ponad parawanem, nie wytrzymał.

- Do diabła! Co to ma być? - wykrzyknął z oburzeniem.

- Twoje przebranie - wyjaśniła spokojnie panienka Elżbieta. - Nie grymasz, tylko ubieraj się prędko.

- Nie mogę chodzić w czymś takim! - jęknął, wymachując do nas gorsetem. - Nie dość, że zostałem zбитy na kwaśne jabłko, to jeszcze teraz mam się wcisnąć w ten piekielny pancerz!

- Nie marudź - rzekła stanowczym tonem panienka Elżbieta. - Połowa ludzkości nosi to dzień w dzień, a ja cię proszę, żebyś poświęcił się tylko na parę godzin.

Janek przestał pomstować i po jakimś czasie wyłonił się zza parawanu w czerwonej sukni. Moim zdaniem przebranie się nie sprawdziło: wyglądał jak mężczyzna w sukience. Każdy pozna na pierwszy rzut oka, że to oszustwo.

Ale panienka Elżbieta nie upadała na duchu. To był dopiero początek jej działań.

- Siadaj przed lustrem - poleciła.

Janek podszedł niezgrabnie, płacząc się w długiej spódnicy.

- Zaciągnij mu sznurówkę, Kiciu - powiedziała panienka Elżbieta, wskazując sznurki dyndające z tyłu sukni. - A potem pozapinaj guziki.

Zacząłam posłusznie sznurować.

- Jeszcze chwileczkę - powstrzymała mnie. Sięgnęła do szuflady wysokiej komody przy parawanie i wyciągnęła z niej parę wełnianych pończoch. - Domyślasz się chyba, gdzie się je zakłada - rzekła, czerwieniąc się, i wręczyła pończochy Jankowi.

Potem poprawiła mu fałdy spódnicy i nasz przebieraniec nabrał zniecka znacznie bardziej kobiecego wyglądu.

- Au! - krzyknął Janek, gdy wróciłam do sznurowania gorsetu. - Jak wy, kobiety, możecie to znieść?

- Sama się dziwię - powiedziała panienska Elżbieta, zbliżając się ku niemu z puszką do pudru. - To czyste szaleństwo.

Pozapinałam Jankowi suknię na plecach, a panienska Elżbieta włożyła mu na głowę perukę, którą zwieńczyła koronkowym czepeczkiem i kapelusikiem z budką.

- Gotowe!

Cofnęła się, aby ogarnąć wzrokiem swoje dzieło.

Przemiana była niewiarygodna. Zamiast przystojnego młodzieńca miałyśmy przed sobą brzydką matronę, z twarzą grubo upudrowaną na białło.

- Jak się nie będzie ruszał ani mówił, to może jakoś przejdzie - mruknęłam.

- Zadzwoń, żeby przynieśli nam śniadanie - oświadczyła z entuzjazmem panienska Elżbieta. - Wypróbujemy podstęp na służącej. Powiem jej, że jesteś moją krawcową, która przysłała wziąć miarę na nową suknię.

Dzwonek sprowadził do drzwi pokojówkę.

- Jenny, czy papa jest w pokoju śniadaniowym?

Jenny skinęła głową.

- Czy możesz mu powiedzieć, że nie zejdę na śniadanie, bo akurat przysłała moja krawcowa i zjem u siebie?

Jenny zerknęła na Janka, grzebiącego z przejęciem w woreczku krawieckim, który panienska Elżbieta przed chwilą wcisnęła mu w ręce. Gdy pokojówka wychodziła, panienska Elżbieta szepnęła do niej poufnie:

- Nie wpatruj się zbyt natarczywie w oko tej damy, Jenny. Biedaczka, ma okropnego męża, który ją bije. Całe rano skarżyła mi się na to ze łzami.

Jenny spojrzała na nieszczęsną krawcową z wielkim współczuciem.

- Tak, proszę panienki.
- Najlepiej przynieś herbatę dla nas wszystkich, to pomoże biedaczce ukoić nerwy.

Jenny dygnęła i odeszła.

- No i jak wyszło? - spytał z przejęciem Janek.

Niesamowicie zabrzmiał jego gruby głos spod damskiego kapelusika. - Nabrała się?

- Chyba tak - powiedziała panienka Elżbieta, siadając przy oknie. - Kobiętę trudniej nabrać niż mężczyznę, ale gdyby miała chociaż cień podejrzenia, że jesteś mężczyzną, na pewno od razu podniosłaby straszny krzyk.

Po śniadaniu przyszedł panicz Franciszek z wiadomością, że powóz nadjechał. Nie darował sobie przyjemności pożartowania z Janka, na co krawcowa udzieliła mu srogiej reprimendy.

- Najmocniej panią przepraszam. - Panicz Franciszek złożył przed Jankiem głęboki ukłon. - To się więcej nie powtórzy.

- Bo i nie będzie okazji - odburknął Janek i zagarniając spódnice, oddalił się dumnie korytarzem za panienką Elżbietą.



- Pospieszmy się! - nagiął panicz Franciszek. - Papa czytał jeszcze gazetę, gdy wstawałem od stołu, ale może się tutaj zjawić w każdej chwili.

Bez przeszkód zeszliśmy do głównego hallu i byliśmy już prawie przy wyjściu, gdy drzwi po lewej stronie otworzyły się i w progu stanął książe Avon z gazetą pod pachą. „KAPITAN ISKRA WCIĄŻ GRASUJE NA WOLNOŚCI!” - krzyczał wielkimi literami nagłówek na pierwszej stronie.

- Dzień dobry, Lizi - powiedział i ucałował córkę w policzek. - Tak wcześnie wstałaś?

- Tak, papo. Muszę złożyć dzisiaj kilka wizyt. To straszna nuda, ale nie ma rady.

Spojrzenie księcia powędrowało ku Jankowi.

- To moja krawcowa, papo - przedstawiła pośpiesznie panienska Elżbieta.

- Nie ta, mam nadzieję, która przysyła takie niebotyczne rachunki? Madame... no, jakże jej tam...?

- Madame Martine - dokończyła zaraz panienska Elżbieta.

Księżę spojrział na krawcową bez sympatii.

- Dobra przynajmniej? - spytał, znów zwracając się do córki.

- Najlepsza.  
- W takim razie, jak przypuszczam, warta jest swojej zapłaty - rzekł książę i znów pełen galanterii skłonił się i ucałował odzianą w rękawiczkę dłoń Janka.

- *Merci, monsieur* - rzekła „madame Martine” płynną, chociaż nieco schrypniętą, francuszczyzną.

Książę spojrział z kolei na mnie.

- Panna Królewska, jeśli się nie mylę? Co ją tutaj sprowadza o tak wczesnej porze? Nie wiedziałem, że gości pod naszym dachem.

- Kicia... chciałam powiedzieć, panna Królewska, przysłała z samego rana na moje zaproszenie. Mamy razem składać wizyty, o których wspomniałam. Wszyscy moi przyjaciele chcą poznać pannę Królewską - wyjaśniła panienska Elżbieta.

Książę zauważył mój wykwintny strój i lekko zmarszczył brwi. Poczzerwieniałam.

- Hmmm... - mruknął z dezaprobatą. - Chciałbym zamienić z tobą słówko, kiedy wrócisz, Lizi. Jest pewna sprawa, którą powinniśmy omówić.

Pożegnał nas skinieniem i wrócił do pokoju śniadaniowego. Domyślałam się, co pragnie omówić z córką:

chciał ją ostrzec przed wprowadzaniem takich osób jak ja w zaufany krąg przyjaciół. Moja pozycja społeczna była, delikatnie mówiąc, niepewna i znajomość ze mną mogła źle wpłynąć na reputację panienki Elżbiety.

Tymczasem jednak panienka Elżbieta poprowadziła nas do nadjeżdżającego powozu. Za pudłem karety, obok stojącego Jenkinsa, ujrzałam Pedra. Zeskoczył i otworzył przed nami drzwiczki. Lord Franciszek pomógł nam wszystkim wejść po stopniach i sam wsiadł ostatni.

Stangret już uniósł bat, aby dać koniom sygnał do drogi, gdy przy wejściu od ulicy rozległo się dyskretne, znaczące kaszlnięcie.

- Czy mogę zamienić słówko z jaśnie paniczem?

Odwróciliśmy się wszyscy w tamtą stronę. Ku swojej zgrozie ujrzałam konstabla Lennox'a z magistratu na Łuczniczej - tego samego, który dzień wcześniej przeszukiwał Drury Lane. Zbliżył się do powozu i przyglądał nam się dokładnie. Spuściłam głowę, udając, że szukam czegoś w swojej ażurowej torebce, a Janek przytknął do oka chusteczkę, jakby ocierał łzę.

- Nie teraz, konstablu - rzekł paniez Franciszek zaskakująco cierpkim tonem. Po raz pierwszy, odkąd go znalazłam, przemówił jak wielki pan. - Proszę przyjść później, a będę do usług. Mam teraz pilne spotkanie, na które muszę się stawić.

- Rozumiem, jaśnie panie. Chciałbym jednak, jeśli jaśnie pan łaskawie pozwoli, zajrzeć do powozu. Jeden z naszych informatorów doniósł, że dwóch zbiegów schroniło się ubiegłej nocy w pańskim domu, w towarzystwie trzeciej osoby. Ta trzecia osoba była dziś rano śledzona i przyszła tutaj. Przeszukałem już stajnie, ale nie znalazłem tam nikogo. To każe mi przypuszczać, że poszukiwane osoby mogły ukryć się w powozie.

- Mówicie poważnie? - spytała z należytym przejęciem panienska Elżbieta. - Ależ to straszne! Nie mieści się w głowie, prawda, hrabianko Katarzyno? - Spojrzała na mnie wielkimi ze zdziwienia oczami.

Zaskoczona nagłą nobilitacją, zdobyłam się mimo wszystko na to, by zadrzeć z udanego wzburzenia. - W takim razie koniecznie przeszukajcie pojazd, konstablu. Czy mamy wysiąść, abyście mogli zrobić to dokładnie? Hrabino, pani pozwoli - zwróciła się do Janka, który

przystawiał do nosa flakonik soli trzeźwiących, jakby na uspokojenie.

- Byłbym wielce zobowiązany, jaśnie panienko - rzekł konstabl.

Janek, panienka Elżbieta i ja wysiedliśmy z powozu i stanęliśmy obok. Panicz Franciszek sekundował tymczasem konstablowi, który zaglądał pod siedzenia.

- Nie ma tam nikogo - obwieścił w końcu konstabl, sprawdzwszy wszystkie zakamarki. - Jaśnie pan pozwoli jeszcze tylko, że przesłucham jego czarnoskórego służącego?

- Mojego służącego? A cóż on ma do tej sprawy? - odezwał się władcym tonem panicz Franciszek. - Nie uważacie, że zabraliście nam już dość czasu?

Konstabl zmieszał się.

- Chodzi o to, że mój informator widział tu wczoraj w nocy czarnego chłopca i za tym samym czarnym chłopcem przyszedł tutaj dziś rano.

- Czy rzeczywiście za tym samym? - spytał z powątpiewaniem panicz Franciszek. - To prawda, że Gustaw rano załatwiał dla mnie pewną sprawę w mieście, ale ręczę, że całą wczorajszą noc spędził w domu. Wasz informator musiał się pomylić.

- To możliwe - przyznał niechętnie konstabl, skrobiąc się po brodzie. - A więc twierdzi jaśnie pan, że ten tutaj Gustaw był z panem ubiegłej nocy?

- W rzeczy samej, nieprawdaż, Jenkins? - rzekł głośniej panicz Franciszek, zwracając się do swego stajennego.

- Tak jest, proszę jaśnie pana - skłamał z uciechą Jenkins.

- W takim razie przepraszam za najście. Panie wybaczą.

Skłonił się nisko i usłużnie otworzył przed nami drzwi powozu.

- Nic nie szkodzi, konstablu - powiedziała łaskawie panienska Elżbieta. - Spełniście po prostu swój obowiązek.

Konstabl Lennox rozpromienił się z dumy i złożył następny ukłon.

Wsiadając, czułam jednak na plecach jego baczny wzrok. Najwyraźniej wyglądałam mu jakoś dziwnie znajomo.

- Ruszajmy już lepiej - szepnęłam gorączkowo do panicza Franciszka. - Zanim konstabl sobie przypomni, skąd mnie zna.

Panicz Franciszek kiwnął głową i uderzył pięścią w dach powozu.

- Ruszaj! - krzyknął.

Powóz wyrwał do przodu, aż impet wcisnął nas w miękkie siedzenia. Wyrzałam przez okienko, gdy opuściliśmy plac Grosvenor: konstabl, który nie ruszył się z miejsca, palnął się nagle otwartą dłonią w czoło i pognął pędem za nami. Ale nawet funkcjonariusz magistratu nie był w stanie prześcignąć karety zaprzężonej w cztery konie. Konstabl Lennox szybko został z tyłu.

- Mało brakowało... - Z ulgą opadłam na poduszki. - Przypomniał mnie sobie, ale za późno.

- Za to hrabina nie obudziła w nim żadnych podejrzeń - zwrócił się panicz Franciszek do Janka. - Nawiasem mówiąc, hrabino, wygląda pani dzisiaj olśniewająco.

Hrabina odpowiedziała mu na to solidnym kuksańcem w żebra, a panienska Elżbieta i ja parsknęłyśmy śmiechem.

## SCENA 2 - TAMIZA

Powóz niósł nas wąskimi ulicami miasta w stronę doków na tyłach londyńskiego zamku Tower. Białe wieżyczki fortecy kontrastowały z ołowianym tłem nieba, które zwiastowało dalsze opady śniegu. Nagle z Białej Wieży poderwał się kruk i zaczął krążyć nad dachami ceglanych zabudowań skupionych po zewnętrznej stronie murów. Spłoszone czymś stado mew porzuciło buszowanie w przybrzeżnym błocie, wleciało spiralnym szykiem i skierowało się na wschód, przelatując nad Bramą Zdrajców. Po krótkotrwałej euforii naszej błyskawicznej ucieczki naszedł mnie ponury nastrój: zdawało się, że nawet ptaki czują zagrożenie, które zawisło nad nami jak katowski topór.

Zostawiwszy za sobą Tower, jechaliśmy z turkotem przez rejon Wapping. Panicz Franciszek przechylił się nagle przez kolana siostry i pokazał nam cumujący daleko w porcie statek, którym miał odpłynąć Janek.



- To tamten. Najszybszy statek handlowy z całej floty! - obwieścił radośnie. - Tak przynajmniej zapewnił mnie daleki kuzyn Jenkinsa. Jest celnikiem, więc zna się na rzeczy.

Statek ledwo było widać: jego trzy maszty ginęły w gęstym lesie innych. Od dziobów po rufy statków rozpiął się takielunek, niczym delikatna brukselska koronka. Z daleka wyglądało to tak, jakby gigantyczny kocur dobrał się do worka z wełną i splątał wszystko nie do rozsoplania. Aż nie chciało się wierzyć, że którykolwiek statek wyrwie się z tej matni.

- Ale nawet najszybszy statek potrzebuje pomyślnego wiatru - zauważył Janek, zerkając z niepokojem na wiatrołap wieńczący wieżę kościoła Świętej Katarzyny. Przyrząd niewzruszenie wskazywał kierunek wschodni. - Pościg już depcze mi po piętach.

Przydałby się chłodny zachodni wiatr, który pchnie statek do ujścia i oddali mnie jak najprędzej o parę mil morskich od prześladowców.

- Mam wiele zdolności, lordzie Jonatanie - odrzekł na to panicz Franciszek, wymierzając żartobliwy cios w gorset przebierańca - ale nie zalicza się do nich panowanie nad wiatrem.

Janek oddał mu kuksańca i roześmiał się. Nie rozumiałam, jak mogą mieć takie świetne humory w obliczu otaczającego nas niebezpieczeństwa. Mnie było niedobrze ze zdenerwowania.

- Omówiłem sprawę z kapitanem - mówił panicz Franciszek. - To Amerykanin, przyjaciel wolności. Możesz być pewien, że nie wyda cię psom gończym Pitta. Teraz wsadzimy cię do szalupy i raz-dwa znajdziesz się na pokładzie „Potomaka”.

Ślizgając się po zamarznętej kałuży, nasz pojazd skręcił ku nabrzeżu. Jeszcze nigdy nie byłam w tej części Londynu, więc wyciągałam szyję, żeby jak najwięcej zobaczyć. Budynki - z których co drugi mieścił tawernę - tłoczyły się bezładnie jak sprzęty w rupieciarni. Ale jeszcze dziwniejsze były twarze tamtejszych ludzi. Wśród marynarzy spostrzegłam grupę Chińczyków z cienkimi warkoczykami: siedzieli w oknie tawerny, zajęci jakąś grą z użyciem małych białych płytek. Obok skrzywanej liny okrętowej drżał z zimna obdarty Afrykanin o kędzierzawych włosach. Na rogu Hindus w turbanie targował się z Rosjaninem w futrzanej czapie: pierwszy gestykulował z rozmachem, drugi machał krótko ręką, jakby

rąbał powietrze. Obok przeszły trzy wystrojone dziewczyny o mocno uróżowanych policzkach, okryte nowiutkimi szalami z czerwonej wełny. Głowy niosły wysoko, dumne z tych prezentów, które otrzymały od swoich amantów marynarzy. Murzyński łachmaniarz usunął im się z drogi, ale nawet na niego nie spojrzały.

- Jesteśmy już na miejscu - oświadczył panicz Franciszek, gdy pojazd zwolnił bieg. - Otworzył drzwiczki i zeskoczył na błotnistą ziemię. - Poczekajcie tu, moje panie. Pedro i ja rozejrzemy się za łódką, która przetransportuje nasz ładunek na statek.

Janek chciał iść za nimi, ale przytrzymałam go za fałdę sukni.

- Siedź spokojnie. Ludzie patrzą - skarciłam go szepcąc. - Co sobie pomyśli stangret, jak zobaczy, że lecisz za chłopakami?

Janek niechętnie usiadł z powrotem, nie odrywając się od okna: wciąż spodziewał się pościgu.

- Damie to nie przystoi - pouczyła go panienska Elżbieta, demonstrując, jak prawdziwa dama powinna siedzieć w powozie: plecy wyprostowane, buzia w ciup, ręce w małdrzyk.

- Franciszek to jeszcze dziecko - mruknął Janek. - Czuję się za niego odpowiedzialny. A jeśli jemu i Pedrowi coś się teraz stanie?

- Nic im się nie stanie - zapewniłam go. - Zwłaszcza jeśli postąpimy tak, jak kazał, i nie ruszymy się z miejsca.

Panicz Franciszek i Pedro wrócili po paru minutach w towarzystwie kudłatego wioślarza, który nawet na tym zimnie chodził z gołymi ramionami, prężąc mięśnie wyćwiczone przez lata żeglowania po zdradliwych wodach Tamizy. Długie, przetykane siwizną włosy leżały mu na plecach jak pęk wodorostów.

- Pani ma jakiś bagaż? - spytał grubym głosem, patrząc, jak panicz Franciszek pomaga nam wysiąść z powozu.

- Nie - odparł krótko panicz Franciszek. Nagle jednak uprzytomnił sobie, że zabrzmiało to dziwnie, i dodał: - Bagaż wysze się później.

Przewoźnik nie był jednak ciekaw ani nas, ani naszych problemów. Splunął pod nogi, odwrócił się na pięcie i ruszył ku przystani. Nagle, po ciasnocie labiryntu ulic, otworzyła się przede mną Tamiza - wielka, rozlana,

niezasłonięta już żadnymi budowlami. Trwał właśnie przyływ: brunatne wody zalewały bagna, zmywając ślady ptasich i ludzkich stóp. Na rzece tętniło życie. Wzdłuż całego brzegu przyływały i odpływały łodzie pełne ludzi. Teraz dobrze było widać statki stojące na kotwicy - zdumiała mnie różnorodność ich rozmiarów i konstrukcji. Wąskie dzioby i smukłe linie mniejszych jednostek obiecywały szybką podróż. Spłaszczony dziób i pękate kadłuby wielkich statków handlowych - tych, które przywoziły cenne skarby z Indii: złoto, jedwabie, korzenie - świadczyły o ich stateczności przy pokonywaniu fal i odporności na sztormy, które wieją wokół Przyładka Dobrej Nadziei. Wpływał właśnie do portu taki statek z Indii, o burtach pomalowanych na czerwono i złoto: dobił do południowego brzegu portu, a jego białe żagle zwijały się pomału, trzepocząc jak skrzydła znużonego lotem motyla. Ciekawe, jakie przywiózł wspaniałości - może prawdziwe diamenty albo jedwab podobny do tego, z którego uszyta była moja nowa suknia?

Coś chlusnęło na lewo od nas: przez okno jednego z wysuniętych nad rzekę budynków ktoś opróżnił nocnik.

Nabrzeże cuchnęło rynsztokiem, ale przyływ niósł ze sobą świeższą woń - woń omiatanych wiatrem przestrzeni ujścia rzeki i otwartego morza. Kamienny pas przystanki połyskiwał w słabym porannym słońcu mnóstwem rybich łusek. Płatek śniegu zawisł w powietrzu niczym puch dmuchawca, zanim opadł na ziemię.

Przewoźnik zeskoczył do swojej łódki i wyciągnął rękę, by pomóc wsiąść „hrabinie”.

- A więc to już... - Janek odwrócił się do nas. - Czas się pożegnać. Czy kiedykolwiek zdołam się wam odwdziaczyć?

- Nigdy, drogi przyjacielu - szeroko uśmiechnął się Pedro. - Pozostaniesz już na wieczność naszym dłużnikiem.

Janek ujął jego prawicę i mocno, serdecznie nią potrząsnął.

- Nie wyobrażam sobie, komu chętniej pozostałbym dłużny niż wam czworgu. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, Pedro - może kiedy przyjedziesz do Ameryki na gościnne występy.

- Może - rzekł Pedro z zadowoleniem, wzruszając ramionami.

- A ty, paniczu Franciszku, posłuchaj rady starej kobiety i trzymaj się z dala od kłopotów! - powiedział Janek, ściskając mocno dłoń przyjaciela.

- Niech się stara kobieta zanadto nie przejmuję, bo to niezdrowo - odparł panicz Franciszek.

Uniósł do ust dłoń Janka i ucałował ją, na co Janek ze śmiechem wyrwał rękę.

- Panno Elżbieto... - Janek niepewnie zwrócił się ku ukochanej. - Lizi...

Panienka Elżbieta nic nie mówiła, tylko wpatrywała się w jego twarz. W kąciку jej oczu dostrzegłam łzy, ale uśmiechała się dzielnie.

- Cóż tu mówić? - wymamrotał Janek. - Znasz moje życzenia, moje nadzieje...

Skinęła głową.

- Znam. Do widzenia. Napisz jak najprędzej.

- Obiecuję. Zaopiekuj się, proszę, moim sercem, zostawiam je pod twoją kuratelą.

- A ty opiekuj się moim, Janku.

Bardzo niechętnie uwolnił jej rękę z uścisku.

- A teraz moja Kicia. - Odwrócił się do mnie bez tego skrupowania, które naznaczyło jego pożegnanie z panienką Elżbietą, i zamknął mnie w braterskim uścisku. -

Martwię się o ciebie, Kiciu. Nie zaznam spokoju, jeśli nie będziesz do mnie często pisać i meldować, jak się masz. Pamiętaj: gdybyś kiedyś potrzebowała przyjaciela, a nawet domu, czeka on na ciebie w Filadelfii.

Odwzajemniłam jego uścisk.

- Dzięki, zapamiętam to sobie.

Pożegnawszy mnie, Janek zwinnie zeskoczył do łódki, ku zdumieniu przewoźnika, który przez cały czas czekał cierpliwie, by pomóc „damie”.

- Na „Potomaka”! - zarządził panicz Franciszek, rzucając wiosłarzowi monetę.

Przewoźnik zasalutował i chwycił wiosła. Staliśmy we czwórkę ramię w ramię, machając ustrojonej w kapelusik postaci, aż do chwili gdy łódka zniknęła nam z oczu za kadłubem pierwszego z cumujących statków.

Panicz Franciszek i panienska Elżbieta wysadzili nas z powozu na Łuczniczej, aby nie budzić sensacji karetą zajeżdżającą pod tylne wejście teatru. Ledwie dotknęłam stopami ziemi, ogarnęła mnie czarna wizja tego, czego się mogę spodziewać po powrocie do Drury Lane.



- Co mówiono w teatrze o włamaniu? - spytałam Pedra. - I jak się ma Caleb?

- Wraca do siebie, chociaż skarży się na straszny ból głowy - odrzekł, rozglądając się czujnie po ulicy, czy nikt nas nie widzi. - Wiadomość o napadzie bandy Billy'ego napędziła wszystkim strachu o ciebie, chyba się domyślasz - dodał, biorąc mnie za rękę, gdy skręciliśmy w ulicę Russella. - Pani Reid odetchnęła z ulgą, jak jej powiedziałem, że schroniłaś się na noc w domu przyjaciółki. Nic się nie martw, Kiciu: mam dla ciebie dobrą nowinę.

- Jaka?

Zimny wiatr podwiewał mi spódnicę - doceniłam nagle dobrodziejstwo wełnianych pończoch.

- Złapali Billy'ego. Nocny patrol dorwał go zaraz po wyjściu z teatru. Już nie musisz bać się Pryszcza.

- Naprawdę?

- Słowo daję.

- To wspaniale!

Kamień spadł mi z serca i poczułam się tak, jakbym nagle urosła o pięć centymetrów: nie tylko zdołaliśmy bezpiecznie odprawić Janka, ale i mój wróg nie może już na mnie dybać! Teraz grozi mu stryczek albo w najlepszym

razie zesłanie na drugi koniec świata.

Skęciliśmy w podwórko przed wejściem dla aktorów. Na widok domu zaczęłam biec.

- Szybciej! - ponagliłam Pedra. - Trzeba to natychmiast uczcić filiżanką czegoś gorącego w Jaskółczym Gnieździe!

- Nie tak prędko, panienko.

Czyjaś dłoń spoczęła ciężko na moim ramieniu, zatrzymując mnie w miejscu.

- Puśćcie ją! - zaprotestował Pedro, podbiegając mi na pomoc, ale został odepchnięty.

- Chcesz, żebym ciebie też aresztował, czarnulku? Lepiej trzymaj się z dala.

- Aresztował? - wyjąkałam zdumiona, podnosząc oczy na tego, kto mnie trzymał. Był to konstabl Lennox z Łuczniczej, który niedawno odwiedził rezydencję przy placu Grosvenor, a wcześniej zrewidował pokój Janka. - A co ja niby takiego zrobiłam?

- Sama panna wiesz najlepiej. Aresztuję cię pod zarzutem złodziejstwa.

- Złodziejstwa? Jakiego znów złodziejstwa?

- Nie udawaj przede mną niewiniątka, moja panno. Wiemy, że przewodniczysz bandzie kieszonkowców okradających widzów w teatrze. Mój informator, a twój wspólnik, siedzi już u nas pod kluczem. Wszystko nam wyśpiewał. Okazał się bardzo chętny do współpracy.

- Kiedy ja... Ja wcale nie... - dukałam bezradnie, rozpaczliwie spoglądając na Pedra, jakby on mógł zakończyć ten koszmar.

- Wszystko wyjaśnisz na posterunku, moja panno - rzekł konstabl z ważną miną i nie puszczać mojego ramienia, ruszył marszowym krokiem w stronę magistratu.

- Pedro! - krzyknęłam przez ramię. - Biegnij zaraz po Lizi!

- Nic się nie martw, Kiciu, już lecę! - odkrzyknął Pedro i minął nas, pędząc na plac Grosvenor.

- Nieźle się zabawiasz, moja panno! - burknął konstabl i potrząsnął mnie za ramię, patrząc z przyganą na mój wytworny strój. - Najpierw zgrywasz pokojówkę, potem wielką damę podróżującą powozem! Tacy są najgorsi: chytry oszuści, którzy biorą moźnych na litość, a potem ich okradają i zmykają, śmiejąc się w kułak! Ale

dość tego, pannico: ciesz się, że wpadłaś w nasze ręce, póki jeszcze jesteś młoda i możesz wyjść z powrotem na dobrą drogę. Zło należy dusić w zarodku - oto moja dewiza!

Pozwoliłam mu się wygadać. W głowie miałam kołwrot myśli. Bez trudu odgadłam, kto był informatorem konstabla: Billy Prysycz gotów był śpiewać jak z nut, żeby tylko wyjść na wolność. Miałam jednak nadzieję, że wszystko się wyjaśni, kiedy już panienka Elżbieta złoży zeznania. Pocieszałam się myślą, że jeszcze przed wieczorem wrócę do domu. Najważniejsze, żeby Janek bezpiecznie odplynął - reszta jakoś się ułoży. Niestety, póki wiał wschodni wiatr, jego statek nie mógł odbić od brzegu i Janek pozostawał wciąż w zasięgu prawa.

Konstabl wprowadził mnie przez boczne drzwi do sądu magistrackiego. Znaleźliśmy się w skąpo umeblowanym pomieszczeniu policji.

- Siadaj tam - polecił, wskazując mi drewnianą ławę.  
- I nie próbuj żadnych sztuczek, bo tylko pogorszysz swoje położenie. Takich smarkaczy jak ty nie zakuwamy zwykle w łańcuchy, ale to się może zmienić. Kancelista spisze twoje dane. - Dał znak głową starszemu

przygarbionemu nad biurkiem. - To chytra mała lisica, Amos. Przywódczyni bandy złodziei - taka młoda, uwierzyłbyś?

Amos spojrział na mnie krótkowzrocznymi oczami, nie wypuszczając pióra z ręki. Przerzedzone siwe włosy otaczały jego łysiejącą głowę jak aureola.

- Rośnie nam nowa Moll Flanders, co? - zażartował kwaśno. - W głowie się nie mieści, że te młode potrafią być takie zepsute. Tak niewinnie wyglądają.

- To tylko pozory. Ta ma serce przegniłe jak półroczne jajko - orzekł konstabl, wyglądając mundur przed szybą drzwi oddzielających posterunek od pomieszczeń sądu.

- Wcale nie! - zaprotestowałam z oburzeniem, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

Mówił o mnie jak o najgorszej zbrodniarce.

- Imię i nazwisko? - spytał urzędowo Amos, ucinając mój protest.

- Katarzyna Królewska - wymamrotałam, czerwieniąc się wbrew woli, bo dwaj konstable, którzy akurat weszli, przyjrzeni mi się ciekawie.

Musiałam dziwnie wyglądać: ubrana jak dama, a przesłuchiwana jak ostatnia nędzarka.

- Miejsce zamieszkania?
- Teatr Królewski Drury Lane.

Amos uniósł brwi.

- Naprawdę?

Kiwnęłam głową.

- Imiona rodziców?
- Nie znam.
- Jesteś sierotą?
- Chyba tak.
- W takim razie nazwisko prawnego opiekuna?
- Nie mam.

Ogarniała mnie coraz większa rozpacz: te pytania uświadomiły mi, że nie mam na świecie nikogo bliskiego, kto stanąłby w mojej obronie.

- Nie ma rodziców, nie ma opiekuna. To czyja ty jesteś, dziecko? Co ja mam tutaj napisać, „porzucona”, a może „włóczęga”? - zastanawiał się kancelista, gryząc koniec pióra.

- Nie jestem włóczęgą - zaprzeczyłam stanowczo. - Należę do służby domowej pana Sheridanana.

Miałam nadzieję, że to nadal prawda i że pan Sheridan nie wyrzekł się mnie za to, że popadłam w konflikt z prawem.

Amos znów spojrzał na mnie wodnistym wzrokiem i zanotował w moich aktach nazwisko pana Sheridana.

- Zarzut?
- Kradzież - wtrącił się posterunkowy.
- Rodzaj i wartość skradzionych przedmiotów?
- Klejnoty wycenione na przeszło czterdzieści funtów.

- A! Więc to sprawa gardłowa - powiedział kancelista i ze znużeniem pokręcił głową. - Następna kandydatka na stryczek.

Zrobiło mi się niedobrze. To było jak koszmarny sen! Przecież na pewno zaraz się obudzę i okaże się, że to tylko sen.

Konstabl podszedł do mnie.

- Wywróc kieszenie na lewą stronę, moja panno!

Wstałam na chwiejnych nogach, po czym wysypałam z kieszeni na kontuar wszystkie monety, co do pensa, oraz kwit z lombardu. Konstabl z niesmakiem dźgnął nędzny stosik, wyławiając spomiędzy monet pomięty kwit.

- Tak jak myślałem. Doniesiono mi, że znajdę przy tobie dowód przestępstwa.

- Kiedy ja nigdy nie zastawiałam skradzionych rzeczy! - krzyknęłam rozżalona, gapiąc się na mój własny podpis na kwicie, którym konstabl wymachiwał mi teraz przed nosem.

- Nie? Ja cię obserwuję już od wczoraj, moja panno. Niedługo po naszym pierwszym spotkaniu, w Drury Lane mieliśmy tu na przesłuchaniu świadka sprawy o zaginiony kałamarz. Zeznawał bardzo chętnie i zdradził nam, że ty, moja panno, dwa dni temu zaniósłś do lombardu znaczną ilość biżuterii - biżuterii, która, jak go zapewniłaś, nie była twoja! - Konstabl oznajmił to z triumfem. - Jak więc weszłaś w jej posiadanie, jeśli nie drogą kradzieży? Spadła ci z nieba czy znalazłaś ją na ulicy? Nie, nie, moja panno: najlepiej przyznaj się do wszystkiego i módl się, żeby sędzia miał dobry humor. Jak się przyznasz, może sąd uzna za wystarczającą karę zesłanie cię do nowej kolonii karnej, w Botany Bay. Ale jak sędzia będzie surowy, a ty odmówisz przyznania się do winy, czeka cię stryczek - albo nazywam się król Jerzy!

Amos zarżał cienkim śmiechem, rozbawiony dowcipem kolegi.

- Tak to wy się, konstablu, nie nazywacie!



Konstabl Lennox uśmiechnął się do niego pobłaźliwie.

- Skończyłeś, Amos? Mogę ją już zamykać?  
- Gotowe - oznajmił Amos, zatykając sobie pióro za ucho.

- Chodź za mną, moja panno - polecił konstabl, zdejmując klucz z przypiętego do pasa łańcucha i zmierzając ku ciężkim żelaznym drzwiom za kantorkiem kancelisty.

Nie miałam wyboru. Poszłam za nim i po raz pierwszy w życiu znalazłam się w więzieniu. Nawet w najczarniejszych fantazjach nie wyobrażałam sobie, że kiedyś tu trafię.

### SCENA 3 - WIĘZIENIE

Konstabl sprowadził mnie na dół wąskimi schodami do ceglanej piwnicy gmachu magistratu. Był to niegdyś skład wina, teraz przerobiony na cele dla takich nieszczęśników jak ja. Słońce wpadało tu tylko przez kraty w ulicznym chodniku, który ciągnął się na wysokości stropu. Przesuwały się na tle tych krat cienie przechodniów, nieświadomych tego, że pod ich stopami siedzą więźniowie. Moje postanowienie zachowania dobrej miny do złej gry słabło z każdą kolejną chwilą i coraz bardziej żałowałam, że nie ma tu nikogo, na którym ramieniu mogłabym się wyplakać i znaleźć pociechę. Brakowało mi matki. Poczulałam się bardzo mała i bardzo samotna.

Zanim jednak zdążyłam się całkiem załamać, konstabl otworzył przede mną drzwi celi. W głębi pod ścianą siedział Billy Prysycz. Jego niedoczekanie, żeby miał mnie zobaczyć płaczącą!

- Siemasz, Kiciu! - zawołał. - Wiedziałem, że w końcu się spotkamy. - Witaj w mojej posiadłości.

Szerokim gestem wskazał luksusy swojego nowego lokum.

Cela, o powierzchni jakichś trzech metrów kwadratowych, śmierdziała gorzej niż najbrudniejsza wygódka. Ceglaną posadzkę zaściełała przegniła słoma.

W kącie stał kubeł do użytku więźniów - wolałam mu się nie przyglądać, bo chyba był pełny. Szary cement ścian pokrywały girlandy pajęczyn, zamieszkane przez niepokojąco wielkie owady, a pod ścianami stały cztery nieheblowane ławy. Billy był tu na razie jedynym rezydentem, wyłączając szczura, który czmychał właśnie z pola widzenia.

- Cieszę się, że nareszcie znalazłeś mieszkanie w swoim guście, Billy - powiedziałam, udając, że nic sobie nie robię z tego koszmaru.

Zarechotał i wyciągnął się na swojej ławie, nadgryzając pomarszczone jabłko, które trzymał w garści.

- Żarty żartami, Kiciu - wymamrotał z pełną gębą - ale nie zapominaj, że ty też teraz tu jesteś. Co powiesz o swoim guście?

- To, że okazałam tragicznie zły gust, w ogóle zadając się z tobą, łapserdaku. To przez twoje kłamstwa trafiłam za kraty.

- Dobra, dobra, dosyć tego - wtrącił się konstabl i wepchnął mnie do celi. - Radzę ci, pannico, wyrażać się przyzwoicie, bo inaczej gorzko za to zapłacisz.

- Nie zostawicie mnie chyba tutaj z nim sam na sam?  
- przeraziłam się, łapiąc konstabla za skraj kurtki od munduru.

Odrzącił mnie.

- Oczywiście, że tak. Cela jest tylko jedna, właśnie ta. Przy odrobinie szczęścia nie posiedzisz tutaj długo, najwyżej dzień, dwa.

- Dzień, dwa?!

- Aż sąd znajdzie wolną chwilę, żeby zająć się twoją sprawą. Potem naturalnie przeniosą cię do regularnego więzienia.

- Kiedy on mnie zabije, jak tu z nim zostanę!

- Ha! - warknął konstabl Lennox. - I dobrze ci tak. Trzeba było się martwić, zanim wmieszałaś się w niecne gierki.

To rzekłszy, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Poczłapałam do ławy po drugiej stronie celi, byle dalej od Billy'ego, i usiadłam ze zwieszoną głową, z rękami na kolanach, czekając, kiedy mój wróg przypuści atak. Przez kilka chwil panowała cisza zakłócana tylko

jego mlaskaniem, bo wciąż jadł jabłko. Wreszcie Billy przemówił.

- Ośmielałam się zauważyć, Kiciuniu, że wyglądasz dzisiaj wyjątkowo uroczo. Można by cię pomylić z prawdziwą damą. Szkoda, że tylko ja i szczury mamy okazję to docenić.

Nic nie odpowiedziałam, wpatrując się w swoje ręce, splecione na zielonym jedwabiu sukni.

- Przyjemnie mieć jakieś towarzystwo. Szkoda, że nie dołączył do nas twój kawaler Pif-Paf. Czmychnął z diamentem i zostawił cię na lodzie, co? Trzeba się było trzymać mnie, malutka. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyś mnie słuchała. Ale bez obaw, Kiciu: zwalimy całą winę na niego i może jakoś uda nam się wykręcić. Powiesz tylko Dziobalowi, gdzie on teraz jest, i będziemy wolni.

Znów ugryzł jabłko i przeżuł je głośno.

- Chcesz kawałek?

Wyciągnął nadjedzony owoc w moją stronę. Pokręciłam głową. Nic, czego dotknął Billy Shepherd, nie przeszłoby mi przez gardło.

- Nie to nie. Jak sobie chcesz. Ale przekonasz się, że tutaj cienko z wyżywieniem - nie to co u jaśnie państwa

przy placu Grosvenor, gdzie podobno ostatnio bywałaś. Stamtąd masz te szmatki?

Nie odezwałam się.

- Kurza twarz, Kiciu! To będzie długa noc, jak nie zaczniesz ze mną gadać. Jedziemy na jednym wózku, i mnie, i tobie grozi stryzynek. No, odezwij się wreszcie!

- Dojadł jabłko, a ogryzek cisnął w kąt, gdzie natychmiast oblażło go robactwo. - Siedzę tu od samego rana i powiem ci, że to wcale nie jest miłe miejsce. Wcale a wcale. Jak szczury zaczną ci podgryzać sznurówki, sama do mnie przylecisz po ratunek.

Spojrzałam na niego. Szczyrzył się od ucha do ucha: najwyraźniej bawiła go każda sekunda mojej niedoli.

- Jesteś ostatnią osobą, u której szukałabym ratunku, Billy. Prędzej poszukam go u szczurów.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To mi się właśnie w tobie podoba, Kiciu: poczucie humoru. Dobrana byłaby z nas para. Może nie jest jeszcze za późno: połączmy siły, a wydostaniemy się z tego bagna. A potem - dokąd pójdiesz? Porządni ludzie z teatru już cię nie zechcą. Chodź do mnie; pomożesz mi rozkręcić pewien interesik w Kolonii Gawronów. Mam

coś na myśli - coś na wielką skalę.

- Dziwi mnie, że w ogóle masz jakieś myśli.

Przełknął to spokojnie.

- I tu się właśnie mylisz. Kolonia Gawronów to nieodkryta żyła złota. Zacznę od karczmarzy: zaproponuję im, żeby mi płacili drobne sumki za ochronę lokali. Potem sam przejmę parę knajp na własność. I będę skupował za uczciwą cenę rzeczy od tych, którzy „przypadkiem” weszli w ich posiadanie. Zatrudnię do pomocy paru chłopaków i parę dziewczyn. Ty, Kiciu, ze swoją znajomością złodziejskich łowisk w wyższych sferach, będziesz dla nas bezcenna. Posłużysz nam jako doskonały parawan. Za niewielki procencik pozwolę ci dyrygować dziewczynami.

Żałosny był ten jego obraz naszego „wspólnego” życia. Musiałam jednak coś powiedzieć.

- Billy, ty się mylisz co do mnie: nigdy w życiu niczego nie ukradłam.

Mrugnął znacząco jednym okiem.

- Jasne, jasne, że nie, Kiciu. Jak tak samo. Jesteśmy oboje niewinni jak nowo narodzone niemowlęta, no nie?

Tak przynajmniej będziemy utrzymywać przed sądem.

Śmiać mi się chciało: Billy zachowywał się jak nachalny adorator, który nie przyjmuje do wiadomości odpowiedzi „nie”. Skąd miał wiedzieć, że w tym samym czasie gdy my rozmawiamy, panienska Elżbieta pędzi przez całe miasto, niosąc mi ratunek.

- Daj spokój, Billy. Kiedy ty zadyndasz wysoko nad ziemią, ja będę już wolna jak ptak. Nie łudź się mrzonkami o Kolonii Gawronów: najpierw zapłacisz drogo za to, co zrobiłeś wczorajszej nocy, a ja będę stać w pierwszym rzędzie tłumów kibicujących twojemu katu.

- Zapłacę, czyżby? - W jego głosie zabrzmiała pogroźka. Spuścił na posadzkę nogi w ciężkich buciorach. - Możesz sobie zgrywać niewiniątko, ale nie zapomnij, że ja znam ciebie i twoją grę. Jeżeli mam zadyndać, to ty zadyndasz razem ze mną. Już ja się o to postaram.

- Marzenie ściętej głowy, Pyszczu! - odparowałam hardo, chociaż ciarki mi przeszły po grzbiecie. - Mam wysoko postawionych przyjaciół. Wyjdę stąd.

- Ale wcześniej nauczę cię trochę rozumu!



Zerwał się z ławy, potracając stojący na posadzce kufel z cienkim piwem. Skwaśniała ciecz chlusnęła na słomę.

- Zrozum wreszcie, Kiciu, że żaden szanujący się przyjaciel nie pomoże ci, jak już trafiłaś tutaj. Jesteśmy tu poza zasięgiem grzecznego i miłego świata. Tutaj trzeba polegać na sobie. - Walnął pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki, zirytowany moim uporem. - Posłuchaj: jak będziemy trzymać się razem i mówić to samo, wypuszczą nas oboje; jak sypniesz, to będzie po mnie - a na to nie pozwolę!

Skoczył w moją stronę. Skuliłam się na ławie, zaciśkając powieki z przerażenia, bo aż za dobrze znałam już jego pięści. Ale nie uderzył mnie. Otworzyłam oczy i przekonałam się, że Billy po prostu nie może mnie dosięgnąć: był przykuty za nogę do podłogi, a swobody miał tyle co pies łańcuchowy. Ten komiczny widok rozwścieczonego Pryszczu, szarpiącego się ku mnie na łańcuchu, sprawił, że parsknęłam śmiechem.

Mój śmiech szybko przerodził się w płacz, przerywany czkawką. Billy jeszcze chwilę piorunował mnie wzrokiem, po czym cofnął się pod swoją ścianę. Wyłuskał

zza cholewki buta nóż i zaczął dłubać jego czubkiem przy żelaznym ćwieku wbitym w popękana ceglaną posadzkę. Atak histerii minął mi jak ręką odjął, gdyż uświadomiłam sobie, że to tylko kwestia czasu, kiedy Billy odczepi swój łańcuch.

Szur, szur, szur - skrobało ostrze o metal i cegłę.

Żadne z nas nic nie mówiło.

- Katarzyna Królewska?

Konstabl stanął nagle w drzwiach, z latarnią w ręce. Usiadłam półprzytomna - okazało się, że zapadłam w niespokojny sen.

- Tak? - wymamrotałam.

- Pójdiesz ze mną.

Ochoczo zerwałam się na nogi. Billy powiódł za mną wzrokiem - nóż, wiedziałam, ukrył w rękawie. A więc zjawiała się panienska Elżbieta? - pomyślałam z nadzieją. Spodziewałam się jej, prawdę mówiąc, znacznie wcześniej i zaczęłam już pomału wątpić, czy w ogóle przyjdzie - ale na szczęście zdążyła, zanim Billy uwolnił się z uwięzi.

Konstabl poprowadził mnie wąskimi schodami w górę, do tej samej kancelarii. Nie zatrzymaliśmy się tam

jednak: ściskając mnie za ramię, otworzył dwuskrzydłowe oszklone drzwi i weszliśmy w korytarz wyłożony grubym czerwonym chodnikiem.

Zbliżaliśmy się do najważniejszych pomieszczeń sądu. Konstabl przystanął przed drzwiami z pięknie wypolerowaną mosiężną gałką i zapukał.

- Wejść! - rozległ się gruby głos.

Konstabl Lennox otworzył drzwi. Moim oczom ukazał się gabinet z dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na zadbane ogród na tyłach magistratu. Ściany zastawione były pełnymi książek regałami, a na biurku i wszystkich innych wolnych powierzchniach leżały w miłym rozgardiaszu papiery i akta. W przeciwieństwie do zimnej celi tu było bardzo ciepło, bo w kominku raźnie buzował ogień. W innych okolicznościach pokój ten wydałby mi się przyjemny.

Mimo że spostrzegłam tyle szczegółów, moja uwaga skupiła się przede wszystkim na obecnych w pokoju osobach, które na moje wejście odwróciły się ku drzwiom. Był wśród nich nieznanym mi starszy dżentelmen w peruce, odziany na czarno, z czymś w rodzaju białego śliniaka pod szyją - siedział za biurkiem, palce zaplótł na blacie przed sobą i obserwował mnie. Na skraju krzesła na

wprost niego przycupnęła panienka Elżbieta; była blada, a na jej twarzy zauważyłam ślady łez. Bardzo się wzruszyła, widząc mnie w tak nędznym położeniu. U jej boku stał panicz Franciszek - też blady, ale tą bladością, która znamionuje z trudem hamowany gniew.

W drugim końcu pokoju, ze wzrokiem wbitym w okno wychodzące na ogród, tkwił Marcypan Marchmont. Gdy weszłam, odwrócił się i poczęstował mnie triumfalnym uśmiechem. Pomału zaczynałam się domyślać, co tutaj zaszło. Obok Marchmonta stał książę, który świdrował mnie chmurnym wzrokiem z taką siłą, że to niemal bolało. Marchmont szepnął coś do księcia, ten zaś pokiwał głową, jakby potwierdziły się wszystkie jego najgorsze przypuszczenia.

- Oto uwięziona, jaśnie panie - powiedział konstabl, stając za mną z założonymi na piersi rękami, jakbym była dziką bestią, której nie wolno ani na chwilę spuścić z oka.

Sędzia odchrząknął.

- Katarzyna Królewska, w świecie przestępczym znana również pod imieniem Kicia?

- Tak - potwierdziłam - ale wcale nie w świecie przestępczym, tylko wśród przyjaciół.

Sędzia spojrzał na mnie z dezaprobatą.

- Proszę odpowiadać tylko „tak” lub „nie” - pouczył mnie. - Nie życzę tu sobie żadnych przemówień. Zrozumiano?

- Tak, panie sędzio - odrzekłam potulnie, zerkając pytająco na panienkę Elżbietę.

Do tej chwili miałam cichą nadzieję, że zostanę uroczyście przeproszona i wypuszczona na wolność. Wcale jednak na to nie wyglądało.

Sędzia zwrócił się do księcia i Marchmonta.

- Czy to jest ta dziewczyna - oszustka - którą jaśnie wielmożny pan widział dzisiaj rano w swoim domu?

Księżę nieznacznie skinął głową.

- Tak. Przyjrzałem się jej uważnie, ponieważ obecny tu młodzieniec - wskazał głową na Marchmonta - nie dalej jak wczoraj przestrzegł mnie przed nadmiernym wpływem tej osoby na moje dzieci. Przysiągłbym też, że ta osoba ubrana jest w strój mojej córki - poznaję tę suknię. Musiała ukraść ją razem z klejnotami.

- Niczego nie ukradła! - wpadł mu gwałtownie w słowo panicz Franciszek, nie mogąc dłużej się powstrzymać. - Ojczy, to czysta głupota dawać wiarę temu fałszywcowi, który sączy ci do ucha truciznę! Lizi podarowała jej tę sukienkę, co powtórzyliśmy ci oboje już tysiąc razy!

- Milcz! - rozgniewał się książę i spiorunował syna wzrokiem. - Nie pozwolę, żeby ktokolwiek, a zwłaszcza mój syn, zarzucał mi głupotę!

- Więc nie zachowuj się głupio! - odpalił mu nierozważnie panicz Franciszek.

- Uprzedzałem cię przed przyjściem tutaj - rzekł książę z pogroźką w głosie - że masz się więcej w tej sprawie nie odzywać. Jestem wstrząśnięty - wstrząśnięty i zasmucony tym, że mój syn pozwolił własnej siostrze wpaść w łapy tak podstępnej kreatury. Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. To oznacza wyjazd do szkoły, kawalerze, do szkoły!

- Proszę, możesz mnie, ojczy, wysłać do szkoły, ale najpierw choć raz w życiu wysłuchaj prawdy!

- Niegodziwy chłopczy! - wykrzyknął z gniewem książę i już uniósł rękę, żeby wytargać syna za uszy, ale zmiygował się w porę i opuścił ją.

Marchmont z szerokim uśmiechem delektował się upokorzeniem panicza Franciszka. Żałowałam, że nie stoję bliżej, żeby go kopnąć.

- Ależ papo! - wtrąciła się panienka Elżbieta, kładąc łagodnie dłoń na rękę ojca. - To prawda: ja jej podarowałam to ubranie.

Książę poklepał jej dłoń z czułością.

- Wiem, że źle ulokowane współczucie każe ci bronić tej dziewczyny, Lizi. Lecz przecież z własnej woli nie oddałabyś w zastaw klejnotów, które otrzymałaś od matki i ode mnie w dniu rozpoczęcia dorosłego życia - wiem, jak bardzo były ci drogie. Jakiż powód mógłby cię pchnąć do takiego postępuku? Masz przecież wszystko, niczego ci nie braknie. Zawsze bardzo o to dbałem.

Panienka Elżbieta zwróciła na mnie oczy pełne udręki. Zgadywałam, co w tej chwili myśli: gdyby wspomniała o Janku, teraz, wobec sędziego, nieszczęśnik wylądowałby razem ze mną w celi, z nikłą lub zerową szansą powtórnej ucieczki. A nam, kto wie, co groziło za udzielenie pomocy ściganemu przestępcy. Musimy zatem milczeć jak grób, dopóki statek z Jankiem nie odpłynie.

- Papo, zawsze byłeś dla mnie bardzo szczodry, jednak wolałam ci nie mówić, że... że... - płątała się bezradnie panienska Elżbieta.

- Że potrzebuje pieniędzy na spłatę moich długów hazardowych - dokończył za siostrę panicz Franciszek.

Księżę odwrócił się gwałtownie do syna.

- Długów hazardowych?! Pierwsze słyszę o jakichś długach! Kiedy do tego doszło?

- Na meczu bokserskim w ubiegłą niedzielę: Rzeźnik z ulicy Łuczniczej walczył wtedy z Taranem z Camden - wyjaśnił płynnie i wyczerpująco panicz Franciszek.

Księżę spurpurowiał z gniewu, gdy dotarło do niego, że choroba syna sprzed tygodnia była sfingowana. Panicz Franciszek, zamiast budującej nauki Kościoła, wybrał błahą uciechę oglądania walki na ringu bokserskim.

- A jak dostałeś się na mecz bokserski, kawalerze? Kto cię wprowadził? - spytał księżę z zimnym opanowaniem.

- Pedro, afrykański skrzypek. Kicia była przeciwna temu, żebym tam szedł.



- Więc ta dziewczynka też była na meczu bokser-  
skim? - spytał książę, patrząc na mnie z niedowierza-  
niem. Rzeczywiście, ubrana w jedwabie i koronki, z ko-  
kardą we włosach, nie wyglądałam na kibica męskich  
sportów. - To prawda, moja panno? Czy mój syn mówi  
prawdę?

Pokiwałam głową, doszedłszy do wniosku, że muszę  
podtrzymać kłamstwo o długi hazardowym panicza  
Franciszka.

- Była tam oczywiście przebrana za chłopca - uzu-  
pełnił panicz Franciszek, niesłusznie przypuszczając, że  
fakt ten może usprawiedliwić mój wybryk w oczach  
księcia.

- Przebrana za chłopca? - Niebieskie oczy księcia  
zapłonęły oburzeniem pod krzaczastymi siwymi brwia-  
mi.

Znów kiwnęłam głową.

- I to ona wciągnęła cię w hazard, czy tak? - zwrócił  
się książę do syna.

- Nie, nie, to ja sam. Ona temu także była przeciwna.  
A potem Lizi zaoferowała się pomóc mi, zastawiając swe  
klejnoty. Kicia tylko zaniósła je do lombardu.

- Hmm... - Księżę zamyślił się, spoglądając to na mnie, to na syna. - To istotnie podobne do Lizi pozwolić ci się w ten sposób wykorzystać. Powinieneś zapaść się ze wstydu pod ziemię, że tak dalece nadużyłeś dobroci siostry.

Panicz Franciszek zwiesił głowę, żywiąc chyba nadzieję, że ta ostatnia reprimenda oznacza, że ojciec przyjął kłamstwo do wiadomości.

- Jednak w końcu nie zobaczyłeś z tych pieniędzy ani centa, czy nie tak, młody głupcze? - Panicz Franciszek chciał coś na to odpowiedzieć, ale księżę uciszył go gestem. - Przyznaj się: zostałeś oszukany. Źle wybrałeś sobie emisariuszkę, nieprawdaż? Dziewczyna czmychnęła z pieniędzmi i oddała je temu Shepherdowi.

- To łotr spod ciemnej gwiazdy - odezwał się sędzia. - Kiedy został ujęty, miał przy sobie całe czterdzieści funtów, jaśnie wielmożny panie. A przy tej dziewczynie znaleźliśmy kwit z lombardu. Sprawa nie pozostawia wątpliwości: to oszustwo i kradzież, być może z wymuszeniem, o czym zdaje się świadczyć przywłaszczona garderoba. - Spojrzał na mnie z wyżyn swojej katedry, jak na śmieć, który pies przywłókł z wysypiska. - Ta

suknia musi być warta co najmniej dziesięć funtów. Wobec tak zuchwałej zbrodni sąd nie może mieć względu na młodociany wiek oskarżonej. Nie będę apelował o łaskę podczas wydawania wyroku.

Marchmont wyraźnie się z tego ucieszył.

- Jeśli wolno coś dodać, panie sędzio - rzekł, wbijając jeszcze jeden gwóźdź do mojej trumny. - Mam powody przypuszczać, że ta osoba zadawała się z kryminalistami jeszcze gorszego autoramentu, a ściślej: ze zdrajcami stanu, udzielając im schronienia, także, niewątpliwie, za pieniądze.

Trzeba było za wszelką cenę uniknąć wmieszania w tę sprawę Janka. Nie znajdowałam słów na swoją obronę - było dla mnie jasne, że ani książę, ani sędzia nie wierzą w moją niewinność i zdecydowani są ukarać mnie za grzechy, których nie popełniłam. Nie wyjdę stąd na wolność, tylko trafię z powrotem do celi w areszcie, stamtąd do więzienia, a z więzienia... bałam się nawet o tym myśleć.

- Ależ papo, ona wcale taka nie jest! Pan Marchmont się myli. Ty nic nie rozumiesz, papo... - zaczęła błagalnie panienka Elżbieta.

- Ech, Lizi, Lizi - westchnął książe, ze smutkiem kręcąc głową. - Oby to doświadczenie stało się dla ciebie pożyteczną nauzką. Matka i ja wychowaliśmy cię pod kloszem, nie byłaś przygotowana na swoje pierwsze zetknięcie z nieprawością ludzkich serc. Zobaczyłaś oto przed sobą niewinnie wyglądającą dziewczynkę w potrzebie, podczas gdy ja w tej samej dziewczynce widzę pijawkę, która przyssała się do ciebie i niecierpliwie wykorzystwała twoją ufną naturę. Gdyby młody Marchmont nie uczulił mnie na grożące ci niebezpieczeństwo, kto wie, do czego by jeszcze doszło?

Nie mogłam dłużej znieść tych obraźliwych pomówień.

- Nie jestem pijawką! - zaprotestowałam. - Suknię mogę oddać, proszę bardzo. Pieniądzy wcale nie ukradłam. To mnie ukradziono te pieniądze, zanim zdążyłam je przekazać panience Elżbiecie.

- Napominam cię, młoda niewiasto - rzekł pompacyjnie sędzia. - Przemówienia zachowaj sobie na proces. Kazałem cię tutaj przyprowadzić tylko i wyłącznie na wyraźną prośbę księcia, który domagał się konfrontacji w obecności swoich dzieci. Chyba już wystarczy. Możecie

ją odprowadzić na dół - zwrócił się do konstabla.

Konstabl oparł ciężką rękę na moim ramieniu.

- Kiciu! - zawołała panienska Elżbieta. Wyrwała się ojcu, podbiegła do mnie i chwyciła mnie za rękę. - Obiecuję ci, że wszystko dobrze się skończy. Moja w tym głowa.

- Nie dotykaj jej! - krzyknął z obrzydzeniem książę.  
- Kto wie, jakie nosi na sobie zarazki! Nie chcę, żeby moja cieplarniana różyczka zapadła na więzienną febrę!

Wdarł się między panienkę Elżbietę a mnie, tak że trąciłam czołem haftowany gors jego kamizelki.

Panicz Franciszek tymczasem przecisnął się za plecami Marchmonta i podbiegł do drzwi, żeby tam szepnąć do mnie słówko.

- Potrzeba ci czegoś, Kiciu? Poza wyjściem stąd, naturalnie? - spytał, siląc się na zawadiacki uśmiech.

Moją odpowiedź zdławił szloch. Konstabl już ciągnął mnie do celi. Bardzo chciałam zrobić dobrą minę do złej gry, ale serce pękało mi z rozpacz.

- Poproś Pedra, żeby przyniósł mi tu z teatru moje rzeczy. Jeśli mu na to pozwolą, oczywiście - szepnęłam

zduszonym głosem. - I wydostańcie mnie stąd jak najprędzej! Siedzę w jednej celi z Billym Shepherdem i obawiam się... obawiam się, że długo tam nie pożyję.

- O do licha, Kiciu! Wydostaniemy cię, obiecuję! Nawet gdyby to miał być ostatni uczynek w moim życiu!  
- zawołał za mną panicz Franciszek, już z daleka, bo byłam coraz bliżej celi.

## SCENA 4 - SZAMPAN

Czytelniku, mogę śmiało powiedzieć, że pierwsza noc w więzieniu była najgorszą nocą mojego życia. Szmaragdowa suknia przestała dawać mi poczucie miłego luksusu - więzienne okoliczności zamieniły ją w udrękę i szyderstwo. Najchętniej zdarłabym ją z siebie i pewnie bym to zrobiła, gdybym miała w co się przebrać. Bałam się zdrzemnąć choćby na chwilę, bo chociaż Billy około północy przerwał dłubanie przy łańcuchu i zachrapał donośnie, rozwalony na ławie, zdawało mi się, że gdy zasnę, obudzę się z jego nożem na gardle - albo nie obudzę się wcale. Na dodatek byłam zziębnięta, głodna i wszystko mnie bolało od twardej ławy. Przesiedziałam tak wiele godzin, z kolanami pod brodą, i zmuszałam się do czuwania, nasłuchując turkotu powozów z ulicy i szurania szcurzych pazurków pośród słomy. Jednostajne kap-kap-kap gdzieś w ciemności odmierzało upływające chwile.

Zaczęłam już wątpić, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę światło słońca. Ciekawiło mnie, jak dalece nie- przejednany

jest w istocie księżę. Czy uwierzy swoim dzieciom, gdy po odplynięciu statku z Jankiem opowiedzą mu całą prawdę, czy też uzna to za ich kolejny wymysł dla ratowania mojej skóry? A jeśli nawet jakimś cudem wyjdę na wolność, to co dalej ze mną będzie? Billy miał słuszność: jeżeli nie opuszczę więzienia z oczyszczoną reputacją, nikt mnie nigdzie nie przygarnie. Pan Sheridan może i da wiarę moim tłumaczeniom, ale nawet on nie ustrzeże się przed wątpliwościami. Przecież sam przyłapał mnie w ostatnich dniach na podsłuchiwanie i myszkowaniu tam gdzie nie trzeba - a to nie mogło mu się spodobać. Już wcześniej nie ufał mi do końca, skoro nie zdradził mi prawdy o diamencie. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby teraz wolał się mnie pozbyć.

Moje czarne myśli przerwało nad ranem metaliczne stukanie. Poderwałam się i przez moment, oszołomiona, byłam pewna, że to Billy podjął na nowo dłubaninę przy łańcuchu - dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, że dźwięk dobiega od kraty w suficie, przez którą dochodziło do celi dzienne światło i powietrze.

- Kiciu! - rozległ się czyjś szept. - Kiciu!



Zerwałam się z ławy i po cichutku, żeby nie zbudzić towarzysza niedoli, zaczęłam skradać się do kraty. Spod moich nóg czmychały z piskiem szczury. Billy zamruczał przez sen. Zamarłam w bezruchu. Przewrócił się na plecy i zachrapał jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem.

- Kiciu! - zabrzmiał znowu szept, tym razem bardziej dobitny.

Stanąwszy pod kratą, wspięłam się na palce i wyrzłam w mrok.

- Kto tam? - szepnęłam.

- To ja, Pedro! - powiedział, nieco za głośno, mój przyjaciel.

- Ćśśś! - uciszyłam go. - Billy tu jest. Na razie śpi, ale w każdej chwili może się obudzić.

Pedro mówił szybko, ściszonego szeptem:

- Są tu ze mną Syd i Franek. Stoją na czatach. Nie mogliśmy do ciebie wcześniej przyjść. Dopiero teraz patrol zszedł z ulicy na posiłek. Mamy najwyżej parę minut.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś.

Pedrowi nie musiałam tłumaczyć, jak okropnie jest w więzieniu - podróżował bądź co bądź w ładowniach

statków z niewolnikami. Świetnie znał takie miejsca albo i jeszcze gorsze.

- Przyniosłem ci coś do jedzenia. Franek wykradł z domu. Uważaj: podaję przez kratę. Jest też coś do picia, ale butelka się nie mieści - szeptał Pedro.

- Zaczekaj! Mam tu kubek.

Skoczyłam po kubek, w którym dostałam wieczorem wodę do popicia skibki chleba. Resztkę wody wylałam do wiadra i podstawiłam kubek pod kratę. Pedro odkorkował butelkę i bardzo ostrożnie zaczął nalewać. Musiałam stać na samych czubkach palców, aż w pewnej chwili zachwiałam się i płyn z kubka chlusnął mi na twarz.

- Co to jest? - spytałam Pedra, zlizując musujący słodkawy płyn, którego resztki starłam rękawem.

- Szampan - powiedział Pedro.

- Szampan?

- Frankowi niczego innego nie udało się wykraść z kredensu.

- To pewne, że jestem pierwszym więźniem aresztu Jego Królewskiej Mości, który raczy się szampanem! - szepnęłam, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd trafiłam do podziemnej celi.

- Jesteś niezrównana, Kiciu. - W słabym blasku księżyca dostrzegłam błysk oczu Pedra. - Trzymaj prowiant.

Wcisnął przez kratę płaski pakunek.

- Co to jest? Łosoś wędzony i krem z likierem? - zartowałam, chowając prowiant do kieszeni, na później.

- Nie - odparł z całą powagą Pedro. - Pieczeń z dziczyzny, rostbef i szarlotka z migdałami. Resztki z balu maskowego, jak powiedział Franek. Mogło się trochę pokruszyć, kiedy przeciskałem przez kratę.

A potem umilkliśmy nagle. Pedro spoglądał na mnie w dół, ja na niego w górę.

- Biedna Kicia... - powiedział.

Nie zniosłabym, gdyby zaczął się nade mną użalać. Sama ledwo broniłam się przez czarną rozpaczą.

- W którą stronę wieje wiatr? - zmieniłam szybko temat. - Janek odpłynął?

- Nie. - Pedro obejrzał się nerwowo przez ramię, zapewne na kolegów. Nasz czas dobiegał już końca. - Postanowiliśmy, że jutro powiadomimy Janka o tym, co się z tobą dzieje, i powiemy księciu całą prawdę.

- Nie wolno wam tego zrobić! - przeraziłam się. -  
Przecież go aresztują!

- Wszyscy dobrze wiemy, że Janek nie zgodziłby się nigdy, abyś przez niego siedziała w więzieniu. A jedyny sposób na to, żeby księżę uwierzył swoim dzieciom, to sprowadzić jako świadka Janka. Księżę już jutro chce wysłać Franka do szkoły - mamy więc coraz mniej czasu, żeby go przekonać.

- Ale księżę powtórzy wszystko w magistracie, a wtedy aresztują Janka za zdradę stanu!

- Wiemy o tym, ale pamiętaj, że i tobie grozi teraz kara śmierci. Uznaliśmy, że angielski sąd prędzej spojrzy przez palce na ustosunkowanego bogacza, który obraził króla, niż na sierotę oskarżoną o to, że okradła księcia. Bądźmy szczerzy, Kiciu: jeśli zostawimy to tak, jak jest, to koniec z tobą.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Zostałaś przegłosowana, cztery do jednego. Nawet pięć do jednego, gdyby był tu z nami Janek.

- Cztery? A kto czwarty?

- Syd. Powiedzieliśmy mu wszystko. Zaklina się, że jak cię nie wypuszczą, to wyrwie cię stąd siłą, a przy

okazji wykończy Billy'ego. Ciężko było go przekonać, żeby jeszcze trochę się z tym wstrzymał.

- Podziękuj mu i powiedz, żeby się dla mnie nie narażał.

Krzepiąca była myśl, że mam jeszcze wiernych przyjaciół.

Pedro obejrzał się. Ktoś gwizdnął przenikliwie.

- Koniec. Muszę już iść. Nic złego ci się nie stało, Kiciu? Billy za bardzo nie dokucza?

- Nie, wszystko w porządku - skłamałam. Po co miałam im mówić prawdę? Tylko by się zmartwili. - Ale Pedro, proszę cię, jeszcze na razie nie mówcie nic Jan-kowi. Może wymyślimy coś innego. Nie chcę mieć na sumieniu jego śmierci.

Wystawiłam palce przez kratę, a Pedro lekko je uści-  
snął.

- A my twojej! - powiedział. - Niczego nie obiecuję, Kiciu. Do zobaczenia!

Zerwał się i w paru susach zniknął w ciemności.

Zaraz potem zadudniły kroki nocnego patrolu, znów podejmującego swoje obowiązki.

Wróciłam na ławę. Kubek z szampanem postawiłam ostrożnie obok siebie. Bardzo starannie rozwinęłam

paczuszkę i rozłożyłam sobie prowiant na kolanach. Gdy tak siedziałam, oparta plecami o wilgotny, zapleśniały mur celi, dotarła do mnie ironia całej sytuacji: na jedwabnej sukni trzymałam oto najwspanialszą kolację swojego życia - jakkolwiek nieco pokruszoną po podróży przez całe miasto, o czym zresztą uprzedził mnie Pedro. A do popicia miałam szampana - napój, którego jeszcze nigdy w życiu nie kosztowałam. Cóż, należało teraz albo dalej wpatrywać się w te smakołyki, aż dobiorą się do nich szczury, albo zacząć konsumować królewski posiłek bez oglądania się na ironię losu. Zjadłam - i to z rozkoszą. Uczta miała jednak pewien nieoczekiwany efekt uboczny: po wypiciu szampana zasnęłam jak kłoda. Nawet strach przed krwiożerczym współlokatorem celi nie dał rady odurzającym bąbelkom.

- Dzień dobry, Kiciu.

Zostałam brutalnie obudzona uderzeniem ogryzka jabłka w czoło. Zerwałam się natychmiast.

- Widzę, że jednak siedzisz tu dalej z biednym starym Billym. To może moja propozycja wcale nie była taka zła?

Spojrzałam w drugi koniec celi: Billy szczyrzył się jak zły demon z ponurej bajki.

- Coś kiepsko dziś wyglądasz, mała. Lepiej pomyśl o wydostaniu się stąd, zanim twoja nowa suknia zamieni się w łachmany.

Popatrzyłam po sobie. Jedwabna suknia była brudna i poplamiona szampanem, którym oblałam się w nocy. Białe wczoraj pończochy zszarzały, a na jednym kolanie widniała spora dziura. Moje pięknie uczesane loki potargały się niemiłosiernie przez ten krótki czas, który prześpałam na twardej ławie.

- No i gdzie się podzieli twoi przyjaciele? Zapomnieli, jak widzę, o swoim kociaczku?

Nie, nie zapomnieli - pomyślałam w duchu, postanawiając, że nie dam się wyprowadzić z równowagi głupimi docinkami. Pamiętałam przecież świetnie smak pysznej kolacji z szampanem.

- Dzień dobry, panie Shepherd - powiedziałam i przeciągnęłam się leniwie, jakbym wstawała z głębokiego snu w puchowej pościeli. W głowie czułam dziwną lekkość - widocznie szampan jeszcze nie całkiem z niej wywietrzał. - Pogoda, widzę, dzisiaj dopisuje.

Billy już miał się odruchowo odwrócić do kraty, ale w porę się zorientował.

- Przyznaj się, Kiciu, wyśpiewałaś wszystko? Biedactwo: wystarczyła jedna noc za kratkami i już po odwadze.

- Nie, *au contraire, mon ami*. Nie zmieniłam swojego stanowiska. Myślę tylko o przyjemności, jaką bywa dobra kolacja na pusty żołądek.

- Dobra kolacja? Kawalek chleba i kubek mętnej wody nazywasz dobrą kolacją? Widocznie właściciele teatrów są bardziej skąpi, niż myślałem.

Sięgnęłam po kubek, na którego dnie została resztką złocistego płynu, i wzniosłam nim toast, spoglądając na Billy'ego.

- Pańskie zdrowie.

Opróżniłam kubek jednym haustem i wyrwało mi się lekkie beknięcie.

- Oszalała! Oszalała z kretesem! - wykrzyknął Billy, przecierając oczy, trochę z podziwem, a trochę z niedowierzaniem.

Szczęk klucza w zamku kazał nam obojgu spojrzeć na drzwi. Staął w nich konstabl Lennox.

- Panna Królewska, proszę ze mną.



Serce skoczyło mi do gardła: cóż mogło znaczyć to wezwanie? Sądzę chyba jeszcze nie urzęduje o tak wczesnej porze? Wyobraziłam sobie, że sędzia siedzi właśnie w szlafroku, popija gorącą czekoladę i ani mu w głowie zajmować się londyńskimi szumowinami, takimi jak ja. A może - przestraszyłam się nagle - złapali Janka? Tymczasem jednak nie miałam innej rady, jak iść za konstablem.

Billy snuł chyba podobne do moich przypuszczenia. Wcale nie ucieszyło go moje wywołanie z celi: nie zdążył jeszcze przecież namówić mnie do kłamstwa dla ratowania mojej i jego skóry.

- Dokąd ją zabieracie? - zagadnął nerwowo konstabla, szarpiąc się na łańcuchu jak uwiązany pies.

Konstabl nie raczył mu odpowiedzieć, tylko z hukiem zamknął drzwi.

- Tędy, panienko.

Nie prowadził mnie za ramię jak poprzednim razem, tylko szedł przodem, oświetlając drogę latarnią, żebyśmy nie potknęli się na schodach. Niespokojna, ale i zaciekawiona wspinałam się za nim. Wprowadził mnie do jakiegoś gabinetu, gdzie za biurkiem siedział kancelista Amos, a przed biurkiem, przodem do niego, stał dżentelmen w

plowym surducie i czarnych butach z wysokimi cholewami. Pan ten odwrócił się do mnie: był to hrabia Ranworth, ojciec Janka.

- Czy to jest to dziecko, jaśnie panie? - spytał go z szacunkiem konstabl, wypychając mnie do przodu.

- W rzeczy samej - odrzekł hrabia.

Wyglądał na zdziwionego moim widokiem, chociaż z rozmowy wynikało, że kazał mnie sprowadzić.

- I potwierdza jaśnie pan, że ta młoda osoba dała pańskiemu synowi czterdzieści funtów w imieniu córki księcia, a syn pański zwrócił jej wspomniane czterdzieści funtów w dniu przedwczorajszym, po otrzymaniu pewnej kwoty od jaśnie pana?

- Zgadza się. Sami więc widzicie, konstablu, że dziewczynka po prostu nie zdążyła odnieść pieniędzy ich prawowitej właścicielce, chociaż nie wątpię, że taki właśnie miała zamiar.

- No a jak te pieniądze dostały się do rąk Billy'ego Shepherd'a? - spytał konstabl, zerkając na mnie z powątpiewaniem.

- Najlepiej zapytać o to dziewczynkę. Czy ktokolwiek w ogóle pomyślał o tym, żeby wysłuchać, co ona ma do powiedzenia o całej sprawie?

Konstabl Lennox odchrząknął zmieszany.

- Prawdę mówiąc, jaśnie panie...

- A więc zapytaj ją, człowieku!

Konstabl odwrócił się do mnie.

- Słyszałaś, co mówił pan hrabia - rzekł surowo. - A co ty masz do powiedzenia?

- Billy z dwoma chłopakami włamał się do teatru, żeby ukraść... żeby ukraść coś, co spodziewali się tam znaleźć - wyrecytowałam pospiesznie. - Ci dwaj, nie znam ich prawdziwych imion, odkryli pieniądze pod moją poduszką i wzięli je. Powiedziałam to Billy'emu, a on odebrał im pieniądze, które chciał przeliczyć później.

- A więc nie on osobiście ukradł ci pieniądze?

Niechętnie pokręciłam głową, bo nie mogłam dalej oskarżać Billy'ego bez ujawnienia prawdy o Janku i całej nocnej napaści.

- I otóż to, konstablu - podsumował dobitnie hrabia, obejmując mnie ramieniem. - Aresztowaliście niewłaściwą osobę. Trzeba było schwycić tych dwóch złodziejasków, a nie dziewczynkę. Opisz konstablowi, moje dziecko, jak oni wyglądali, a ręczę, że na tym skończą się twoje kłopoty.

- Chwileczkę, jaśnie panie - ostudził go konstabl. - Nie mogę jej tak po prostu wypuścić. Potrzebne są dowody. Gdzie jest ten pański syn? Co ma wspólnego z tą całą sprawą? Powiniennem osobiście się z nim rozmówić.

- To niemożliwe, konstablu. Dzisiaj rano wyruszył w podróż morską.

- Dokąd? Kiedy wraca?

Hrabia Ranworth wyprostował się dumnie i spojrzał z góry na konstabla, gromiąc go wzrokiem. Przypominał teraz swojego syna w chwilach gniewnego uniesienia - na przykład wtedy, gdy Janek groził bandzie Billy'ego nienabitymi pistoletami.

- Nie mam pojęcia - odparł z irytacją. - Wyjechał i tyle. Ale nie możecie trzymać niewinnego dziecka w więzieniu tylko dlatego, że mój syn jest nieobecny! Czy nie wystarczy wam moje słowo?

- A książkę? - spytał konstabl Lennox, mocno wystraszony.

- Na litość boską, człowieku! Już ja się tym zajmę. Proszę: oto pięćdziesiąt funtów kaucji za dziewczynkę. - Hrabia wyciągnął z pugilaesu duży kwit bankierski i rzucił go na biurko. - Zwolnijcie ją natychmiast, a ja

wam obiecuję, że książę do południa wycofa wszystkie swoje skargi; jeżeli nie - możecie mnie nazwać durniem!

Nieszczęsny konstabl za nic nie chciał zostać oskarżony o nazwanie hrabiego durniem, toteż ujął nieśmiało w dwa palce kwit bankierski i skinieniem głowy dał znak Amosowi.

- Przygotuj protokół, Amos - polecił - a ja załatwię sprawę z sędzią.

- Z sędzią Johnem Solmesem, czy tak? - upewnił się hrabia.

Konstabl Lennox pokiwał głową.

- W takim razie chętnie pójdę z wami i pomogę. Jesteśmy z sędzią w zażyłej przyjaźni, chodziliśmy razem do szkoły. Ty posiedź tutaj, dziecko. To nie potrwa długo.

Hrabia podprowadził mnie do fotela przy kominku i usadził w nim jak wielką damę.

- Dziękuję - bąknęłam schrypniętym głosem.

Wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć w tak niespodziewany obrót zdarzeń. Skąd hrabia Ranworth wiedział, że jestem w areszcie? I czy rzeczywiście doprowadzi do mojego uwolnienia?

W ciszy, która zapadła po wyjściu panów, słychać było tylko poskrzypywanie pióra Amosa i trzaski ognia na kominku. Po raz pierwszy od wczorajszego popołudnia nie było mi zimno.

- Gotowa do wyjścia?

Zdrzemnęłam się z wyczerpania i nie spostrzegłam nawet, jak hrabia Ranworth znalazł się znów u mojego boku.

- Do wyjścia?

- Tak, moje dziecko. Jesteś wolna, możesz wyjść.

- Jest zwolniona za kaucją, jaśnie panie - skorygował konstabl, wciąż zerkając na mnie nieufnie.

Widocznie nie przestał podejrzewać mnie o bliżej niesprecyzowane wykroczenia. Uważał bądź co bądź, że jestem mózgiem jednego z najgroźniejszych gangów w Londynie.

Hrabia puścił jego słowa mimo uszu.

- Mój powóz czeka. Musimy tylko jeszcze gdzieś zajrzeć po drodze, zanim odwiozę cię do domu. Wybacz, ale to konieczne, Katarzyno. - Pomógł mi wstać z fotela.

- Żegnam panów - dodał, uchylając lekko kapelusza przed Amosem i konstablem.

Potem wyszliśmy na słońce.

- Skąd pan hrabia wiedział? - spytałam go, ledwie wsiedliśmy do powozu.

Hrabia opatulił mnie wielkim pledem i podał mi termos z gorącą herbatą.

- Od Sheridana. Przysłał mi w nocy przez posłańca pilną wiadomość, że wylądowałaś w więzieniu przez mojego niesfornego syna. Przyszedłbym po ciebie wcześniej, ale najpierw chciałem upewnić się, że Jonatan odpłynął.

- A więc to prawda, że odpłynął?

- Tak, dziś rano. Z wiatrem prosto w żagle. Już nie musisz się o niego niepokoić, Katarzyno.

- Lepiej: Kiciu. Janek też tak na mnie mówi.

- Doprawdy? - Hrabia uśmiechnął się i zmierzwił mi włosy, dokładnie tak jak to robił jego syn. - Wiedz zatem, że przynajmniej jeden ojciec jest rad, iż jego syn wybrał sobie ciebie za przyjaciółkę. Ten Afrykanin - Pedro, jeśli się nie mylę? - opowiedział mi o całej waszej kampanii dziś rano, kiedy prowadził mnie do portu. Zdażyliśmy tam akurat w chwili, gdy „Potomak” wypływał na pełne morze.

Wtuliłam się w pled.

- A dokąd teraz jedziemy?

- Do tego głupca, księcia, przekonać go, aby wycofał swoje niedorzeczne oskarżenia! - wyjaśnił hrabia Ranworth.

Zajechaliśmy przed rezydencję przy placu Grosvenor w momencie, gdy wielki dom zaczynał się budzić do nowego dnia. Lokaje otwierali właśnie okiennice. Pokójówka, która szorowała paradne schody, dygnęła, robiąc nam przejście.

Drzwi otworzył lokaj Józef.

- Witam pana hrabiego - rzekł z ukłonem, rozpoznając gościa. Z niepokojem spojrział na towarzyszącą hrabiemu nędzną postać okutaną w koc, ale zachował ton niewzruszonego profesjonalizmu. - Jaśnie pan zasiadł właśnie do śniadania. Czy mam go powiadomić o przyjeździe pana hrabiego?

- Nie, nie trzeba - odrzekł hrabia, mijając lokaja w drzwiach. Ja zatrzymałam się niepewnie w progu, lecz hrabia odwrócił się i powiedział: - Wejdz, Katarzyno. Ty także jesteś proszona.

Józef zastąpił mi drogę. Przez chwilę myślałam, że chce mnie wyrzucić, jednak on tylko rzekł z wielką uprzejmością:



- Czy panienka łaskawie pozwoli, że wezmę jej... jej okrycie?

- Wolałabym, jeśli można, nie zdejmować go - szepnęłam zawstydzona.

Strój, który miałam pod spodem, z pewnością nie nadawał się teraz do prezentacji na salonach.

Józef skłonił się lekko.

- Jak panienka sobie życzy.

Wszedłszy do hallu, ujrzałam u stóp schodów duży kufer.

- To panicza - powiedział cicho Józef. - Po śniadaniu wyjeżdża do szkół, niestety, panienko.

Posłał mi przy tym znaczące spojrzenie, dając do zrozumienia, że doskonale zna okoliczności, które sprawiły, że ja zjawiłam się tu cuchnąca rynsztokiem, a jego młody pan ma wkrótce opuścić rodzinny dom.

- Avon! - wołał z daleka hrabia Ranworth, który poszedł przodem, gdy my z Józefem zatrzymaliśmy się, by wymienić tych parę zdań. Hrabia kroczył od drzwi do drzwi, otwierając wszystkie po kolei w poszukiwaniu księcia. - Tam do licha, gdzie się podziewasz?

Józef pobiegł prędko za nim i otworzył drzwi w samym końcu hallu.

- Książę jest w pokoju śniadaniowym, panie hrabio - powiedział, wpuszczając nas do środka. - Powodzenia, panienko - mruknął do mnie, gdy go mijałam.

Książę Avon istotnie śniadał, siedząc w dalekim końcu długiego stołu nakrytego śnieżnobiałym obrusem. Miał przed sobą rozłożoną gazetę, opartą o solniczkę, i raczył się solidną porcją jajek na bekonie. Po jego prawej ręce siedziała smutna panienska Elżbieta, skubiąc kawałek suchej grzanki. Przy kredensie, plecami do ojca, stał panicz Franciszek. Chował właśnie do kieszeni kruchą babeczkę, chcąc widocznie jeszcze raz przed wyjazdem dostarczyć mi prowiant do więzienia.

- Ki diabeł! - zachnął się książę na bezceremonialne wtargnięcie hrabiego Ranwortha. Potem spostrzegł mnie i z wrażenia aż upuścił widelec, który z brzękiem spadł na talerz. - A co ona tutaj robi? Józefie! Józefie!

Józef jednak nie nadchodził. Domyśliłam się, że ogłuchł dyplomatycznie i stoi teraz pod drzwiami, pilnując,

żeby do pokoju nie wszedł także nikt inny ze służby.

- Daj spokój, Avon! - burknął hrabia Ranworth. - Nie wyrzucisz z domu nikogo, a zwłaszcza tego dziecka, dopóki nie wysłuchasz mnie do końca. Zachowałeś się jak ostatni dureń i wtrąciłeś do więzienia niewinną dziewczynkę. Posłałbyś ją pewnie nawet na śmierć, gdybym w porę się o wszystkim nie dowiedział.

- Co proszę? - Książę zdębiał i nie znajdował słów, by wyrazić swe zaskoczenie.

- To dziecko miało przy sobie pieniądze na bilet mojego syna, nicponia, do Ameryki. Twoja córka, panienka dobra i śliczna, o jakiej każdy ojciec mógłby marzyć, chciała pomóc Jonatanowi, droższemu jej sercu niż wszystkie świecidełka, które trzymała w szkatułce - powinieneś być z niej dumny. Co się zaś tyczy twojego syna, to jego jedyną zbrodnią było to, że dopomógł przyjacielowi w potrzebie i załatwił mu bezpieczną podróż. Chłopiec jest bez zarzutu.

- Ale... ale...? - Książę patrzył to na syna, to na córkę, którzy z kolei gapili się z otwartymi ustami na hrabiego Ranwortha. Byli równie jak ojciec nieprzygotowani

na tę nagłą wizytę. - Ale co ma z tym wszystkim wspólnego lord Jonatan?

Hrabia Ranworth jęknął głucho, jakby wiele go kosztowało wyznanie wstydlivej rodzinnej tajemnicy.

- Tylko tyle, że ten niemądry chłopak doigrał się oskarżenia o zdradę stanu.

- O zdradę stanu! - wykrzyknął zdumiony książę Avon.

- Tak, przyjacielu. To on jest, oczywiście, Kapitanem Iskra. Głupi młodzik! Cóż, musi teraz za to zapłacić. Parę lat na obczyźnie powinno go wyleczyć z podobnych bzdur.

- Kapitan Iskra? - Książę ledwo nadązał za potokiem informacji. Odwrócił się do panienci Elżbiety. - I tyś o tym wiedziała?

- Tak, papo - przyznała potulnie.

- To wszystko prawda?

Kiwnęła głową.

- Mój Boże! - zawołał książę, strącając z kolan serwetkę i podchodząc do okna.

Wyrzwał na plac Grosvenor, jakby w drzewach i klombach spodziewał się znaleźć radę na swoje wzburzenie.

- Widzisz więc, Avon, że zachowałeś się jak głupiec - podsumował hrabia Ranworth. - Powinieneś teraz na kolanach prosić to dziecko o wybaczenie. Pomyśl, jak byś się poczuł, gdyby to którąś z twoich pociech zamknięto w tym piekielnym lochu, no jak? A tyś zamknął tam tę niewinną dziewczynkę, nie bacząc na błagania swoich najbliższych. Spójrz na nią, Avon! Przez ciebie spędziła noc w celi z jednym z najgroźniejszych londyńskich bandytów.

Księżę skierował na mnie oczy. Musiałam wyglądać żałośnie w okryciu z koca. Czy księżę w końcu da się przekonać, czy nie?

- No cóż, panno Królewska... - odezwał się po chwili. Zamilkł, odchrząknął. - Wygląda na to, że jestem panie winien przeprosiny.

Załkałam mimo woli i osunęłam się w najbliższej stojącej fotel, płacząc z ulgi. Hrabia Ranworth poklepał mnie pocieszająco po ramieniu.

Panienska Elżbieta podskoczyła i klasnęła w ręce.

- Och, papo! To znaczy, że nam uwierzyłeś?

Księżę kiwnął głową.

- Wierzę wam. Ale czemuż, na Boga, nie powiedzieliście mi prawdy? Całej prawdy? Tylko jakieś brednie o

meczach bokserskich i o zakładach - co miałem o tym myśleć?

- No bo, proszę ojca... widzi ojciec... - dukał panicz Franciszek, szarpiąc kołnierzyk koszuli, jakby pił go w szyję.

Sytuację uratowała panienka Elżbieta.

- Papo, popatrz lepiej na pannę Królewską! Jest w opłakanym stanie. Powinniśmy zadbać przynajmniej o to, żeby się wykąpała i odpoczęła. A potem sam ją odwieziesz do teatru i wytłumaczysz przed wszystkimi, tak żeby uwierzyli, że niczemu, ale to niczemu, nie jest winna.

- Jak zwykle masz rację, Lizi - rzekł ksiązę, poklepując jej dłoń. - Panno Królewska, mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny, a także propozycję mojej córki, która chętnie się teraz panią zajmie.

- Dziękuję - powiedziałam, hamując łzy. - Będę niezmiernie wdzięczna.

Odetchnęłam już spokojniej i uśmiechnęłam się do panienki Elżbiety i panicza Franciszka, czując, jak resztki łez wysychają mi na policzkach.

Nareszcie byłam wolna!



EPILOG  
DIAMENT

**N**igdy nie zapomnę powrotu do domu. Książę nie zgodził się, żebym weszła chyłkiem bocznymi drzwiami, lecz osobiście poprowadził mnie przez widownię, a za nami szli pod rękę panienka Elżbieta z paniczem Franciszkiem. Ku mojemu zdziwieniu, na widowni zgromadziła się cała nasza trupa teatralna - i nie tylko! Ledwie pokazałam się w drzwiach, Piotr Dodsley dał orkiestrze znak do odegrania fanfary, a potem wszyscy zaczęli kłaskać.

Zanim się obejrzałam, obstąpili mnie dokoła przyjaciele. Syd odciągnął mnie za rękaw od księcia, prowadząc do grupki swoich chłopaków. Tyle razy uściśnięto mi rękę, zmierzwiono włosy i poklepano po ramieniu, że w końcu przestałam liczyć. Pedro przepchnął się łokciami przez tłum i padliśmy sobie w objęcia, nie potrzebując

słów na wyrażenie radości z tego, że znów jesteśmy razem.

- Spokój, spokój, panowie! - zawołał ze śmiechem pan Sheridan, wyciągając mnie pomiędzy chłopaków od Rzeźnika. - Zabieram wam na chwilę tę młodą damę. Obiecuję, że wkrótce dostaniecie ją z powrotem.

Następnie wprowadził mnie na scenę, gdzie przy ustawionym na ziemi balonie czekała już cała familia Avonów.

- Wsiadaj, Kiciu - powiedział panicz Franciszek z łobuzerskim uśmiechem.

- Słucham?

Zanim jednak zdążyłam zaprotestować, podniósł mnie i wsadził do kosza. Pan Sheridan wskoczył tam za mną i dał znak ręką panu Bishopowi. Liny zaskrzypiały. Uchwyciłam się z całych sił krawędzi balonu.

- Jest pan pewien, że uniesie nas dwoje? - spytałam z niepokojem.

Pan Sheridan roześmiał się beztrosko - już kołysaliśmy się nad głowami tłumu.

- Myślałem, że lubisz niebezpieczne życie, Kiciu.



- Ciekawe, skąd taki pomysł?

Pan Sheridan uśmiechnął się szeroko i obwieścił publiczności:

- Szanowne panie, szanowni panowie! Skoro mamy już na scenie naszą odzyskaną bohaterkę, księżę Avon chciałby państwu coś oznajmić!

Na widowni zapadła cisza. Księżę wyszedł na proscenium.

- Nie wątpię, że cieszą się państwo z powrotu przyjaciółki po paru dniach niepokojów. - Zamilkł, odchrząknął. - Pragnę zapewnić wszystkich tu obecnych, że na reputacji tej młodej damy nie leży żaden, nawet najmniejszy cień. To, co zaszło, było jedynie moją niemądrą pomyłką, której się wstydzę i za którą serdecznie przepraszam. A z panny Królewskiej możecie być dumni. Moje drzwi zawsze pozostaną dla niej otwarte, podobnie jak, mam taką nadzieję, również wasze.

- Brawo, brawo! - krzyknął Piotr Dodsley.

Ze wszystkich stron zerwały się oklaski. Syd i jego chłopcy gwizdali. Czułam, że palą mnie policzki i nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Uniesione twarze widzów nagle się przede mną zamazały.

Pan Sheridan podał mi chusteczkę.

- No widzisz, Kiciu, jednak przypilnowałaś mojego diamentu - powiedział cicho, dając mi przedtem chwilę na ochłonięcie z emocji.

- Ja? Diamentu? - Wysiąkałam nos. - Przeciwnie: spisałam się beznadziejnie. Nawet nie wiedziałam, czego szukam, a potem było już za późno i banda Shepherd, przekonanego, że mamy tu prawdziwy diament, urządziła włamanie. I nie zdążyłam im powiedzieć, że nic cennego tu nie znajdują.

- Nic cennego? Tu się grubo mylisz.

- Ma pan na myśli nagrodę wyznaczoną za głowę Janka? Tak, pewnie chętnie by ją przyjęli.

- Nie, nie to miałem na myśli. Nie tylko oni, ale i ja sam nie wiedziałem, że od lat mam u siebie prawdziwy diament, i to na widoku. I zachowałem swój skarb nawet po wyjeździe Kapitana Iskry. Mam moją Kicię, niezrównaną w trudnych sytuacjach. Teraz na pewno będę pamiętał o tobie, gdy mnie samemu albo komuś z moich przyjaciół zdarzy się wpaść w tarapaty.

Te ciepłe słowa roztopiły ostatnie resztki strachu, który jeszcze czaił się we mnie po nocy spędzonej w brudzie

i ponieważ więzienia. Zaczerwieniłam się. Jeszcze nigdy nikt w teatrze nie powiedział mi, że jestem coś warta.

- No to co? Wracamy teraz na bal? - spytał pan Sheridan.

- Na bal?

- Oczywiście: bal powitalny na cześć Kici, diamentu z Drury Lane!

*Balon opada na scenę. Kurtyna.*